ODKRYWCA®

SKARBY • WOJNA • HISTORIA

NAKŁAD 12 400
NR 5 (172) MAJ 2013
CENA 14,70 ZŁ (w tym VAT 5%)

Poszukiwacze zaginionej TORY

– polityka i skarby PRL-u

INDEKS 370 10X ISSN 1505-6104
05
9 771505 610056

www.odkrywca.pl

VIKING - NAJWIĘKSZY WYBÓR WYKRYWACZY METALI W POLSCE

PROWADZIMY SPRZEDAŻ WYSYŁKOWĄ I RATALNĄ

ul. Radna 6 • 00-341 Warszawa • tel./fax 022 829 84 80
viking@viking.waw.pl • www.viking.waw.pl

MAJ 2013

3 **Wybuchowy weekend z „Odkrywcą”**
VIII Konferencja popularnonaukowa
Bydgoszcz 17-19 maja 2013

POSZUKIWANIA

4 **Skarbowa racja stanu, czyli poszukiwania wyższej konieczności… (cz. 2)**
Piotr Maszkowski
8 **Chrzańcie się, sam znalazłem**
Wojtek Stojak
11 **A jednak schron przeciwlotniczy… odkrycie nieznanych fotografii z okresu okupacji**
Stefania Hanusek
13 **Dom rodzinny Wernhera v. Brauna w Bystrzycy**
Militarne epizody dolnośląskich rezydencji (cz. 5)
Szymon Wrzesiński

ŚLEDZTWO ODKRYWCY

19 **Rozkazuję milczeć! (cz. 2)**
Zapomniani żołnierze z Placówki „Las”
Janusz Skowroński

TAJEMNICE HISTORII

24 **Tajemnice Generała „Grota” (cz. 1)**
Lipiec 1943 r. był jednym z najtragiczniejszych miesięcy od napaści III Rzeszy na Polskę. W okupowanych miastach uliczne megafony, nazywane „szczekaczkami”, przyniosły hiobową wieść – 4 lipca w gibraltarskiej katastrofie zginął Naczelny Wódz. W Warszawie, niemalże równocześnie, rozeszła się wstrząsająca plotka – dowódca Armii Krajowej został aresztowany przez Gestapo…
Łukasz Orlicki
30 **Polityczny wulkan, czyli Góra św. Anny (Annaberg). Część 1**
Dariusz Pietrucha

AKTUALNOŚCI/ WYDARZENIA

37 **Praca u podstaw. 30 lat Muzeum Gross-Rosen**
39 **„KL Gross-Rosen – Pamiętajmy”**
II edycja konkursu fotograficznego
Piotr Maszkowski
40 **Stulecie Hali Stulecia**
Michał Cetnarowski

44 **Wybaczyć – nie znaczy zapomnieć**
Polska i Ukraina: obok siebie, naprzeciw siebie (cz. 1)
Tysiąc z górą lat polsko-rusińskiego sąsiedztwa obfitowało w zmienne koleje politycznych losów tych dwóch tak sobie bliskich, a przecież tak innych nacji. Po krwawym przesileniu w wieku XX trudno bez emocji i resentymentów myśleć o relacjach pomiędzy Polską i Ukrainą. Cień makabrycznych zbrodni, jakie miały miejsce na Kresach, kładzie się upiornym piętnem na wzajemne postrzeganie się dwóch narodów…
Piotr Galik

KULISY HISTORII

48 **Dopisek do…**
Polska pomoc dla komunistycznej partyzantki greckiej 1947-1950
Krzysztof Kubiak

WĘDRÓWKI ODKRYWCÓW

53 **Tropem tajemnic kostrzyńskiego węzła kolejowego**
Tomasz Rzeczycki

KOLEKCJONERSTWO

59 **Kieszonkowa artyleria Kaisera**
Pistolety i rewolwery w armiach I wojny światowej
Piotr Galik

FORTYFIKACJE

63 **Niemiecka, bierna obrona przeciwlotnicza w okupowanej Warszawie (cz. 2)**
Jakub Jakubowski
66 **Przedmoście Chełmno – zapomniana twierdza**
Paweł Nastrożny

KSIĘGARNIA ODKRYWCY

71 **Nowości maja w Księgarni Odkrywcy**

Okładka:
Zwoje Tory w byłej Synagodze Glockengasse w Kolonii.
Zdjęcie: Foto Zeughaus Horsch Willy.
Projekt graficzny: Cezary Chmiellewski

Wydawca
Instytut Badań Historycznych
i Krajoznawczych sp. z o.o.
Prezes Zarządu: Magdalena Haber

Redakcja
ul. Kaszubska 4, 50-214 Wrocław,
tel.: 71 329 71 85, 329 71 86,
fax: 71 328 83 71

Redaktor Naczelna
Izabela Kwiecińska
e-mail: kwiecinska@odkrywca-online.com
kwiecinska@odkrywca.pl

Zespół Redakcyjny
Piotr Maszkowski, Michał Cetnarowski
e-mail: redakcja@odkrywca.pl

Dział Fortyfikacje opracowuje i przygotowuje
Jerzy Sadowski

Stali współpracownicy:
Leszek Adamczewski, Marek Dudziak, Piotr Galik, Proteus, Janusz Skowroński, Wojtek Stojak, Tomasz Rzeczycki, Szymon Wrzesiński, Lech Zwirełło

Strona internetowa
www.odkrywca.pl

Twórca i administrator strony
Kazimierz Ruszel Bocianem zwany

Dział DTP
Cezary Chmielewski
e-mail: essperto@gmail.com

Dział Reklamy i Promocji
reklama@odkrywca.pl
tel. 71 329 71 71

Druk
Zakład Poligraficzny TECHGRAF
37-100 Łańcut, ul. Podzwierzyniec 25

Konsultanci
Andrzej Bossowski – Geologia, Piotr Galik – Historia wojskowości, Maciej Kęszycki – Militaria, Krzysztof Krzyżanowski i Dariusz Wójcik – Górnictwo Dolnego Śląska, Aleksander Rostocki – Nieśmiertelniki, Marek Sokołowski – Numizmatyka, Wojtek Stojak – Eksploracja,

Grupa Eksploracyjna Miesięcznika „Odkrywca"
Koordynator – Łukasz Orlicki
gemo@odkrywca.pl

Redakcja zastrzega sobie prawo adiustacji i skracania tekstów oraz zmiany tytułów. Zastrzegamy sobie także prawo przedruku nadesłanych tekstów i zdjęć w czasopismach współpracujących z „Odkrywcą". Materiałów nie zamówionych nie zwracamy. Nie ponosimy odpowiedzialności za treść ogłoszeń. Nie pośredniczymy w wymianie korespondencji. Przedruki artykułów i kopiowanie zdjęć – wyłącznie za zgodą redakcji.

Drodzy Czytelnicy

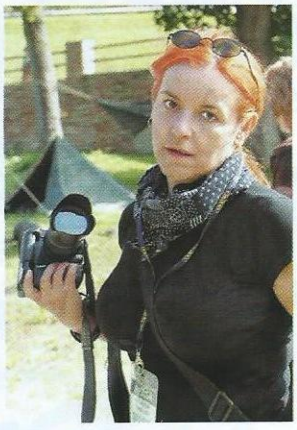

Wiele lat temu wyzbyłam się żywionego wcześniej przekonania (najwyraźniej naiwnego) o zadawalającym poziomie wiedzy historycznej dotyczącej zasadniczych wydarzeń historii ostatniego stulecia, która miałaby cechować nasze społeczeństwo. To w oczywisty sposób przykład na wpływ (w tym wypadku niekorzystny) ukształtowania poglądów na rzeczywistość społecznej świadomości historycznej, zainspirowany czynnikami zawodowymi i środowiskowymi, które siłą rzeczy – poprzez stałe obcowanie z tematyką historyczną i kontaktem z licznymi kręgami jej miłośników – pozwala zbudować przekonanie o powszechności zainteresowań i wiedzy, zaciemniając obraz całości, który wygląda znacznie gorzej. Zasada „pars pro toto" – „część za całość", to pokusa, której zagrożenie stale musimy mieć na uwadze dokonując analizy faktów, a zwłaszcza formułując w oparciu o nie jakiekolwiek teorie czy też poglądy. Nie można jednak odrzucić jej całkowicie – jednocześnie bowiem, opis jednostkowych zdarzeń – właśnie ta „część" – niejednokrotnie znakomicie służy relacji o „całości". Ba! Istnieje przecież nurt intelektualny postulujący właśnie odchodzenie od spojrzenia na przeszłość przez pryzmat wielkich konfliktów, narodowych historii, doniosłych zdarzeń, na rzecz zmagań człowieka w jego codzienności, w jego najbliższym otoczeniu osadzonym w dramacie rozgrywanym w teatrze historii. Stanowisko takie ma również olbrzymie zalety dla publicystyki i dziennikarstwa historycznego, jest ze swej istoty zerwaniem z podręcznikowym wykładem na rzecz opisu losów konkretnych ludzi, zgodnie z zasadą, że los tysięcy przybiera postać abstrakcyjnych liczb – często dodatkowo podważanych – los jednostki, poprzez utożsamienie się z nim czytelnika, staje się mu bliski. Bezsprzecznie też zaangażowanie emocjonalne czytającego przydaje tekstowi wiarygodności, autentyczności i atrakcyjności wreszcie, której nie sposób pominąć.

Porzuciwszy więc przekonanie o stosunkowo sporym zasobie społecznej wiedzy historycznej, skupiam się na zagadnieniu kształtu zbiorowej pamięci, na czynnikach ją modelujących, na iluzjach i wyobrażeniach jakie żywimy wobec świadomości historycznej. I tu pojawia się jeszcze jeden dylemat, który stale towarzyszy pracy redakcyjnej czasopisma historycznego. Jaka jest waga i znaczenie rocznic historycznych? Czy ich akcentowanie jest rodzajem obowiązku publicystycznego, czy wpisuje się w nurt periodyzacji historii – „od rocznicy do rocznicy"? I jak sprawić, by celebracja historycznej daty odpowiadała rzeczywistemu jej znaczeniu… To nie są przecież pytania do dziennikarstwa jedynie, a do znacznie szerszego spektrum publicznej edukacji i modelu wychowania.

Te dylematy nie są czysto teoretyczne. Z jednej strony „Odkrywca" adresowany jest do czytelnika o znacznym stopniu historycznego zaawansowania, wymagającego uzupełnienia swej wiedzy – częstokroć skupionej na konkretnej tematyce – który zazwyczaj nie oczekuje rocznicowego kontekstu publikacji. Z drugiej, czytany jest też przez środowiska oczekujące treści korespondujących z tymi wydarzeniami, „o których się mówi" – a takie pojawiają się przy okazji różnych rocznic – i te mogą mieć charakter bardziej popularny.

Dobrym prawem redakcji jest te dylematy rozwiązywać publikując interesujące i dobrze udokumentowane materiały, i znajdując dla nich właściwe proporcje, pamiętając przy tym o szczególnym walorze dziennikarstwa historycznego, jakim jest uczestnictwo w dziele kształtowania zbiorowej pamięci o przeszłości.

W tym numerze naszego czasopisma znajdziecie szereg artykułów pośrednio, bądź wprost, odwołujących się do wydarzeń, których kolejne historyczne rocznice odznaczają w pewien sposób naszą pamięć o nich.

Jestem przekonana, że dzięki wiedzy autorów, cytowanym dokumentom i przytaczanej faktografii, nie są jedynie „uczestnictwem w obchodach". Sprawdźcie sami.

Dobrej lektury!

Izabela Kwiecińska

Znajdź nas na:
http://www.facebook.com/Odkrywca

Bydgoszcz 17-19 maja 2013 r.

VIII Konferencja popularnonaukowa

„Wybuchowy weekend z »Odkrywcą«"

Szanowni Państwo, przekazujemy ostatnie, przed naszym majowym spotkaniem, informacje dotyczące VIII Konferencji.

Przygotowania dobiegają końca. Program został zamknięty praktycznie w całości. Mamy potwierdzony udział wszystkich, zaplanowanych prelegentów. Dopisali także Uczestnicy. W pierwszej dekadzie kwietnia lista została zamknięta. Powstała nawet kilkudziesięcioosobowa lista rezerwowa. Dlatego też informujemy Państwa, iż bez potwierdzonego przez organizatora miejsca na liście, nie będzie możliwości uczestniczenia w Konferencji! Na miejscu, niestety, nie będziemy mogli dopisać Was do listy uczestników. Nie przewidujemy także podróżowania własnymi samochodami za autokarami konferencyjnymi. Związane jest to z tym, iż tegoroczny program Konferencji obejmuje kilka miejsc, gdzie nasz kolorowy podział na grupy będzie dość teoretyczny. Krótko mówiąc, ze względu na zwiedzany obiekt, będziemy musieli podzielić się na grupy 20-25 osobowe. Tym samym już teraz prosimy Was o wyjątkowe zdyscyplinowanie. Nad prawidłowym przebiegiem Konferencji, i realizacją wszystkich zaplanowanych punktów programu, czuwać będą, jak zwykle, organizatorzy i przewodnicy każdej z grup. Ponadto, w każdym ze zwiedzanych miejsc, słowo decydujące ma jego gospodarz oraz przewodnik obiektu.

Kolejna ważna kwestia, to obiad, który zaplanowaliśmy w szkole, w Kruszynie. Jest to oczywiście usługa opcjonalna, ale wygodniej dla wszystkich, a szczególnie dla stołówki szkolnej, która na co dzień nie gotuje dla ponad 200 osób, jest wcześniejsza wpłata. Większość z Państwa już to zrobiła – bardzo dziękujemy. Tych, którzy jeszcze się zastanawiają, gorąco zachęcamy. Oczywiście będzie można zapłacić przy akredytacji – przypominamy: dwudaniowy obiad z kompotem kosztuje 20 złotych.

Czekamy na Państwa w biurze konferencyjnym w hotelu „Zawisza", w piątek 17 maja od godziny 13:00 do 15:45. Konferencję rozpoczynamy punktualnie o 16:00. Spóźnialscy będą przyjmowani w czasie przerw między prelekcjami.

Przypominamy także o zabraniu wygodnego obuwia, odpowiedniego ubrania oraz o latarkach, które będą niezbędne w niedzielę przy zwiedzaniu Exploseum.

Dla przypomnienia ważne kontakty:

- Organizator: telefon – 71 329 71 71 lub tel. komórkowy 0501 675 126
- e-mail: konferencja@odkrywca.pl
- adres pocztowy: Redakcja „Odkrywca", ul. Kaszubska 4, 50-214 Wrocław

Hotel „Zawisza"

- Telefon: 52 588 09 00
- e-mail: hotel@zawisza.bydgoszcz.pl

Do zobaczenia!

Drugi etap konkursu na 15-lecie „Odkrywcy"!

Począwszy od numeru kwietniowego, aż do numeru czerwcowego publikujemy zestawy pięciu pytań konkursowych, dotyczących historii magazynu oraz publikowanych w nim treści. Spośród tych z Was, którzy odpowiedzą poprawnie na wszystkie 15 pytań, zostanie wyłonionych 10. zwycięzców, dla których przygotowaliśmy najnowszą wersję gry „Tomb Raider" (PC).

Ponieważ konkurs zakończymy 30 czerwca br., – zgodnie więc z harmonogramem wydawniczym „Odkrywcy" – zwycięzców poznamy w numerze sierpniowym.

Poza tym dla uczestników każdego z trzech etapów konkursu mamy 10 nagród książkowych – oczywiście za udzielenie poprawnych, i w terminie, odpowiedzi. Tych laureatów będziemy poznawać po zakończeniu każdego etapu, w kolejnych wydaniach „Odkrywcy": w numerze czerwcowym – etap z kwietnia, w numerze lipcowym – etap z maja i w kończącym konkurs numerze sierpniowym – etap z czerwca.

Drugi etap konkursu trwa od 10 do 30 maja 2013 r.

Chcąc zagrać o nagrody, należy w tym czasie wysłać SMS z odpowiedziami na zamieszczone poniżej pytania. W treści wiadomości należy wpisać: „ODKRYWCA." i numery kolejnych poprawnych odpowiedzi (np. ODKRYWCA.1A2B3C).

SMS należy wysłać pod numer 7368 (opłata wynosi 3,69 zł z VAT). Usługa jest dostępna we wszystkich sieciach GSM.

Nagrody zostaną przekazane zwycięzcom poleconą przesyłką pocztową. Lista nagrodzonych publikowana jest każdorazowo na łamach „Odkrywcy". Regulamin dostępny jest w siedzibie Organizatora oraz na stronie internetowej www.odkrywca.pl.

PYTANIA KONKURSOWE

1. Setny, rocznicowy numer „Odkrywcy" ukazał się w roku:
1A 2004
1B 2007
1C 2008

2. Szczątki wielkich mistrzów krzyżackich odkryliśmy w latach 2006-2008 w katedrze:
2A w Toruniu
2B Malborku
2C Kwidzynie

3. Od którego roku „Odkrywca" stał się w pełni kolorowy:
3A 2004
3B 2006
3C 2007

4. W Chwarszczanach byliśmy beneficjentem badań archeologicznych:
4A Skarbca joannitów
4B Zamku krzyżackiego
4C Komandorii templariuszy

5. Numer specjalny „Odkrywcy" przygotowany dla prenumeratorów, został wydany w roku:
5A 2005
5B 2006
5C 2008

Skarbowa racja stanu, czyli poszukiwania wyższej konieczności… (cz. 2)

TEKST: PIOTR MASZKOWSKI
ZDJĘCIA: ARCHIWUM REDAKCJI, WWW.FOTOPOLSKA.EU

Na terenie radomskiego getta Mosze Cukierman wraz ze starszym bratem Froimem zakopali pod jedną z kamienic skrzynię. Zawierała najcenniejsze rzeczy jakie jeszcze pozostały w posiadaniu ich rodziny – dwa zwoje Tory, futra oraz hebrajskie księgi. 30 lat później miała miejsce próba ich odzyskania, przeprowadzona przez polskie władze i amerykańskiego korespondenta „New York Timesa" w Warszawie Jamesa Ferona. Okazuje się jednak, że akcja ta pośrednio dotyczyła również jednego z najskuteczniejszych radzieckich szpiegów działających w okresie II wojny światowej…

Przedstawiona w poprzednim odcinku akcja poszukiwań skrzyni, zakopanej pod jedną z radomskich kamienic, odtworzona została na podstawie materiałów MSW przechowywanych obecnie w Instytucie Pamięci Narodowej. W niniejszej części uzupełnimy zaprezentowaną miesiąc temu historię, w oparciu m.in. o niezwykle ciekawe źródło, które udało się niedawno pozyskać. Dzięki, uprzejmości p. Petera Pagina ze Szwecji, który udostępnił nam wspomnienia swojego ojca z czasów wojny, będziemy mogli zapoznać się z okolicznościami, w jakich poszukiwaną skrzynię ukrył podczas pobytu w gettcie Michael Kastan vel Mosze Cukierman. Cofniemy się jednak w czasie, nie tylko do mrocznego okresu II wojny światowej. Odnaleziony został bowiem również artykuł korespondenta „New York Timesa" w Warszawie Jamesa Ferona, z marca 1972 roku, w którym opisał interesującą nas sprawę z perspektywy nie tylko jej uczestnika, ale i wnikliwego obserwatora ówczesnej sytuacji politycznej w Polsce. Jego wnioski nadają tej niezwykłej historii niespodziewanego wcześniej wymiaru.

Zima 1941/42

Kończy się bitwa o Moskwę. Niepowodzenia operacji „Tajfun", mającej na celu szybkie zajęcie stolicy Związku Radzieckiego, obnażyły po raz pierwszy słabość niezwyciężonej dotychczas armii. Niemcy nie tylko są nieprzygotowani do działań w ekstremalnych warunkach rosyjskiej zimy, lecz również ich dowództwo popełnia w trakcie walk liczne błędy. Dodatkowo zawodzi system zaopatrzenia, żołnierze marzną, są głodni, sprzęt zmechanizowany dający przewagę w boju zawodzi na siarczystym mrozie. Straty po obu stronach są ogromne. Brak odpowiednich strojów, głównie ciepłej odzieży przypieczętowuje los całej kampanii. Ściągane z Rzeszy i rekwirowane na terenach okupowanych płaszcze, futra i kożuchy, nadchodzą za późno…

Radom, getto styczeń 1942 rok. Przedsionek piekła

Mosze Cukierman od ponad dwóch lat wegetuje z matką i siedmiorgiem rodzeństwa w okupowanym przez Niemców Radomiu. Każdy dzień jest walką o przetrwanie. Każdy dzień może też okazać się ostatnim. Zwłaszcza od minionej wiosny, gdy powstało getto. Ekonomiczny wyzysk, konfiskaty, wysiedlenia, upokorzenia, wywózki do obozów koncentracyjnych, widmo śmierci czającej się za każdym rogiem i praca ponad siły, wypełniały czas systematycznej agonii skazanego na zagładę narodu. Młody człowiek nie pozostał jednak obojętny wobec przerażającego losu. Odkąd skończył 11 lat był aktywnym członkiem Haszomer Hacair („Młody Strażnik"), żydowskiej (syjonistycznej) organizacji młodzieżowej o charakterze skautowym. Ruch ten i jego ideologia wypełniły mu pustkę po śmierci ojca, który zmarł na długo przed wojną. Głęboko wierzył w szczytne ideały i wartości głoszone przez liderów ruchu. Podobnie jak oni, widział przyszłość niezależnego państwa żydowskiego w Palestynie, które miał obywatelsko współtworzyć w *„duchu osobistej realizacji zasad etycznych i narodowych głoszonych przez ruch"*. Lecz zanim świetlana wizja miała się spełnić, naród w czasie największej próby musiał przetrwać. Od początku okupacji Mosze rozdarty między naturalną wolą oporu, instynktem samozachowawczym, a wymuszoną systemem terroru i represji biernością, walczył o zachowanie godności własnej, jak i najbliższych. Dzięki wpojonym zasadom był w stanie wielokrotnie przezwyciężyć strach, i w ramach konspiracyjnej już działalności angażować się aktywnie w różne jej formy. Tak jak na początku okupacji, gdy Niemcy po wkroczeniu do Radomia zamknęli wszystkie biblioteki żydowskie, również należą-

Kamienica przy ul Wałowej 20 w Radomiu, gdzie w czasie wojny Michael Kastan vel Mosze Cukierman ukrył skrzynię. W marcu 1972 roku bezskutecznie poszukiwał jej amerykański korespondent…

Obwieszczenie o utworzeniu radomskiego getta.

Bekanntmachung.

Betr.: Bildung von geschlossenen jüdischen Wohnbezirken in der Stadt Radom.

Mit sofortiger Wirkung werden für die in der Stadt Radom ansässigen Juden zwei geschlossene jüdische Wohnbezirke gebildet. Ihre Abgrenzung ist aus nebenstehenden Skizzen ersichtlich.

Die Umsiedlung der Juden muss bis spätestens 12. April 1941 durchgeführt sein. Die Verteilung der Wohnräume erfolgt durch das jüdische Quartieramt, Grodzkastrasse.

Juden, die ohne meine Zustimmung zugezogen sind und demgemäss die blaue Kennkarte nicht erhalten haben, müssen das Stadtgebiet Radom sofort verlassen.

Bis auf weiteres dürfen Juden noch in ihren in folgenden Strassen bezw. Strassenteilen gelegenen Wohnungen verbleiben:

Słowackistrasse, Ostseite zwischen Giserskastrasse und Kościelna-Rwańska, Szewskastrasse, Rathausplatz,

Rejastrasse, Südseite zwischen Evgl. Kirche und Malczewskistrasse Malczewskistrasse, Westseite zwischen Rwańskastrasse und Rejastrasse,

Mlecznastrasse Südseite vom Mlecznabach bis zur Mireckistrasse.

Die innerhalb der jüdischen Wohnbezirke wohnenden Nichtjuden haben ihre Wohnungen bis zum 10. April 1941 zu räumen. Vom Wohnungsamt früher festgesetzte Räumungstermine bleiben in Kraft. Ersatzwohnungen werden durch das Wohnungsamt, Rathaus, Eingang Wolnościstrasse (Hofseite) nachgewiesen. Wer diese Anordnung nicht befolgt, wird zwangsweise ausgesiedelt. In diesem Fall darf nur Gepäck bis zum Höchstgewicht von 25 kg. pro Person mitgenommen werden.

Juden dürfen das jüdische Viertel nur mit Genehmigung verlassen. Entsprechende Ausweise können über den Oberältestenrat beantragt werden.

Das Betreten folgender Plätze und Strassen ist für Juden grundsätzlich verboten: Adolf Hitler-Platz, Reichsstrasse, Rwańskastrasse, Rathausplatz, Malczewskistrasse, Rejastrasse, Mlecznastrasse.

Zuwiderhandlungen werden mit Geldstrafe bis zu 1000 Zloty oder im Nichtbeitreibungsfalle mit Haft bis zu 3 Monaten bestraft.

DER STADTHAUPTMANN
der Stadt Radom
(–) KUJATH

Radom, den 3. April 1941

Ogłoszenie.

Dotyczy utworzenia zamkniętych dzielnic mieszkalnych dla żydów w Radomiu.

Z natychmiastową mocą obowiązującą zostają utworzone dwie zamknięte dzielnice dla żydów, zamieszkałych w Radomiu. Granice tych dzielnic uwidocznione są na obok umieszczonych planach.

Przesiedlenie żydów musi być przeprowadzone najpóźniej do 12 kwietnia 1941 r. Przydział mieszkań nastąpi za pośrednictwem Żydowskiego Urzędu Mieszkaniowego przy ul. Grodzkiej. Żydzi, którzy osiedlili się bez mojego zezwolenia i nie otrzymali wskutek tego niebieskiego dowodu osobistego, muszą natychmiast opuścić miasto Radom.

Aż do odwołania wolno żydom pozostać w mieszkaniach, położonych przy następujących ulicach lub ich częściach:

ul. Słowackiego – strona wschodnia pomiędzy ul. Giserską a Kościelną; ul. Rwańska, ul. Szewcka, Rathausplatz;

ul. Reja – strona południowa, między kościołem ewangelickim a ul. Malczewskiego;

ul. Malczewskiego – strona zachodnia, między ul. Rwańską a ul. Reja; ul. Mleczna – strona południowa, od rzeki Mlecznej do ul. Mireckiego.

Ludność nie żydowska, zamieszkała w dzielnicach żydowskich musi opuścić mieszkania do 10 kwietnia 1941 r. Terminy opróżnienia mieszkań wyznaczone uprzednio przez Urząd Mieszkaniowy, pozostają w mocy. Nowe mieszkania będzie przydzielał Urząd Mieszkaniowy w Magistracie, wejście od ul. Wolność. Kto nie zastosuje się do tego zarządzenia, zostanie wysiedlony przymusowo i w takim wypadku będzie mógł zabrać pakunki o wadze najwyżej 25 kg. na osobę.

Dzielnicę żydowską będzie wolno żydom opuszczać wyłącznie za zezwoleniem. W celu uzyskania odpowiednich zaświadczeń można składać podania w żydowskiej Radzie Starszych.

Zabrania się żydom zasadniczo chodzenia po następujących placach i ulicach: Adolf Hitler-Platz, Reichsstrasse, ul. Rwańska, Rathausplatz, ul. Malczewskiego, ul. Reja, ul. Mleczna.

Wykroczenia będą karane grzywną do 1000 zł., a w wypadku nieściągalności aresztem do 3-ch miesięcy.

STADTHAUPTMANN
miasta Radomia
(–) KUJATH

Radom, dn. 3 kwietnia 1941 r.

cą do jego organizacji. Aby ratować niezwykle cenny księgozbiór, wziął udział w szczególnej misji. Gestapo zaplombowało regały pełne woluminów na tyle dokładnie, że bez zerwania plomb, nie można było wyciągnąć z półek jakiejkolwiek księgi. *„W związku z tym odsunęliśmy regał od ściany i wyciągnęliśmy książki od tyłu. W ten sposób mogliśmy zabezpieczyć najbardziej wartościowe egzemplarze, podmieniając je dla niepoznaki na mniej istotne. Najcenniejsze książki wywieźliśmy potajemnie w rzeźnickim wozie i umieściliśmy we wcześniej przygotowanym schowku w fabryce oleju lnianego, należącej do rodziny jednego z członków naszej organizacji”* – wspominał po latach Michael Kastan. Do końca życia zapamiętał spotkanie z Mordechajem Anielewiczem, który wiosną 1941 roku, tuż po utworzeniu w Radomiu getta, przedostał się do niego jeszcze jako członek Komendy Naczelnej Haszomer Hacair. Jego celem było wsparcie na duchu jej członków i ukierunkowanie ich na bardziej aktywne formy oporu. Mosze wówczas poznał go osobiście, a jego gorącą i pełną pasji przemowę zapamiętał do końca życia. Wziął też ją sobie do serca. Dlatego też po ciężkiej pracy w fabryce, zamiast odpoczywać, uczył dzieci hebrajskich pieśni w miejscowym, zapełniającym się w zatrważającym tempie, sierocińcu. *„Śpiewaliśmy bardzo głośno, tak głośno, jak każde z nas potrafiło. Czuliśmy wówczas, że w ten sposób zagłuszamy nasz smutek, strach i ból, i jednocześnie przeciwstawiamy się prowokacyjnie naszym oprawcom”*. Gdy Niemcy pierwszej okupacyjnej zimy nakazali Żydom ściąganie czapek na ich widok, Mosze przestał nosić czapkę. Przypłacił to zapaleniem płuc.

Ukrycie

„6 stycznia 1942 roku na zarządzenie gubernatora Hansa Franka przeprowadzono tzw. »akcję futrzaną«. Pod groźbą kary śmierci każdy Żyd musiał oddać posiadane futra. Konfiskowane futro było najczęściej ostatnią cenniejszą rzeczą jaką jeszcze zdołano uchronić. Jednak mimo to, zarządzenie było wykonywane, gdyż osoby, które się do niego nie stosowały, były karane śmiercią (…)”, (Biuletyn Kwartalny Radomskiego Towarzystwa Naukowego 1998, t. 33, z. 1, s. 24). Nakaz rekwizycji futer, był dla rodziny Cukiermanów swoistym wyrokiem, okazało się bowiem, że są to jedyne cenne przedmioty jakie jeszcze zachowali. Ostatnia deska ratunku. Dlatego też, pomimo iż za niepodporządkowanie się zarządzeniu groziły niezwykle surowe konsekwencje, postanowili zaryzykować. Froim, starszy brat Mosze wpadł na pomysł, by je ukryć, i przy okazji zabezpieczyć najcenniejsze z rodzinnych skarbów. Michael Kastan wspominał: *„Mieliśmy również dwie Tory, w tym jedną ufundowaną przez naszego dziadka, którą zamówił specjalnie dla naszej rodziny. Sfinansowanie Tory było niezwykłą sprawą. Pamiętam, że jeszcze jako chłopiec byłem świadkiem jej przekazania. Na uroczystości z tym związane, zostało zaproszonych wielu gości, były napoje i ciastka dla każdego. Dziadek był szanowanym kupcem, człowiekiem wykształconym i wpływowym przywódcą lokalnej społeczności. Służył przez 5 lat w carskiej armii, i wiedział, jak sobie radzić z władzami carskimi. Dlatego też ludzie często zwracali się do niego o porady, a także z prośbą o mediacje w konfliktach. Nigdy nikomu nie odmówił, pomagając każdemu bezinteresownie. Był również bliskim przyjacielem rabina z Modzic, do którego zresztą należała druga z przechowywanych u nas Tor. Ze względu na pamięć i szacunek do nich, nie mogliśmy dopuścić do tego, by zwoje przepadły, nie wspominając o ich ewentualnej sprzedaży. Za wszelką cenę należało je więc ratować. Froim zamówił sporą skrzynkę, którą wyłożył cynkiem od wewnątrz. Umieścił w niej Tory, futrzane płaszcze, książki i inne przedmioty, po czym zakopał ją pod klatką schodową, do której tylko my mieliśmy dostęp”*.

Kilka miesięcy później, w sierpniu 1942 roku getto zostało przez Niemców zlikwidowane, a większość radomskich Żydów wywieziono do obozu śmierci w Treblince. Mosze Cukierman uniknął tego losu dzięki temu, że wcześniej zatrudniony był u niemieckiego pracodawcy. Przez kolejne dwa lata przechodził przez miejscowe obozy pracy. Dopiero w sierpniu 1944 roku trafił do Auschwitz, gdzie przeszedł selekcję owianego złowieszczą sławą dr. Mengele. Mimo ogólnego wyczerpania, uznany

Na tych ulicach śmierć czaiła się za każdym rogiem…

Mordechaj Anielewicz przeniknął do radomskiego getta gdzie zainspirował również Mosze Cukiermana.

został za zdolnego do dalszej „eksploatacji" i wysłany najbliższym transportem do obozu Vaihingen nieopodal Stuttgartu. Spod wrót piekieł na ziemi powrócił w kwietniu 1945 roku, gdy jego obóz wyzwolony został przez Francuzów. Z jego 9 osobowej przed wojną rodziny, ocalała jedynie trójka rodzeństwa.

Po wojnie wyjechał do Szwecji, gdzie odnalazł swoje dwie siostry, które trafiły tam dzięki misji hr. Bernadotte. Zmienił nazwisko i osiedlił się tam jako Michael Kastan. Na początku lat 60. wyemigrował do Stanów Zjednoczonych i mniej więcej w tym samym czasie rozpoczął starania o odzyskanie ukrytej w Radomiu skrzyni. W swoich przelanych na papier wspomnieniach, które zatytułował „Powrót z Piekieł 1939-1945", we fragmencie dotyczącym interesującej nas sprawy napisał: *„W załączniku zamieszczam wycinek z »New York Timesa« z 1972 roku, jako dowód, że starałem się odzyskać rodzinne pamiątki. Najwyraźniej jednak zostały odnalezione kilka lat wcześniej, a skrytka ograbiona przez nieznanych sprawców".*

Marzec 1972 roku. Radom-Warszawa-Nowy Jork

Po zakończonej akcji, James Feron wracał wieczorem samochodem z Radomia do Warszawy. W jakże odmiennym niż kilkanaście godzin wcześniej nastroju. Jeszcze niedawno, on, jak i towarzyszący mu w podróży urzędnicy i dziennikarze prowadzili ożywione rozmowy, snuli projekty... Wizja odkrycia zakopanej w czasie wojny skrzyni i perspektywa świetnej historii do opisania dla czytelników „New York Timesa", była kusząca. Okazało się jednak, że długo wyczekiwany dzień przyniósł rozczarowanie, chociaż, wieńczył pewien proces, w który amerykański korespondent zaangażował się wiele miesięcy wcześniej.

Gdy po raz pierwszy usłyszał opowieść Michaela Kastana, uznał, że jego plan ma niewielkie szanse powodzenia. Lubił jednak wyzwania, a to miało szczególny charakter. Wiedział też, że wykorzystując swoją uprzywilejowaną pozycję, wpływy i znajomości, przynajmniej musi spróbować mu pomóc. Pamiętał pierwsze wnioski i prośby wysyłane do urzędu w Kielcach, na które zgodnie z tutejszym zwyczajem nikt nie odpowiadał. Dopiero, gdy uruchomił kontakty jakie miał w polskim MSZ, sprawy lekko ruszyły z miejsca. Lecz nie natychmiast. Okazało się, że miejscowy urzędnik uparł się, i nie chciał wydać zgody na poszukiwania ze względu na rzekome luki proceduralne. Nawet naciskany przez pracownika resortu dyplomacji nie zmienił zdania. Dopiero po wyraźnej interwencji kogoś z aparatu bezpieczeństwa, i to wysoko postawionego, sprawa ruszyła do przodu. Zamyślony dziennikarz, wpatrując się w przesuwający za oknami auta jednostajny krajobraz, zaczął układać w głowie zarys artykułu. „Polityka i emocje wciąż otaczają kwestię żydowską w Polsce" autorstwa Jamesa Ferona, to prawdopodobnie jedyny artykuł dotyczący poszukiwań depozytów prowadzonych przez władze PRL w prasie amerykańskiej. Materiał ten ukazał się w niedzielnym wydaniu „New York Timesa" z 12 marca 1972 na stronie 18. Jak się okazało, sprawy Kastana dotyczył zaledwie w pewnej części.

„Radom, Polska – przedstawiciele tutejszych: Ministerstw Spraw Wewnętrznych i Zagranicznych przeprowadzili niedawno w Radomiu bezowocne poszukiwania ołowianej skrzyni zawierającej dwa zwoje Tory, zakopanej 3 dekady wcześniej przez Żyda, który miał być wywieziony do obozu koncentracyjnego. (...) Sprawa dotyczy architekta, który obecnie mieszka w północnej części stanu Nowy York. W czasie wojny, wraz z matką i siedmiorgiem rodzeństwa mieszkał w Radomiu, skąd cała rodzina została wywieziona przez Niemców do obozu koncentracyjnego. Ocalał tylko on, jego brat i dwie siostry. Ukryte podczas okupacji zwoje Tory, jak powiedział, są dla niego obecnie jedynym łącznikiem z przodkami. Dlatego pragnie je odzyskać. W 1961 roku przyjechał w tym celu do Polski. Niestety, w trakcie tej podróży miał wypadek, przez który musiał znacząco skrócić swój pobyt w kraju. Odwiedzając wówczas Radom przekonał się jednak, że budynek, w którym ukryte są skrzynie zachowany jest w nienaruszonym stanie. Zgodnie z sugestią pracowników amerykańskiej administracji i polskich urzędników, zwrócił się o pomoc w tej sprawie do władz Radomia, lecz nigdy nie otrzymał odpowiedzi. Próba zaangażowania w sprawę organizacji żydowskich i społecznych również okazała się bezowocna. Efekt dopiero przyniosło zaangażowanie się w sprawę korespondenta piszącego niniejsze słowa. Po wielomiesięcznych negocjacjach z władzami Radomia i w Warszawie, uzyskana została ostatecznie zgoda na przeprowadzenie poszukiwań pod klatką schodową radomskiej kamienicy. Niestety, prace te zakończyły się niepowodzeniem. Szukając przyczyn takiej sytuacji, okoliczni mieszkańcy sugerowali, że kilka lat wcześniej, na terenie byłego getta wiele osób kopało w poszukiwaniu pożydowskich kosztowności (...)". Artykuł wyjaśnia więc i uzupełnia sporo kwestii znanej nam już sprawy. Lecz James Feron nie spełniłby podstawowych standardów amerykańskiego dziennikarstwa, gdyby skupił się tylko na stosunkowo wąskim kontekście przedstawionej historii. Dlatego też nadał jej o wiele szerszy wymiar. *„Ci sami przedstawiciele polskich Ministerstw Spraw Zagranicznych i Wewnętrznych, którzy umożliwili poszukiwania w Radomiu, od kilkunastu miesięcy inwigilują obywatela polskiego narodowości żydowskiej – byłego szpiega sowieckiego z czasów II wojny światowej – odmawiając mu wydania zgody na wyjazd do Izraela".*

„Polityka i emocje wciąż otaczają kwestię żydowską w Polsce"

Jak pamiętamy, zaangażowanie się w sprawę Michaela Kastana polskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych i kierownictwa Departamentu II MSW, podyktowane było potencjalną możliwością propagandowego jej wykorzystania. Władza miała ku temu ważne powody.

Na początku 1972 roku emocje wokół przeprowadzonej w Polsce kampanii antysemickiej z lat 1967-68 zdawały się po-

zornie wygasać. Jednak jej wielowymiarowe konsekwencje i negatywne skutki nadal były tematem szeroko komentowanym, tak w kraju, jak i na świecie. Pozbawianie bowiem stanowisk i zmuszenie do emigracji przedstawicieli szczątkowej już wówczas i zasymilowanej społeczności żydowskiej, było niewątpliwie działaniem haniebnym i pozbawionym jakiegokolwiek sensu. Tym bardziej, że w efekcie tej nagonki własną ojczyznę musiało opuścić ok. 20 tysięcy obywateli polskich narodowości żydowskiej, w tym wielu wybitnych przedstawicieli elity intelektualnej kraju. Już na początku nowej dekady ten bezprecedensowy akt represjonowania przez władze państwowe własnych obywateli, zaczął boleśnie ciążyć nowej ekipie rządzącej pod przywództwem Edwarda Gierka. Co więcej, niejednokrotnie stawał się argumentem w trakcie procesu nawiązywania, jakże pożądanych w tym czasie relacji handlowych i gospodarczych z partnerami z Zachodu. Jak się jednak okazało, nie na tyle, by nowe kierownictwo rozliczyło się w jakikolwiek sposób z polityką poprzedników, czy też uznało oficjalnie ówczesne działania za błędne. Strategią była raczej marginalizacja problemu, a gdy się pojawiał – przemilczanie go, i odsuwanie na boczny tor.

James Feron jako zagraniczny korespondent i wnikliwy obserwator życia publicznego w Polsce początku lat 70. tę postawę oczywiście zauważał. Zapewne również domyślał się, że zaskakująca przychylność i aktywna pomoc władz w sprawie poszukiwań skrzyni zakopanej przez Michaela Kastana w Radomiu, nie była do końca gestem dobrej woli, a raczej przemyślanego wyrachowania. W tym samym czasie bowiem szerokim echem w świecie, odbijała się sprawa niejakiego Leopolda Treppera, pełniącego do 1968 roku funkcję prezesa Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego Żydów Polskich. Paradoksalnie okazało się, że mimo podejmowanych przez niego starań o wyjazd do Izraela, władze państwowe wciąż odmawiały takiego prawa, nie podając mu przy tym jakiejkolwiek przyczyny. Stanowiła ona oczywiście tajemnicę poliszynela…

Leopold Trepper, występujący również jako Leib Domb w czasie II wojny światowej był radzieckim szpiegiem i organizatorem jednej z najskuteczniej działających w okupowanej przez Niemców Europie siatek wywiadowczych, znanej szerzej jako „Czerwona Orkiestra". Przyjęło się więc sądzić, że to Rosjanie inspirowali działania polskich władz, choć nigdy oficjalnie tego nie potwierdzono. Władze ugięły się dopiero w 1973 roku pod naciskiem międzynarodowej opinii publicznej i aktywnej działalności licznych w świecie komitetów na rzecz jego „uwolnienia", wspieranych również przez wielu zachodnioeuropejskich polityków. Apogeum tej kampanii zbiegło się zupełnie „przypadkiem" w czasie z przychylnością tych samych władz, które umożliwiły podjęcie próby odzyskania przez Michaela Kastana vel Mosze Cukiermana rodzinnych pamiątek zakopanych pod jedną z radomskich kamienic. Oto jak zaskakujące bywają historie z poszukiwaniami skarbów w tle.

REKLAMA

WYKRYWACZA JUŻ NIE SZUKAJ... WŁAŚNIE GO ZNALAZŁEŚ!

RUTUS Optima

Wykrywacz projektowany
bez kompromisów.
Ściśle specjalizowany
do biżuterii, monet
i innych drobnych obiektów.
Wyjątkowo szybki, głęboki,
bardzo skuteczny.

* Częstotliwość pracy 16 kHz
regulowana w 5 skokach
* Automatyczne strojenie do gruntu
* Możliwość ręcznej korekty automatu
* Identyfikacja cyfrowa
* Dyskryminacja klasyczna i wybiórcza
* Możliwość konfiguracji ilości tonów:
1 ton, 3 tony, 2 programy użytkownika
* Praca dynamiczna i jednoczesna
* Regulacja sygnału wiodącego
* Filtr kamieni magnetycznych

RUTUS
DETEKTORY METALI

Gdynia
tel.: 058 - 679 33 14, 0601 284 371
e-mail: rutus@rutus.com.pl, www.rutus.com.pl

Chrzańcie się, sam znalazłem

TEKST: WOJTEK STOJAK
ZDJĘCIA: MAŁGORZATA STOJAK

A co się Was będę prosił! Prosiłem, znajdźcie taki cmentarny mur, zlokalizujcie pancerną kopułkę z fotografii Marka Kruka. Myślałem, rzucą się z pomocą nestorowi, legendzie, twórcy… jak to było? Aha, twórcy cieszącego się ogromną popularnością „Klubu…". A gdzie tam! Żaden się nie odezwał. Żaden dupy nie ruszył. Siedzi taki przed telewizorem, „Twierdzę szyfrów" ogląda, piwo pije w ciepełku, a ja nestor i twórca przedzierać się muszę w mrozie przez maliny i dziką różę, skakać przez rowy, przełazić przez płoty. Rękawiczki zgubiłem, szesnaście złotych… chińska skóra z prawdziwej chińskiej świni albo psa może, kto to wie. I strach, że mnie capną w tych ogródkach i oskarżą o wszystkie wcześniej skradzione grabie i łopaty. Bogu dzięki jakoś się udało! Nawiasem mówiąc, jedną bardzo poręczną łopatkę złodzieje przegapili. Fajtłapy! Będzie na nich, poniosą karę za wszystko. A Wy, wy, wy… ażeby Was brzuch rozbolał. I tego Wacka z Wolsztyna czy Wałcza, też żeby rozbolał.

Zdjęcie tej kopułki publikowane było w marcowym nr „Odkrywcy". Własność tej fotografii przypisano mi. Prostuję: to fotografia ze zb. Marka Kruka.

No, ulżyłem sobie! Teraz mogę przejść do tematu. Nota bene, żeby Was bardziej pognębić powiem jeszcze, że rozpracowanie tej fotografii sprawiło mi prawdziwą przyjemność. I Marek Kruk się ucieszy. Gapiąc się na to zdjęcie kopułki w marcowym „Odkrywcy" (jakby jakieś jaśniejsze niż w komputerze) dostrzegłem, a może wyobraźnia mi podsunęła, jasną, ośnieżoną jakby połać dachu wśród drzew po prawej stronie fotografii, nad murem, a więc kościół, kaplicę – coś takiego. To zawężało ilość cmentarzy, które trzeba było wziąć pod uwagę. Przyjąłem ostatecznie, że:

» białe fragmenty w głębi zdjęcia, układające się w łamaną linię, to zewnętrzna strona dużych, rodzinnych grobowców tworząca cmentarny mur. Urozmaicona korona muru jest odbiciem kształtów grobowców,

» na cmentarzu wśród starych drzew jest kościół lub duża kaplica,

» przed widoczną na fotografii kopułką powinna być spora wolna przestrzeń, umożliwiająca obserwację i ew. ostrzał,

» jest zlokalizowana gdzieś na obwodzie twierdzy, na Hauptkampflinie.

Dobra! Szukamy dużych, starych cmentarzy na obrzeżach miasta w pobliżu głównej linii obrony. Tylko gdzie szukać? Przed wojną było w Breslau ponad pięćdziesiąt cmentarzy, oczywiście w większości niewielkich, pamiętam

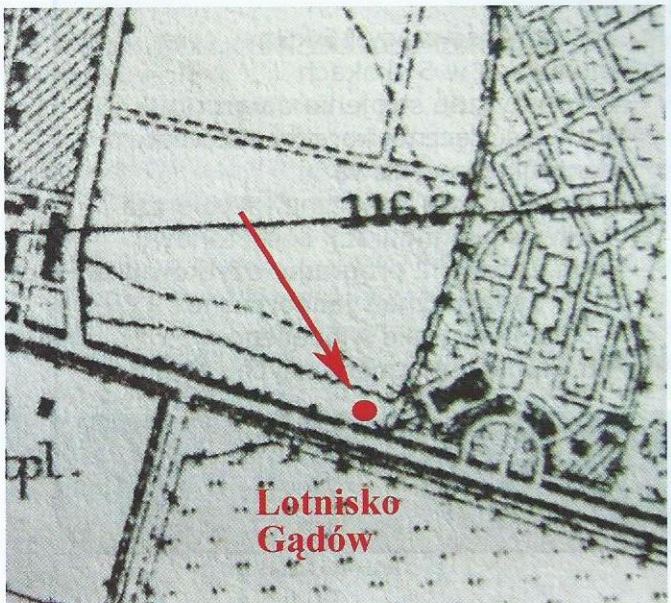

tylko jeden wielki u zbiegu ulic Konopnickiej i Kamińskiego. Tam był taki mur z grobowców, pamiętam, bo buszowaliśmy po tym cmentarzu. Ale już dawno go zlikwidowano, ocalała tylko cmentarna kaplica. No, ale były też inne. Tylko gdzie? Są na „mestiszblacie" ale to czarno-biała gęstwina kresek, będę musiał dioptrię do okularów dokupić. Mam! Przypomniałem sobie reprint niemieckiego planu miasta sprzed lat. Gdzieś powinien leżeć. Pół godziny szukałem, ale opłaciło się. Wszystkie cmentarze jak na dłoni, małe i duże, zieloniutkie na planie jak trawa. Dobra! Wybieramy tylko duże, na obwodzie miasta, no i musi być ten kościół, budynek, czy coś. Jadę po planie paluchem wzdłuż niemieckiej linii obrony. Ten nie, ten nie, ten dobry, ale nie ma żadnego kościoła. O! Ten cmentarz pasowałby! Na Hauptkampflinie znalazł się dopiero na początku kwietnia co prawda, ale ma puste przedpole, kościół też jest choć stoi inaczej, przy takim usytuowaniu (na planie) nie mogę widzieć jego szczytu, a na zdjęciu przecież widzę. Ale ta możliwość wydaje się najbardziej prawdopodobna. Nie wiem tylko, czy wytypowany cmentarz ma grobowce tworzące taki mur, jak na fotografii. Po prostu trzeba kiedyś pojechać. Zobaczyć.

Zjadłem obiad, co mi go udobruchana już Celestyna upichciła, żeberka dostałem, pyszota! Popatrzyłem przez okno. Słoneczko świeci. Herbatkę wypiłem i znowu popatrzyłem. Dalej świeci to słoneczko. Siedzę. Siedzę. Co ja właściwie w domu robię? Co to znaczy *„trzeba kiedyś pojechać"*. Trzeba wstać i jechać! Teraz! Już! Jestem nażarty, jest wcześnie, jest słoneczko i niewielki mro-

REKLAMA

MOTO WETERAN BAZAR

samochody zabytkowe i klasyczne

motocykle zabytkowe i współczesne

części

renowacja pojazdów

pojazdy wojskowe

akcesoria

dawna technika

militaria

literatura

starocie

gadżety

11-12 MAJA 2013

ŁÓDŹ - STADION "START" - UL. TERESY 56

PONAD 50 STOISK Z MILITARIAMI

NAJWIĘKSZA IMPREZA KOLEKCJONERSKA

Ponad 800 stoisk, 15 000 zwiedzających, powierzchnia giełdy 80 000 m2, niepowtarzalna atmosfera, 20-letnia tradycja.
Zapraszamy do Łodzi! Informacje - tel.: 42 205 44 33, 602 328 837
www.motoweteranbazar.com

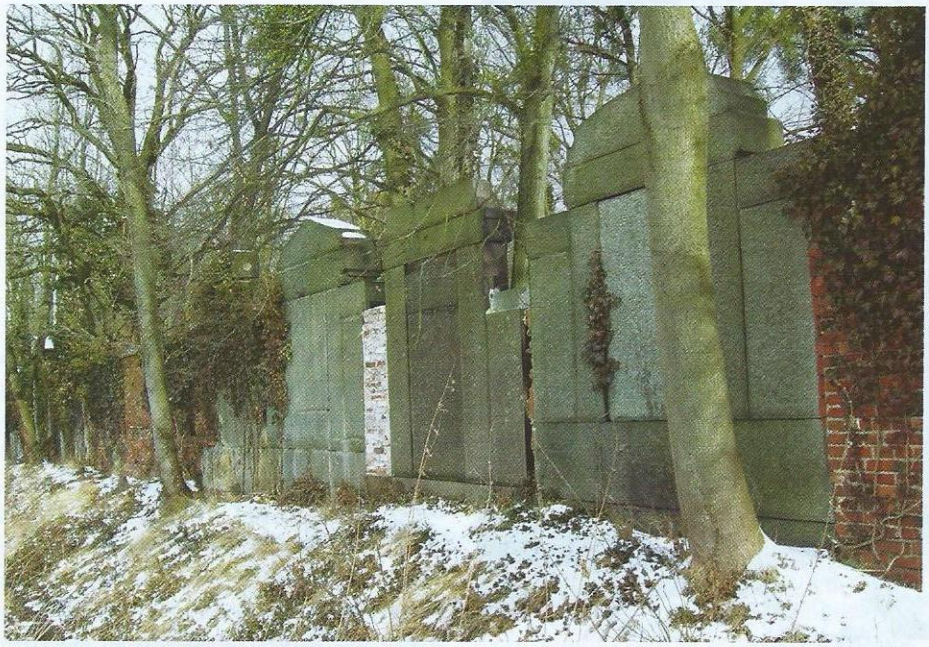

zik jest. I jest też Nowy Cmentarz Żydowski blisko, po mojej stronie miasta przy ulicy Lotniczej, bo to ten właśnie cmentarz wytypowałem. Po drugiej stronie ulicy Lufthafen Gandau, niemieckie, „zablokowane" dziś lotnisko, o które w 1945 r. toczyły się ciężkie walki. Przydałaby się tu pancerna kopułka. Tylko czy tam jest taki mur?

Zaparkowałem na wielkim, półkolistym cmentarnym podjeździe i drepczę na piechotkę wzdłuż posiekanego odłamkami muru z czerwonej cegły. Oglądam te otwory po odłamkach. Otwory, bo mur zrobiono z dziurawki i każdy odłamek robił dziurę w cienkiej ściance. Wkładam paluch w każdą dziurę i grzebię, chcąc znaleźć odłamek, żeby zobaczyć, jaki duży odłamek robił jaką dużą dziurę. Wydawałoby się, że wszystkie powinny być w środku, a na jakieś dwadzieścia dziur znalazłem tylko jeden. Odłamek robił dwa, trzy razy większą dziurę niż on sam. Chociaż, jak się zastanowić, to wystarczyło uderzenie, aby cegła odprysnęła od wewnątrz, i powstał otwór, a odłamek mógł spaść na zewnątrz, u podstawy muru. Dlatego ich nie znajdowałem w wybitych otworach. Tak. Tak musiało być najczęściej. To były małe odłamki. Z zewnątrz to wyglądało chyba tak: menel w gumiakach i podniszczonym chałacie włazi co chwila na trawnik pod cmentarnym murem, schyla się, jakby podnosi, znowu schyla, grzebie bez pośpiechu przy tym murze. Zbiera coś? Pędzą odnowioną Lotniczą błyszczące Mercedesy, Mazdy i Glizdy, szybki przyciemnione, ale widać, jak się biznesmen, co wczoraj kredyt wziął, nachyla do panienki ładnej, zadbanej. – *Patrz, menel puszki pewnie zbiera zamiast wziąć kredy... tfu, wziąć się do roboty*. Nie zaszczyciła panienka ładna, zadbana menela spojrzeniem, zajęta poprawianiem fryzury. A menel? No cóż? Spojrzałem smutno na swoje zabłocone gumiaki, odprowadziłem ładną, zadbaną panienkę tęsknym wzrokiem i wsadziłem paluch w kolejną dziurę. Ech, żyzń sobacza poszukiwacza! Tfu!

Doszedłem do rogu cmentarza. Powoli, ostrożnie wysuwam łeb za krawędź muru. Będzie, nie będzie, będzie, nie będzie? Jest! Jest taki mur, jak powinien być. Znalazłem! Od pierwszego strzału! No i zacząłem się przedzierać przez maliny i dzikie róże wąskim pasem ziemi pomiędzy siatką ogródków działkowych a głębokim rowem, którym płynęła czarna oleista zibura. Po co? A po to, żeby wam zdjęcia zrobić, żebyście uwierzyli. A żeby Was brzuch rozbolał.

Mój tel. 71 354 54 40

PS. Spójrzcie na powiększenie kopułki koło cmentarza. Teraz spójrzcie na powiększenie „czegoś", co znalazłem na fotografii lotniczej z 1947 koło lotniska wojskowego na wrocławskich Strachowicach. Przecież to chyba to samo! Czyżby takich pancernych kopułek było pełno na linii obrony miasta? I co wtedy z moją teorią „kolejowości" tych kopułek? Na kolejne fotografie nie ma już co liczyć. Jedynie starsi ludzie mogą potwierdzić, czy po wojnie coś takiego stało w tych miejscach.

Wojtek Stojak

Przyjaciel i wieloletni współpracownik „Odkrywcy". Niegdysiejszy geolog, dzisiaj poszukiwacz-emeryt. Nestor polskich eksploratorów. Twórca cieszącego się ogromną popularnością, emitowanego w latach 90., cyklicznego programu telewizyjnego „Klub Poszukiwaczy Skarbów".

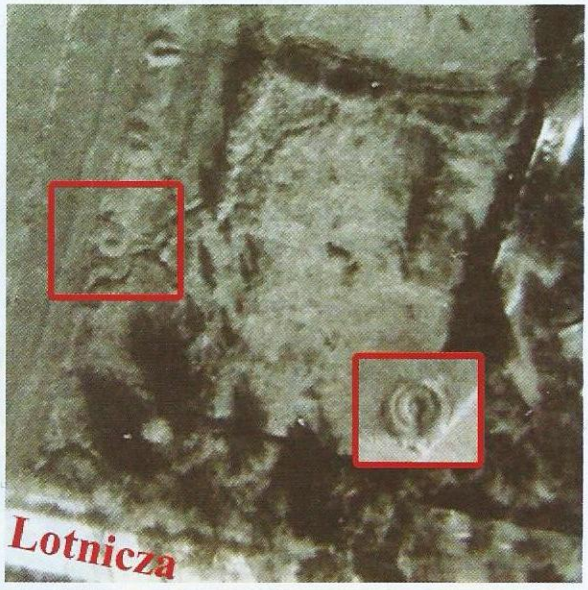

A jednak schron przeciwlotniczy... odkrycie nieznanych fotografii z okresu okupacji

TEKST: STAFANIA HANUSEK, MUZEUM ZAGŁĘBIA W BĘDZINIE
ZDJĘCIA: ACHIWUM PAŃSTWOWE W KATOWICACH, BARTOSZ GAWLIK.

Schron amunicyjny, ośrodek produkcji pocisków V1 i V2, tajna nazistowska fabryka niewiadomego przeznaczenia, wreszcie kryjówka dla zorganizowanej przez okupantów grupy fałszerzy. Od ponad pół wieku, czyli od momentu kiedy to miejsce stało się dostępne zarówno dla licznych poszukiwaczy wrażeń, jak i dla miłośników lokalnej historii, nie milkły polemiki i domniemania dotyczące przeznaczenia korytarzy pod będzińską Górą Zamkową.

Jedno od początku było pewne – podziemne tunele wydrążył w skale hitlerowski okupant gdzieś na przełomie 1942-43 roku. Informacja ta pochodziła jednak głównie od ostatnich świadków II wojny światowej, tyle tylko, że pamięć ludzka bywa zawodna. Tymczasem odpowiedź na część nurtujących nas pytań leżała przez wszystkie te lata „pod nosem" lokalnych historyków, w miejscu wydawać by się mogło nader oczywistym, a mianowicie w przepastnych zbiorach Archiwum Państwowego w Katowicach. Wbrew wcześniejszym informacjom (czy raczej dezinformacjom), jakoby dokumentacja dotycząca będzińskich podziemi w ogóle się nie zachowała, i co najwyżej należy poszukiwać jej szczątków w archiwach poza granicami kraju, sosnowiecki historyk Grzegorz Onyszko, przeszukując zgromadzone w Katowicach dokumenty dotyczące Będzina, natrafił na wyjątkowe archiwalia. Stanowi je kilkanaście unikatowych fotografii, które rzucają sporo światła na część tajemnic będzińskich podziemi. Ważniejsze od samych zdjęć okazały się jednak opisy umieszczone tuż obok. Adnotacje wykonane zostały w momencie powstawania dokumentacji fotograficznej, a zatem spisane są niemiecką ręką, dobrze wystudiowanym Spitzschriftem (nazwa charakterystycznej kurrenty niemieckiej). Zapiski znajdują się w rubryce „Bemerkungen" (Uwagi/spostrzeżenia) i brzmią: *„Beim Durchboren des Luftschutzstollens in Bendsburg"*. Znaczenie nie budzi wątpliwości, nawet dla laika w znajomości języka Geothego: *„Przy drążeniu sztolni przeciwlotniczych w Będzinie"*. Luftschutzstollen to jeden z typów niemieckich cywilnych schronów przeciwlotniczych drążonych w zboczach gór w postaci tuneli i sztolni. Zupełnie tak, jak nasz będziński kompleks (chyba warto już przestać mówić o będzińskich lochach – ani nie ta epoka, ani nie ta lokalizacja).

Wróćmy do naszych zdjęć, relacjonujących swego rodzaju święto lokalnej społeczności, bo tak z dużą dozą pewności można nazwać wydarzenia na nich uwiecznione. Świadczy o tym zarówno nastrój emanujący z obrazów, jak i podniosłe miny uczestników. To prawdopodobnie częściowy odbiór robót przy podziemnych tunelach lub jedna z inspekcji będącego w budowie obiektu przez miejscowe władze. Przyglądając się uważnie zdjęciom, zauważymy na nich wejście do tunelu, choć odgadnięcie które to z nich, może przysporzyć nieco trudności. Być może jest to jedno z wejść od Alei Kołłątaja, nazywane

Zaproszeni goście w pobliżu jednego z wejść do schronu.

Wśród gości zgromadzonych w pobliżu wejścia do tunelu stoi Alexander von Woedtke, nadprezydent policji w Sosnowcu.

Od lewej burmistrz Będzina Hans Kowohl, dalej Kreisleiter NSDAP Karl Rademacher oraz miejski inspektor budowlany Schneppendahl.

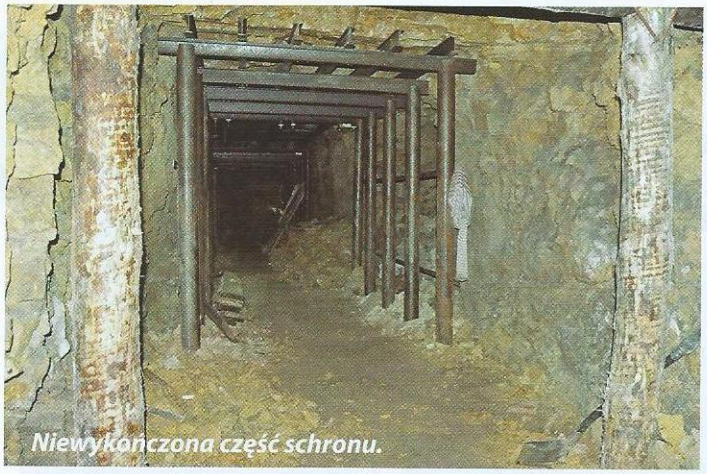

Niewykończona część schronu.

na planach sytuacyjnych wejściami A i B. Na pierwszym planie najwyżsi notable miejscowej, okupacyjnej nomenklatury: burmistrz miasta Hans Kowohl, tuż obok roześmiany Komisaryczny Prezydent Policji z Sosnowca SS-Standartenführer Alexander von Woedtke (w ostatnich dniach urzędowania, jego stanowisko zlikwidowano w końcu sierpnia 1944). Za nimi Kreisleiter NSDAP Karl Rademacher. Na innym zdjęciu główny miejski inspektor budowlany, z dokumentami w dłoni referujący postępy prac otaczającym go dygnitarzom. Na kolejnej fotografii grupa osób pochylających się nad planami – wśród nich także wyżej wymienieni oficerowie. Wydarzenie w środowisku miejscowej niemieckiej socjety musiało być niezwykle doniosłe. Świadczą o tym zarówno sylwetki wspomnianych notabli – Kowohla, Woedtkego, Rademachera oraz spora ilość zaproszonych gości (dokładnie takiego słowa użyto w opisie). Wśród nich przedstawicielki Związku Niemieckich Dziewcząt (BDM-Bund Deutscher Mädel) w Będzinie – panie Blauke i Imhoff.

Dokumentacja datowana jest na koniec sierpnia 1944 roku. Tym samym potwierdzają się wcześniejsze informacje z ustnych relacji świadków – pod warunkiem, że oznaczałyby one początek prac. Wpisuje się to również w tzw. natychmiastowy program Hitlera z 1942 roku, ogłoszony w związku z niszczącymi bombardowaniami alianckimi na terenie Rzeszy. Nakazywał on pilną budowę schronów przeciwlotniczych dla ludności cywilnej. Z nielicznych relacji świadków wynika, że do drążenia tunelu wykorzystywano żydowskich robotników z getta będzińskiego, co potwierdzają znajdujące się w Muzeum Zagłębia „Wspomnienia z lat okupacji hitlerowskiej 1939-1945". To jedno z nielicznych źródeł pisanych z tego okresu lakonicznie wspomina o podziemiach, pojawia się tu wzmianka o zmuszaniu do katorżniczej pracy Polaków – więźniów ówczesnego aresztu przy (obecnie) ul. Paryskiej. Bardzo prawdopodobne, że Polaków rzeczywiście wykorzystywano do drążenia tych tuneli wespół z Żydami, a po likwidacji getta w 1943 roku – pracowali oni sami.

Będziński schron przeciwlotniczy budowany był głównie z myślą o niemieckiej ludności cywilnej miasta i stanowił element wpisujący się w nazistowski „Generalplan Ost", który zakładał zupełną germanizację terenów położonych na wschód od Trzeciej Rzeszy poprzez zasiedlenie Europy Środkowo-Wschodniej przez Aryjczyków. Idea tworzenia Lebensraumu w Będzinie (od 1941 roku noszącego nazwę Bendsburg) znajduje potwierdzenie w przesiedleniu do getta będzińskich Żydów, a w konsekwencji wywiezieniu ich do obozów zagłady, oraz rozpoczęciu urbanistycznego przeobrażenia miasta podług niemieckiej ideologii. Już w 1941 roku zaczęto wyburzanie „prymitywnej", tradycyjnej zabudowy polskiej przy głównych ulicach miasta, połączonej z likwidacją śladów kultury żydowskiej w centrum Będzina (rozbiórka spalonej synagogi i mykwy). Budowa schronów dopełnia tylko obraz przeobrażania Będzina w Bendsburg.

Lokalizacja tego kompleksu pod Górą Zamkową była genialna w swej prostocie – betonowe, łukowato sklepione tunele chronione były kilkunastometrową warstwą twardego dolomitu. Obraz z lotu ptaka nie budził zastrzeżeń. Ruiny zamku, park, a w jego sąsiedztwie cmentarz i kirkut (ten ostatni stopniowo unicestwiany pod zwałami pochodzącą z drążonych korytarzy ziemią i odłamkami skał) nie powinny były stać się celem ewentualnych nalotów. Teren wokół wszystkich wejść do schronów, zarówno od dzisiejszej Alei Kołłątaja, jak i od Podzamcza, był natomiast gęsto otoczony zabudową mieszkalną, co świetnie je kamuflowało, a jednocześnie ułatwiało ludności cywilnej drogę ewakuacji (również w kontekście powstawania przy ulicy Podzamcze kolonii budynków mieszkalnych dla sukcesywnie osiedlających się Niemców). Wyklucza to forsowaną do niedawna teorię użytkowania podziemi jako tajnej fabryki – chociażby ze względu na trudności logistyczne i bezpośrednią łączność z osiedlami ludzkimi. Trudno o zachowanie tajności w ścisłym centrum miasta. Chociaż kto wie... Może bieg wydarzeń wojennych spowodował zmianę koncepcji i modyfikację przeznaczenia schronów? Pamiętajmy, że założenie w postaci podziemnego kompleksu tuneli nigdy nie zostało ukończone. Świadczą o tym ślepe korytarze w części zachodniej, nie przebite wejścia od ulicy Podzamcze, a przede wszystkim niewykończona część zachodnia kompleksu. Być może natrafiono tu na barierę naturalną, która nie pozwoliła na kontynuowanie prac. A może nadciągający front przerwał realizację planów okupanta? Sztolnia mogła być przecież częścią jakiegoś szerszego zamysłu, którego realizację przerwał koniec wojny. Z drugiej strony znane są niemal identyczne obiekty w Niemczech, nader często budowane właśnie w różnego rodzaju formach skalnych w centrach miast (chociażby kompleks Iserlohn w Nadrenii-Westfalii – co ciekawe, budowany dokładnie w tym samym czasie, co będzińskie podziemia). Analogie konstrukcyjne są tu wręcz uderzające!

Jeśli uznać będziński kompleks tuneli za schron przeciwlotniczy dla ludności cywilnej, to pojawia się pytanie: gdzie znajdują się pomieszczenia sanitarne, czy wentylacyjno-filtracyjne niezbędne w tego typu miejscach? Być może były nimi małe komórki tuż przy wejściach A i C, nazywane wartowniami? A może, podobnie jak w Iserlohn, nie zdążono ich utworzyć i postanowiono ograniczyć się do minimum zakładając, że schron będzie jedynie miejscem krótkotrwałej kryjówki? Pytania tego typu należy zakwalifikować do kategorii dalszych postulatów badawczych. Być może odpowiedź na nie znajdzie się w archiwach (a wiele na to wskazuje). Fakt natrafienia na „nieistniejące" materiały daje zaś asumpt do dalszych poszukiwań, stanowiąc jednocześnie przyczynek do wyjaśnienia tej dotychczas tajemniczej kwestii.

Artykuł przygotowano na podstawie materiałów pochodzących z Archiwum Państwowego w Katowicach.

Stefania Hanusek

Historyk, pracownik naukowy Muzeum Zagłębia w Będzinie. Pasjonatka historii sztuki i architektury, zwłaszcza modernistycznej. Członek Fundacji „Brama Cukermana", zajmującej się upowszechnianiem historii regionu oraz ochroną zabytków. Uczestnik i współtwórca projektów edukacyjnych przeznaczonych dla dzieci i młodzieży.

Militarne epizody dolnośląskich rezydencji (cz. 5)

Dom rodzinny Wernhera v. Brauna w Bystrzycy

TEKST: SZYMON WRZESIŃSKI, WSPÓŁPRACA: MAŁGORZATA STANKIEWICZ

Kilka kilometrów od Wlenia, na niewielkim wzniesieniu, znajduje się dawny majątek dworski. W latach 30. i 40. XX wieku mieszkali w nim rodzice współtwórcy rakiet A-4 (V-2). To właśnie tutaj, pewnego zimowego wieczora, narodził się pomysł stworzenia poligonu doświadczalnego w Peenemünde nad Bałtykiem. I pomyśleć, że młodemu niemieckiemu naukowcowi ten pomysł podsunęła jego własna matka…

Wieś rozciąga się na wysokości 250-450 m n.p.m. wzdłuż potoku Wierzbnik, będącego prawym dopływem Bobru. Pisemnych dowodów bytności dawnej osady służebnej można doszukać się w dokumentach z 1217 r., kiedy nosiła nazwę Bistic i należała do kasztelanii wleńskiej. Początkowo znajdował się tu jedynie duży folwark, który w XIV stuleciu przeszedł na własność rodziny v. Wederaw. Następnie majątek – przemianowany z upływem lat na Wiesenthal – stanowił własność rodu v. Zedlitz, który w latach 80. obok zabudowań gospodarczych wzniósł wieżę mieszkalną. Po śmierci Kunza v. Zedlitza jego spadkobiercom zależało na sprawnym podziale majątku. Ponieważ skutkiem często niezgodnych z ówczesnym prawem działań dziedzic pozostawił po sobie liczne wyroki, chcąc rozwiązać ten problem, w 1535 r. we wrocławskim ratuszu zawarto umowę pojednawczą. Zapewne właśnie wtedy nastąpił podział wsi na dolną i górną część, która utrzymała się przez kolejne stulecia. Nie wiadomo, który z przedstawicieli rodu v. Zedlitz kazał przebudować starą siedzibę na reprezentacyjny pałac oraz kiedy, po drugiej stronie drogi, inny szlachcic wybudował nową i zarazem znacznie mniejszą rezydencję. Wydawać by się mogło, iż jednej z inwestycji dokonał Konrad von Zedlitz, od 1605 r. władający zamkiem położonym nad Wleniem. Ponieważ to właśnie on doprowadził do największej przebudowy średniowiecznej warowni, raczej można go wykluczyć z grona fundatorów rycerskiej siedziby w Bystrzycy. Zwłaszcza że szukając dodatkowych funduszy, zdecydował się sprzedać ów majątek swemu wujowi Hansowi von Zedlitz. Po śmierci tego ostatniego (1617 r.) cała wieś przeszła w ręce jego syna Konrada, który w 1636 r. za 15 tys. talarów sprzedał (lub dał w zastaw) Siegmundowi von Festenberg wsie Chmielno oraz Bystrzycę, wraz z dwoma dworami i folwarkami. Jest to zarazem pierwsza pisemna informacja potwierdzająca istnienie w górnej i dolnej części wsi renesansowych siedzib. Pod koniec swego życia Hans przeniósł się do Biedrzychowic, zaś tutejszy majątek planował początkowo podzielić między dwie córki: Theodorę oraz Elizabeth. Ostatecznie Theodora, która wyszła za Hansa Christopha von Schweidnitz w 1670 roku, odziedziczyła całą Bystrzycę. Po niej wieś przez kilka dekad posiadali kolejni przedstawiciele tejże rodziny. Musieli jednak przebywać na stałe w większym pałacu, albowiem

Barokowa oficyna, zwana dworem von Braunów. Stan obecny. Fot. Sz. Wrzesiński.

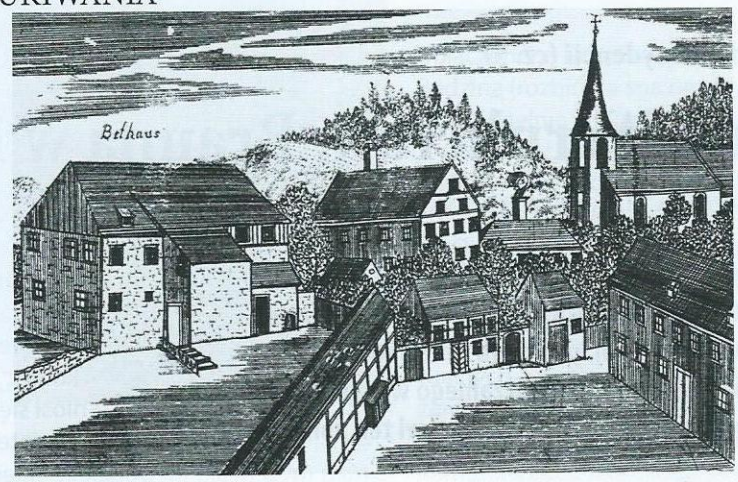

Bystrzyca ok. 1750 r. Z lewej dwór przebudowany na Dom Modlitw, z prawej oficyna dworska. W tle widać pałac i kościół w dolnej części wsi. Źródło: Wratislaviae Amici

od 1742 r. opuszczony dwór w górnej Bystrzycy bywał coraz częściej wykorzystywany przez miejscowych ewangelików do organizowania spotkań religijnych. Kilka lat później starą rezydencję przebudowano, i przekazano na stałe do wykorzystania jako „dom modlitw" (niem. Bethaus). Zapewne właśnie wtedy zlikwidowano renesansowe szczyty i zmieniono fasadę, bowiem te elementy w największym stopniu przypominały pierwotny, rezydencjonalny charakter budowli. Kolejna decyzja zapadła w 1772 r., sześć lat po zawarciu ślubu pomiędzy Bernhardem von Schweinichen z Bystrzycy a Christianą Marią von Buchs. Wówczas to część murów dawnej rezydencji rozebrano, a w tym miejscu wzniesiono „nowy" zbór ewangelicki. Dla upamiętnienia nietypowej inwestycji, nad portalem zboru wmurowano herby obu rodów. Zdecydowano się jednak zostawić budynek oficyny dworskiej wraz z przylegającym do niego folwarkiem. To właśnie w tym miejscu w późniejszym okresie zamieszkają rodzice Wernhera von Brauna.

Wracając do końca XVIII stulecia warto wspomnieć o kilku istotnych wydarzeniach. W 1794 r. w dolnej części wsi doszło do wielkiego pożaru. Ogień strawił „dom dla służby", pałac oraz sąsiednie budynki. Spłonął także „dom jadalny" i budynek mieszkalny dla chłopów zatrudnionych w folwarku. Spaliła się większa część zgromadzonych tutaj dóbr. Załamany dziedzic kazał odbudować część najważniejszych budynków, następnie podjął decyzję o opuszczeniu majątku. Dlatego w 1799 r. sprzedał wieś swej córce Christinie Eleonorze von Buchs.

Po kilkunastu latach spokojnego żywota, mieszkańcy coraz bardziej zaczęli odczuwać skutki toczonej w 1813 r. na Śląsku kampanii napoleońskiej. Spokój burzyły „wizyty" pojawiających się we wsi oddziałów rozmaitych armii. Pierwsze wojska dotarły tu wiosną, o czym wspominał proboszcz Scharfenberg z położonej kilka kilometrów dalej Soboty: *„Rankiem 27 maja przybył tu pierwszy francuski oddział, który składał się z Francuzów, Włochów i Hiszpanów, którzy nie splądrowali* [całej wsi], *ograniczając się do nielicznych przypadków zabierania ludziom pieniędzy i odzieży. Także przybyli dzisiaj i kozacy w dużej sile; swe obozowiska mieli koło Bystrzycy. Postawili pikietę obok wzgórza za kościołem i do 8 czerwca strasznie dawali znać o swoim istnieniu. Codziennie mieli z Francuzami strzelaninę; przez to codziennie byliśmy w strachu od ognia i plądrowania. Ponadto musieliśmy obie grupy zaopatrywać w furaż i żywność"*. Mimo iż źródła skąpe są w szczegółowe opisy – wydaje się, że w Bystrzycy odczuto walki także w okolicach Bobru, a zwłaszcza podczas krwawej bitwy o Wleń (16-17 sierpnia). Pośrednio świadczy o tym inicjatywa podjęta w 1913 r. przez ówczesnego właściciela dolnej części wsi, kapitana w stanie spoczynku Ernsta von Lewald, który zainicjował stworzenie pomnika poświęconego kampanii napoleońskiej. Korzystając z rocznicowej okazji, w pobliżu kościoła odsłonięto piaskowcową kolumnę zwieńczoną piramidką z kul armatnich. Kim był ówczesny właściciel pałacu? Jego matka posiadała dom we Wrocławiu, a następnie pałac w Świętej Katarzynie położony na południe od stolicy Dolnego Śląska: *„Pani Julia Lewald miała dwóch synów. Młodszy był oficerem, rotmistrzem strasburskich huzarów. Służbę zakończył w 1909 roku i w 1910 roku nabył majątek ziemski Nieder Wiesenthal. W 1914 roku trafił na front i podczas wojny awansował do stopnia majora"* – czytamy w „Der Schlesier". Stary oficer zarządzał połową wsi co najmniej do 1938 roku. Po nim, aż do początku 1945 r. kilkaset hektarów otrzymał jego syn Dietrich. Nieco inaczej potoczyły się losy górnego majątku, który w latach 20. posiadała firma Weidegenossenschaft GmbH, zarządzana na miejscu przez v. Leichmanna i starszego ziemskiego v. Löscha.

Kilkaset kilometrów dalej Magnus von Braun z Neucken (ob. Dubki, Obwód kaliningradzki w Rosji) piął się po drabinie kariery politycznej. Po odejściu ze służby w stopniu porucznika rezerwy,

Ministrowie w rządzie Franza von Papena, z lewej siedzi Magnus von Braun, 1 VI 1932 r. Źródło: wikimedia commons

od jesieni 1900 r. przyjmował rozmaite funkcje na kolejnych posadach w Prusach Wschodnich i Zachodnich. Rok po zawarciu związku małżeńskiego z Emmą von Quistorp (1910 r.), Magnus otrzymał stanowisko komisarza „Kreis Wirsitz" (ob. Wyrzysk) oraz niewielkie lokum służbowe. 23 III 1912 r. w domu v. Braunów przyszedł na świat drugi syn, Wernher Magnus Maximilian. Ponieważ dwa lata później wybuchła wojna, Emma zabrała swoich synów do Krakowa, skąd przeniosła się latem 1914 r. do nadbałtyckich dóbr rodowych w Zinnowitz (pn. część wyspy Uznam). Jako że na początku 1915 r. Magnus otrzymał propozycję objęcia stanowiska adiutanta sekretarza stanu w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, przez pewien czas pełnił dwie funkcje. Gdy po zakończeniu I wojny światowej Wyrzysk znalazł się w granicach Rzeczypospolitej, von Braunowie wyjechali na stałe do Berlina. Dopiero tutaj rodzina odczuła zmianę standardu życia, dzięki wysokim zarobkom ojca. Wykorzystał on bowiem koneksje, by znaleźć się w zarządzie Reichsbanku (1924 r.), a następnie objąć stanowisko dyrektora naczelnego banku Raiffeisen (1926 r). Magnus zadbał również o odpowiednie wykształcenie swych synów, których wysłał do kilku renomowanych szkół. Przełomowym okazał się rok 1930, zarówno dla Wernhera zdającego wiosną egzamin dojrzałości, jak i Magnusa, który latem zdecydował się odejść z zajmowanego dotąd stanowiska i kupić „folwark szlachecki" w górnej Bystrzycy. Wernher von Braun po zakończeniu półrocznej praktyki w podberlińskiej fabryce lokomotyw, udał się na Dolny Śląsk zobaczyć nową „rezydencję" swego ojca. Po przyjeździe do niewielkiej wsi k. Wlenia zapewne doznał sporego rozczarowania. Stojący tutaj pałac nie należał do jego ojca, lecz do starego Ernsta von Lewalda. Majątek Magnusa był położony co prawda *vis-à-vis*, lecz nie było tam wielkiej rezydencji, a jedynie stara oficyna dworska i folwark. Ojciec Wernhera znalazł w dokumentach, że przed laty stała tu rycerska siedziba, a w okolicy w XVII stuleciu kilka okolicznych majątków posiadał ród von Braun. Następnie, po wybraniu na siedzibę

Kartusz herbowy na fasadzie domu rodzinnego von Braunów w Bystrzycy. Stan z 2009 roku. Fot. Sz. Wrzesiński.

Ostatnimi czasy kartusz z rzekomym fundatorem dworu Sigmundem von Braun został pomalowany przez nowego właściciela posesji. Fot. Sz. Wrzesiński.

barokową oficynę, nakazał wmurować nad wejściem kamień z inskrypcją: *„SIGEMUND VON BRAUN ANNO 1646"*. Miało to podnieść historyczną wartość nader skromnego budynku, zwanego odtąd dworem. Syn Magnusa von Brauna pojawiał się we wsi wielokrotnie. Na pewno był tu w marcu 1931 r., kiedy postanowił nauczyć się pilotażu. 19-letni Wernher po opłaceniu kursu u Wolfa Hirtha w Grunau (ob. Jeżów Sudecki k. Jeleniej Góry), poświęcił większość czasu na podstawowe szkolenie szybowcowe. Po ukończeniu 20-dniowego kursu i zdobyciu kategorii A i B, Wernher spędził Wielkanoc w rodzinnym gronie w Bystrzycy, po czym wyjechał na studia do Wyższej Szkoły Technicznej w Zurychu. Po kilku miesiącach złożył jednak rezygnację z dalszej edukacji w tutejszej placówce, bowiem zdecydował się podjąć naukę w Wyższej Szkole Technicznej w Charlottenburgu. Do rodowej siedziby w Bystrzycy 20-letni von Braun przyjechał na kilka dni wiosną 1932 r., co wynikało głównie z chęci zrobienia pod Jelenią Górą kolejnego kursu. Datę egzaminu wy-

Bracia von Braun (od lewej) Sigismund, Wernher i Magnus. Źródło: „Encyklopedia Alabama".

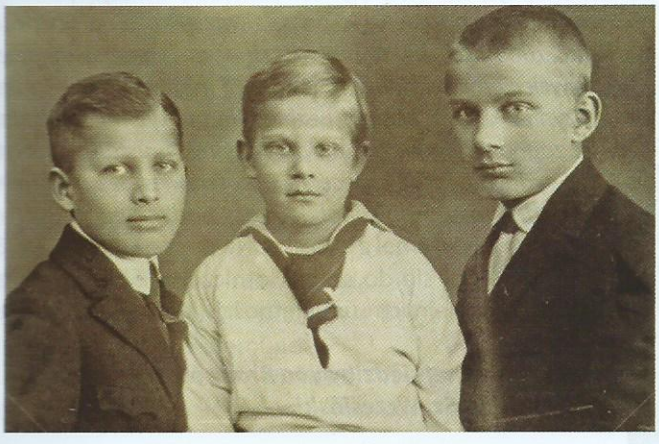

Bracia von Braun: Wernher, Magnus i Sigismund w 1925 roku. Źródło: Bildarchiv Kreisgemeinschaft Rastenburg.

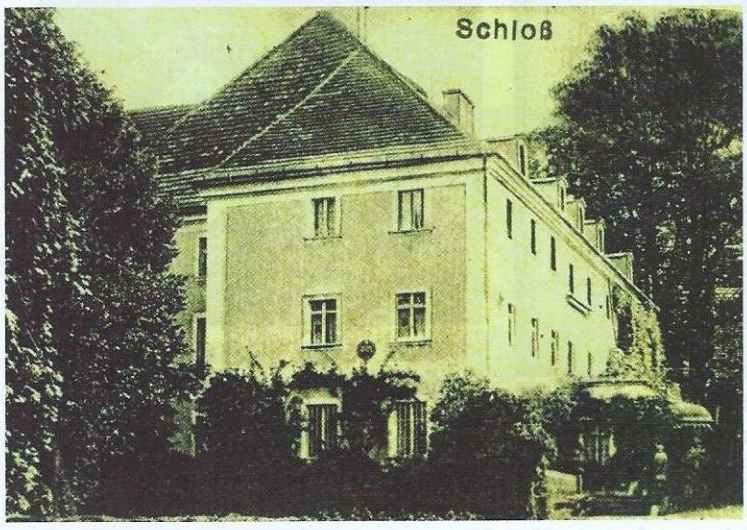

Pałac w dolnej Bystrzycy rozebrany po ostatniej wojnie. Fot. ze zb. Sz. Wrzesińskiego.

znaczono na 10 kwietnia. Tego dnia Wernher wzbił się szybowcem do góry, utrzymując się w powietrzu ponad 11 minut, po czym bezpiecznie wylądował. To wystarczyło, by zdać egzamin i zdobyć licencję pilota szybowcowego kategorii C. Ważny dlań okres miał jeszcze jeden istotny epizod. W szkoleniu tym uczestniczyła tylko jedna kobieta i zarazem jego rówieśniczka. Była nią Hanna Reitsch, która później zasłynie jako pilotka testowa. Na początku czerwca tego samego roku Magnus otrzymał intratne stanowisko ministra rolnictwa, co zaowocowało przeprowadzką ze starej służbowej willi na obrzeżach Berlina do luksusowej rezydencji w centrum stolicy, nieopodal Bramy Brandenburskiej. Po wyborach do Reichstagu (31 lipca) NSDAP z 38-procentowym poparciem stała się największą partią w niemieckim parlamencie. Mimo to przywódca narodowych socjalistów odmówił uczestnictwa w nowym gabinecie. Po sformowaniu się kolejnego rządu koalicyjnego z kanclerzem Adolfem Hitlerem na czele, senior v. Braun stracił posadę, tym samym na początku lutego 1933 r. musiał z rodziną przenieść się do nieco skromniejszej willi. Kilkanaście miesięcy później berliński urzędnik postanowił wraz z żoną wyjechać na stałe do swego skromnego „dworu" na Dolnym Śląsku. Pozostał jednak członkiem w radach nadzorczych dwóch banków państwowych. Owe posady, emerytura urzędnicza oraz dochód ze 120-hektarowego majątku w Bystrzycy, pozwalały na spokojny żywot, podróże, zakupy markowych win oraz wsparcie finansowe dla najmłodszego syna. Ten ostatni, mimo uczęszczania do szkoły położonej na odległej wyspie Spiekeroog (był tam przywódcą jednej z grup Hitlerjugend), każde ferie spędzał k. Wlenia. Po opuszczeniu rodzinnej posiadłości Wernher powracał każdorazowo do Kummersdorfu, gdzie trwały zaawansowane prace nad rakietą A-1, a następnie jej ulepszoną wersją zwaną A-2. Ponieważ z czasem w ośrodku tym brakowało miejsca na dalsze testy, a ponadto nie dało się zapewnić wystarczającej tajności, zaczęto szukać lepszej bazy: *„Szukałem odpowiedniego miejsca, z którego można by wystrzeliwać rakiety na odległość setek kilometrów. Ze względów bezpieczeństwa byłoby najlepiej, by miejsce to leżało na wybrzeżu"* – pisał po latach v. Braun. Pełen pomysłów i planów, lecz martwiący się ciągłym brakiem ośrodka badawczego, poleciał samolotem, po czym z lotniska wyruszył samochodem wprost do rodzinnego domu: *„Na święta pojechałem do rodziców na Śląsk"* – wspominał po latach. Podczas wieczornych rozmów przy kominku Wernher zwierzył się rodzicom z potrzeby znalezienia „odpowiedniego miejsca" na nowy poligon doświadczalny – dodając, że tylko wtedy czekać go będą „wspaniałe perspektywy". Usłyszawszy to Emma, odrzekła: *„Może byś obejrzał Peenemünde? Twój dziadek często polował tam na kaczki. Straszne odludzie"*. Pomysł natychmiast przypadł do gustu młodemu fanatykowi rozwoju programu rakietowego. Nic dziwnego, że wytrzymał w Bystrzycy tylko kilka dni. Zaraz po Nowym Roku udał się na północ, by obejrzeć ziemie położone kilkanaście kilometrów od dawnej posiadłości rodu von Quistorp, z którego pochodziła jego matka: *„Pojechałem obejrzeć ten teren. Zakochałem się w nim od pierwszego spojrzenia"* – wyznał Wernher.

W latach 1936-1937, kiedy na wybrzeżu powstawał poligon rakietowy wojsk lądowych i lotnictwa, v. Braun przeprowadził się do nadbałtyckiego Zinnowitz oraz skupił się na kolejnej modernizacji rakiety, zwanej teraz A-3. Młody aerodynamik Peter Wegener, wiedział doskonale, kto w tym ośrodku gra pierwsze skrzypce: *„Przyznam, że v. Braun był w Peenemünde niekwestionowanym liderem. To on wybierał członków zespołów konstruujących i wytwarzających rakiety. To on miał wizję, jakie należy posiadać zdolności, by zajmować się tym pionierskim przedsięwzięciem. Był dobrym fizykiem i miał wyjątkowy talent inżynierski (...). Potrafił bezbłędnie i natychmiast oddzielić zagadnienia ważne od peryferyjnych, ustalać priorytety, wydawać jasne polecenia i do tego jeszcze inspirować ludzi do pracy. Jego zapał do pracy nad rozwojem tych rakiet graniczył niemal z obsesją"*. Na początku maja 1938 r. Wernher udał się do szkoły lotniczej w Słupsku, celem zdobycia kolejnych umiejętności lotniczych. Podczas

Widok dawnej siedziby von Braunów w kwietniu 2013 r. Fot. Sz. Wrzesiński.

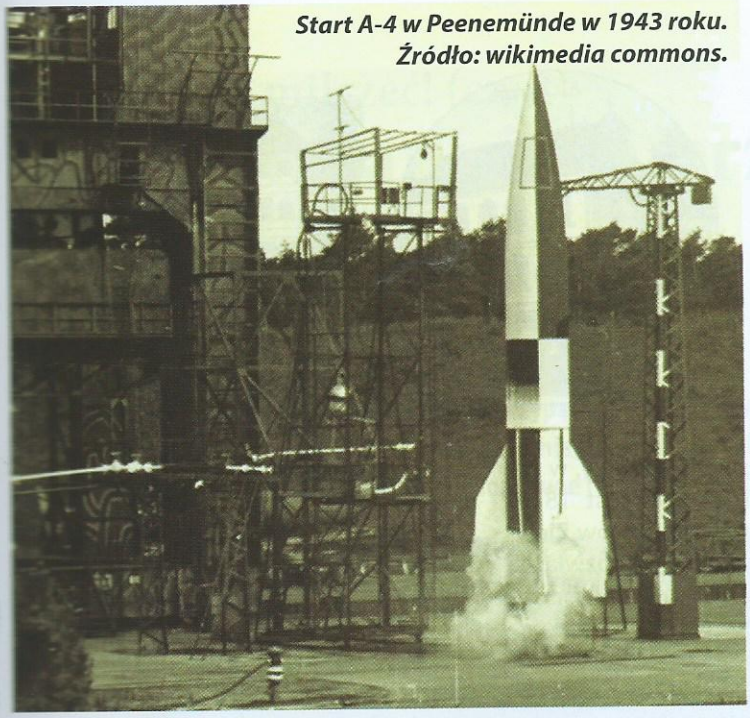

Start A-4 w Peenemünde w 1943 roku. Źródło: wikimedia commons.

Wernher von Braun w towarzystwie niemieckich oficerów. 1941 r. Źródło: wikimedia commons.

Przygotowania do startu A-4 w Peenemünde w 1943 roku. Źródło: www.labaranda.yuku.com

10 dni kursu latał rozmaitymi maszynami, dzięki czemu otrzymał licencję K1. Będąc teraz pilotem rezerwy Luftwaffe, wykorzystał nowe kwalifikacje do wielu podróży. 19 VIII 1939 r. w sobotę wylądował swym Bf-108 na lotnisku pod Jelenią Górą, skąd pojechał do rodziców. Godzinami opowiadał im o nowym „rakietowym ośrodku doświadczalnym", snuł wizje lotu człowieka w kosmos, wspominając mimochodem o rozwoju własnej kariery. Po dwudniowym pobycie w Bystrzycy, wrócił do Peenemünde.

Po wybuchu II wojny światowej program rakietowy o mało nie utracił uprzywilejowanego statusu, albowiem Hitler początkowo nie był przekonany o konieczności wykorzystania do walki eksperymentalnych i często awaryjnych (wówczas) pocisków. Tajny poligon przetrwał m.in. dzięki osobistej interwencji Alberta Speera, rządowego nadzorcy planu budowlanego III Rzeszy. Efektem znaczącego wsparcia było stworzenie pod koniec października 1940 r. pierwszego egzemplarza A-4 (znanej potem jako V-2). Wysoka 14-metrowa rakieta ważyła 13 ton i posiadała silnik na paliwo ciekłe o ciągu 245 kN. Po nieudanej inwazji na Wyspy Brytyjskie, wiosną 1941 r. ośrodkowi w Peenemünde przyznano status najwyższego priorytetu, celem szybkiego zakończenia prób i wszczęcia produkcji A-4, które miały pomóc w zniszczeniu Korony. Prace jednak trwały powoli i niejednokrotnie kończyły się niepowodzeniem. Po raz kolejny zaczęto naciskać naukowców do zakończenia badań, tuż po rozpoczęciu ofensywy Armii Czerwonej pod Stalingradem (listopad 1942 r.). Jakby mało było problemów, 18 VIII 1943 r. miały miejsce naloty na Peenemünde, które spowodowały ogromne zniszczenia i potrzebę znalezienia nowego, tajnego poligonu. Biorąc pod uwagę fakt, iż od końca sierpnia v. Braun przez kolejne tygodnie wykonał dziesiątki lotów w rozmaite zakątki III Rzeszy niewykluczone, że odwiedził rodziców w Bystrzycy. Zwłaszcza, iż część tych podróży odbywał w towarzystwie młodszego brata, którego zrobił swoim osobistym asystentem i pilotem. Cel tych wojaży był rozmaity; czasem szukano miejsca na nowy poligon, innym razem odwiedzano ośrodki wytwarzające części do rakiet A-4. Kolejny okres „pod-

Wernher von Braun (od lewej) z bratem Magnusem 3 V 1945 r. – w dniu, kiedy poddali się Amerykanom. Źródło: www.labaranda.yuku.com

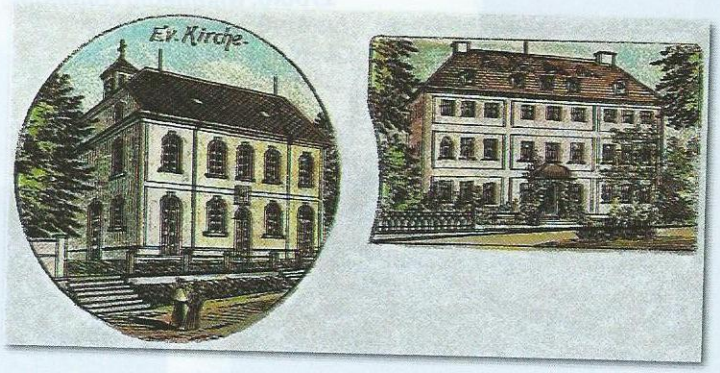

Z lewej strony dawny dwór z górnej Bystrzycy przebudowany na kościół ewangelicki, z prawej pałac w dolnej części wsi w 1905 roku. Pocztówka ze zb. Sz. Wrzesińskiego.

niebnych podróży" nastąpił na przełomie lutego i marca 1944 roku. Udało się jedynie ustalić, że kilka razy Wernher latał do południowo-wschodnich Niemiec, a zatem mógł pojawiać się na Śląsku. Na pewno Wernher, wraz z bratem, przebywał w majątku dworskim swych rodziców na początku lutego 1945 roku. Zamierzał zabrać ich ze sobą, albowiem wojska sowieckie były zaledwie 20 kilometrów dalej. Na nic zdały się prośby i błagania. Magnus oraz Emma, zapewne z obawy przed rabunkiem majątku, postanowili pozostać we wsi. Ich synom nie pozostało nic innego, jak tylko zabrać najważniejsze rzeczy i pojechać na jeleniogórskie lotnisko. Starsze wiekiem małżeństwo pozostało w Bystrzycy. Trzy miesiące później okazało się, że lokalne władze wydały nakaz opuszczenia majątków: *„Podobno mamy wędrować dalej na zachód. Dlaczego? Rosjanie są już w pobliżu, ale nie zrobili nic nikomu. Panuje wielkie zdenerwowanie"* – zastanawiał się podczas tymczasowego pobytu w pobliskim Maciejowcu, Magnus von Braun: *„Wieczorem około północy nastąpiło przerwanie ognia. Niemniej jednak, nadal dudniło od wystrzałów jeszcze całą noc, ponieważ obłąkańcze oddziały SS były wszędzie, zakładając ładunki: na moście kolejowym w Pilchowicach, w tunelu kolejowym koło Wlenia nad Bobrem, na moście przy młynie, w pobliżu dużej fabryki mebli. W Pilchowicach został uratowany tamtejszy most nad Bobrem dzięki przytomności umysłu jednego człowieka, który wyrwał zapalnik, dzięki czemu pozostawił dla nas jedyną drogę powrotu"* – dodawał właściciel górnej Bystrzycy.

Tymczasem bracia v. Braun doskonale odnaleźli się w nowej sytuacji. Po kilkunastu tygodniach wyczekiwania u boku amerykańskich żołnierzy, w ramach tajnej operacji Overcast 18 IX 1945 r. zostali zabrani do Stanów Zjednoczonych. Nadal jednak nierozwiązany został problem rodziców, z którymi przez wiele miesięcy nie mieli żadnego kontaktu. Dopiero rok od ich ostatniego spotkania w Bystrzycy, tj. na przełomie lutego i marca następnego roku dowiedzieli się, że Magnus i Emma żyją. 12 lipca rodzice Wernhera wraz pozostałymi niemieckimi mieszkańcami Bystrzycy zostali wysiedleni i zabrani do obozu przejściowego. Magnus w swym liście datowanym na 29 lipca dodawał, że dziękuje synom za nadsyłane paczki żywnościowe i próby interwencji. Ze smutkiem wspominał, że ubolewa nad utratą „wspaniałej wielkiej biblioteki" i wielu rodzinnych pamiątek zostawionych w rodzinnej posiadłości. Po doraźnym pobycie w obozie v. Braunom udało się wyruszyć na Zachód i dotrzeć do brytyjskiej strefy okupacyjnej. Po wielu miesiącach tułaczki i ciężkiej chorobie Emmy, w końcu, byli dziedzice z Bystrzycy dostali się na statek do USA. 26 III 1947 r. przybili do Nowego Jorku, skąd zabrano ich do El Paso.

Po zakończeniu wojny w dolnym majątku umieszczono Państwowe Gospodarstwo Rolne, które doprowadziło do ruiny niemal cały majątek. Pałac, zajmowany i zdewastowany przez czerwonoarmistów w 1945 r., ulegał stałej destrukcji. W końcu został rozebrany i dzisiaj nie ma po nim żadnych widocznych śladów (pod skarpą pozostała jedynie część piwnic). Z kolei górny „dwór" przetrwał, albowiem został przeznaczony na mieszkania pracowników PGR-u. Obecnie stanowi prywatną własność, a zaniedbane otoczenie pozostawia wiele do życzenia.

Wykorzystane cytaty pochodzą z: J. M. Neufeld, „Von Braun. Dreamer of Space, Engineer of War" (2007); H. Scholz, „Eine Erzählung der Ereignisse und Begebenheiten..." (1909); P. P. Wegener, „The Peenemünde Wind Tunnels" (1996) oraz czasopism: „Der Schlesier" (1957) oraz „Der Spiegel" (1995).

Szymon Wrzesiński

Historyk i publicysta. Napisał m.in.: „Hitlerjugend na Śląsku", „Tajne badania Luftwaffe na Dolnym Śląsku", „Podziemne tajemnice III Rzeszy" oraz „Pogórze Izerskie w cieniu swastyki. Tajne fabryki, ośrodki szkoleniowe i eksterminacja w okresie III Rzeszy". Wiosną pojawi się jego najnowsza książka, pt. „Napoleon nad Bobrem i Kwisą. Szlakiem bitew, skarbów i zabytków wojny 1813 roku".

REKLAMA

Rozkazuję milczeć! (cz. 2)

Zapomniani żołnierze z Placówki „Las”

TEKST: JANUSZ SKOWROŃSKI, ANDRZEJ KUŹNIAR
ZDJĘCIA: ZBIORY AUTORÓW

Opisany w poprzednim numerze podpułkownik Anatol Sawicki, ostatni dowódca lwowskiej Polski Podziemnej, jeden z Żołnierzy Wyklętych, człowiek o 14 pseudonimach i dwóch „lewych” nazwiskach, w 1947 roku osiedlił się na Dolnym Śląsku. I nie był to przypadek. Nadal był wśród swoich żołnierzy. Bo oni trafili tu także, kilkanaście miesięcy wcześniej. Ludzie z podziemia, tak głęboko zakonspirowani, że do dziś milczą o nich archiwa IPN-u, niewiele wiedzą też sąsiedzi, a nawet najbliżsi członkowie rodzin. O nich także po latach upomniała się historia.

Maj 1946. Żołnierze AK-WiN z Placówki „02” „Las” Rudzica-Mikułowa. Od lewej: Kazimierz Węgrzyn, Kazimierz Kwaśniewski „Monter”, „Ryś”, Jan Bojczuk „Żelazny”, Jan Jankowski „Witek”, Zdzisław Bembnowicz, Bronisław Burek „Jurek”, Michał Uryga „Jarzębina” i Jan Piwowar „Janusz”.

Anatol Sawicki, wówczas w stopniu majora Inspektoratu AK Lwów-Południe, w marcu 1943 r. w porozumieniu z Komendą Okręgu nadzorował oddział dywersyjny Kedywu w lasach Hanaczowa i Świrza (I kompania 40. pp.). Początkowo oddział składał się z 17 osób, głównie z Przemyślan, Dunajowa, Siworogów, Hanaczowa i Glinian. Tym pierwszym oddziałem dowodził pochodzący z Przemyślan ppor. Józef Stawiński (ps. „Pirat”, „Staszek”). Już w pierwszym oddziale znaleźli się m.in. Antoni Wojtowicz „Darling”, Mikołaj Kwaśniewski „Stroń” i Jan Piwowar „Janusz”. Wszyscy oni byli mieszkańcami Hanaczowa. Akcje dywersyjne trwały do końca sierpnia 1943 roku. Jesienią tego roku oddział otrzymał zadanie odbioru zrzutów alianckich w rejonie swojego działania. W tym samym czasie Anatol Sawicki wydał rozkaz organizacji samoobrony ośrodka Hanaczów, wsi w powiecie Przemyślany w województwie tarnopolskim. Nowy komendant Kazimierz Wojtowicz „Głóg” opracował pierwszy plan obrony Hanaczowa na wypadek ataku ze strony Ukraińców. Ustanowiono tzw. „trójkąt obronny”, wyznaczony przez kościół, dwa budynki szkolne, starą i nową plebanię oraz kilka zabudowań gospodarczych. Pierwszą linię obrony miało ochraniać pięć utworzonych plutonów, w liczbie 150 ludzi. Pod koniec 1943 r. wyczuwał się wzrost napięcia polsko-ukraińskiego.

Pierwszy atak na Hanaczów ze strony band UPA miał miejsce 2 II 1944 roku. Wieczorem wywiązała się walka. *„Dobrze uzbrojone w karabiny maszynowe, granaty ręczne, kule zapalające itp. bandy ukraińskie w liczbie 500-600 ludzi, częściowo w uniformach armii niemieckiej, znienacka napadły na bezbronną polska wieś Hanaczów”* – pisał do Kurii Metropolitalnej we Lwowie o. Kornel Czupryk, prowicjał OO. Franciszkanów. – *„Spalono 65 domów mieszkalnych z całym inwentarzem żywym (79 sztuk) i martwym oraz paszą; zamordowano 55 osób, w tym 17 kobiet i 14 dzieci. Jestem w posiadaniu spisu pomordowanych i sposobu znęcania się nad nimi (…). Część ludności przeniosła się do Lwowa do swoich krewnych i znajomych, pozostała zaś okopała się w trójkącie kościoła, plebanii i szkoły, czuwając w dzień i w nocy. Jeżeli rychło nie nastąpi odprężenie w formie zabezpieczenia bezbronnej ludności przed rozwydrzeniem ukraińskich band, praca w parafii będzie niemożliwa. Nasi ojcowie dotychczas trwają na placówce*[1]*”*. Już 8 lutego wśród przyby-

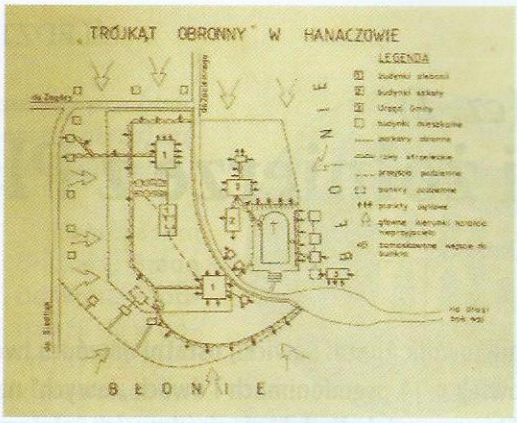

Plan obrony Hanaczowa. Źródło: www.hanaczow.pl

Rudzica 1958 r. Pierwszy z lewej Jan Piwowar „Janusz", dowódca Placówki „Las".

łych na inspekcję do Hanaczowa oficerów Sztabu Inspektoratu Południowego AK znajdowali się mjr Anatol Sawicki, por. Bronisław Kawka-Dembiński i por. Paweł Jastrzębski. To oni doglądając planów dalszej obrony, zalecili jego modyfikację, m.in. poprzez oczyszczenie pierwszej linii obrony z drzew i budynków, uniemożliwiających podejście, w oknach pojawiały się worki z piaskiem i otwory strzelnicze. Sawicki wydał rozkaz przerzucenia broni z rejonu Starego Sioła do Hanaczowa. Dwa miesiące później pojawiła się realna groźba kolejnego ataku na Hanaczów, kiedy do sztabu obrony wsi doszły wieści o koncentracji band UPA w jej pobliżu. Podczas świąt wielkanocnych, nocą z 9 na 10 kwietnia 1944 doszło do drugiego ataku UPA na Hanaczów. Obrońcom pomagała partyzantka radziecka i żydowska[2]. Rano o godz. 9 walki w Hanaczowie ustały, odparte oddziały UPA oddaliły się, paląc i niszcząc po drodze przysiółki Zagóra, Podkamienna i Hanaczówka, w odwecie mordując 25 Polaków. Mimo odparcia ataku, płonął sam Hanaczów. Kryte słomą zabudowania łatwo zapalały się od pocisków fosforowych. Cztery dni po drugim ataku, do Hanaczowa wszedł na krótko batalion niemiecki.

Władysław Algiertowski „Groźny" z Mikułowej, zastępca dowódcy Placówki, kurier wielokrotnie przekraczający granicę polsko-czechosłowacką.

Około połowy kwietnia poszczególne rodziny zaczęły się ewakuować ze wsi, gdyż istniało realne niebezpieczeństwo kolejnych akcji ze strony UPA i Niemców. Jeden z konwojów, ochraniany przez AK, został zaatakowany już w lasach 2 km za Hanaczowem. Zginęło 10 osób z konwoju. Decyzja dowództwa AK, w tym Sawickiego była tylko jedna – kiedy nie było możliwości skutecznej obrony przed Niemcami i UPA, zarządzono ewakuację do większych ośrodków. Hanaczowska polska reduta padła ostatecznie 5 V 1944 r., po 91 dniach obrony i utracie blisko 1/10 ludności[3]. Wówczas oddziały SS, przy wsparciu czołgów, spacyfikowały wieś. Ostatni Hanaczowianie opuścili swe domy nocą z 3 na 4 maja. Za obronę polskości mjr Sawicki odznaczył wielu obrońców Krzyżami Walecznych i awansami na wyższe stopnie Armii Krajowej.

Rozproszony oddział dywersyjny AK z Hanaczowa, był poszukiwany przez policję niemiecką i ukraińską. Podczas łapanek we Lwowie (ok. 10 V 1944) złapano 16 żołnierzy. Jednak nie rozpoznano ich, i wszystkich wywieziono na roboty przymusowe na lotnisku krakowskim. Po miesiącu pracy, grupie kierowanej przez Mikołaja Kwaśniewskiego „Strońcia" udało się zbiec w rejon Podkarpacia. Niektórzy brali udział w akcjach dywersyjnych w okolicach Iwonicza-Zdroju, część – w tym sam „Stroń" – powróciła do Lwowa, uczestnicząc w lipcu 1944 r. w jego wyzwalaniu. Choć 28 lipca wydane zostały rozkazy rozwiązujące struktury AK na tych terenach, nie wszyscy złożyli broń. Część oddziałów przeprawiła się przez San, lokując się w okolicach Przemyśla, Jarosławia i Przeworska. Niektórzy próbowali iść na pomoc walczącym powstańcom w stolicy. Zaś w jednym z mieszkań na Teatyńskiej we Lwowie rodziła się już struktura nowej wojskowej organizacji „NIE", tych, którzy wszelkimi możliwymi środkami i metodami postanowili walczyć o niepodległą Polskę.

Po wojnie wielu z uczestników obrony Hanaczowa, żołnierzy AK-WiN, trafiło na Dolny Śląsk. Od późnego lata 1945 r. całymi rodzinami zaczęli zasiedlać wsie na granicy powiatów zgorzeleckiego i lubańskiego, głównie: Rudzicę, Mikułową, Radzimów, Sulików, Siekierczyn i Wesołówkę. Podpułkownik Anatol Sawicki, dowódca podziemnego Okręgu Lwowskiego AK-WiN, który nie ujawnił się, teraz wal-

Z lewej: Józef Twardowski „Kruk" siedzi na motocyklu, z prawej: Michał Uryga „Jarzębina" został ranny podczas obrony Hanaczowa, na Dolnym Śląsku był kurierem.

czył inaczej. Na Dolnym Śląsku odtwarzał eksterytorialne struktury V Dywizji Lwowskiej AK. Zmieniły się formy walki: wzmożono działalność propagandową, drukowano i kolportowano gazetki podziemne, nawoływano do głosowania w referendum (1 raz nie, 2 razy tak), pomagano będącym w potrzebie i rodzinom aresztowanych AK-owców, obsługiwano kanały przerzutowe za granicę oraz utrzymywano gotowość bojową.

Struktura terytorialna AK opierała się na przedwojennym podziale administracyjnym. OBSZAR stanowiło kilka województw, OKRĘG – jedno województwo, OBWÓD – powiat. Kilka obwodów (powiatów) tworzyło INSPEKTORAT (podobwód). W powiecie gmina, względnie kilka gmin, stanowiło PLACÓWKĘ, zaś kilka placówek tworzyło REJON. Strukturę tę zachowano, kiedy ludzie poakowskiego podziemia znaleźli się na Górnym i Dolnym Śląsku. W lutym 1946 r. kierujący już z Krakowa ppłk Sawicki wprowadził podział okręgu na inspektoraty (pułki): 1. Inspektorat Górnośląski, I pułk, „Łąka", „Dzwon" z siedzibą w Gliwicach; 2. Inspektorat Dolnośląski, II pułk, „Staw", „Brzeg" z siedzibą we Wrocławiu; 3. Inspektorat, III pułk Zapasowy „Józka", „Cichy". Sztab każdego z inspektoratów był także dowództwem pułku, utworzonego przez trzy rejony, stanowiące dowództwa batalionów. Każdy batalion tworzyły przeważnie trzy kompanie-placówki. Zaś każdą placówkę trzy komórki niższego szczebla, tj. dowództwa plutonu. Rejony miały kryptonimy cyfrowe, zaczynające się od „1", zaś placówki dwucyfrowe, poczynając od „01". Punkty kontaktowe w poszczególnych placówkach nosiły kryptonimy trzycyfrowe – „001", „002" itd. Interesujący nas I pułk „Dzwon" z siedzibą w Gliwicach składał się z 3 batalionów, 10 kompanii i 30 plutonów. Tworzyły go trzy Rejony-Bataliony. Rejon-Batalion „1" o kryptonimie „Złom" działał na terenie Gliwic, Zabrza i Koźla. Rejon-Batalion „2" posiadał kryptonim „Góra" i działał w Katowicach, Bytomiu oraz Mysłowicach. Najbardziej nas interesujący Rejon-Batalion „3" – krypt. „Katarzyna" – obejmował Nysę i wkraczał na obszar Dolnego Śląska, obejmując swym zasięgiem Kłodzko, Lubań i Zgorzelec. Jego komendantem był Kazimierz Wojtowicz „Głóg", „Zbyszek", szefem informacji Józef Twardowski „Kruk", łącznikiem batalionu „3" Michał Uryga ps. „Jarzębina", zaś szefem sztabu batalionu Kazimierz Kwaśniewski ps. „Monter", „Ryś". To były nazwiska nieobce, doskonale znane Sawickiemu. Przede wszystkim byli to sprawdzeni dywersanci przemyślańskiego Kedywu i zaprawieni w boju obrońcy Hanaczowa.

Między Zgorzelcem a Lubaniem, we wsiach Rudzica i Mikułowa, dokąd trafili żołnierze Sawickiego, placówka-kompania „02" otrzymała kryptonim „Las". Rzeczywiście, na zachowanych cudem zdjęciach, ludzie Placówki „02" zawsze fotografowali się na tle lasu. Komendantem Placówki „02" został plut. Jan Piwowar ps. „Janusz", ten sam, który wcześniej działał w oddziałach Kedywu Okręgu Lwów, a później przedostał się na Podkarpacie do Zgrupowania „Warta", uczestnicząc m.in. w akcjach prze-

Jan Jankowski „Witek" osiedlił się w Rudzicy, później w Czerniawie-Zdroju (z lewej), a Mikołaj Kwaśniewski „Strońć" w Lubaniu.

Albin Uryga „Spokojny" osiedlił się w Wesołówce koło Lubania.

ciwko NKWD. Osiedlony w Rudzicy Piwowar objął gospodarstwo rolne. W jego mieszkaniu, za zgodą władz gminy, które nic nie wiedziały o jego powojennej konspiracyjnej działalności, mieścił się tzw. „dziki posterunek" samoobrony, liczący 6 osób. Piwowar dowodził tym posterunkiem. Jego członkowie uzbrojeni w karabiny pełnili w Rudzicy nocne warty, strzegąc wsi przed polskimi szabrownikami i niemieckim Wehrwolfem. Pamiętać należy, że nie we wszystkich wsiach Dolnego Śląska działały posterunki MO, musiała wyręczać je Straż Porządkowa stworzona w ramach samoobrony wsi. Zastępcą „Janusza" na Placówce „Las" został kpr. Władysław Algiertowski ps. „Groźny", żołnierz AK, jeden z sekcji likwidacyjnej „NIE" Okręgu Lwowskiego. Co ciekawe, Algiertowski, który zamieszkał w Mikułowej obok Rudzicy, wraz z innym żołnierzem AK plut. Stanisławem Gruszką obsługiwał kanał przerzutowy za granicę do Czechosłowacji, w rejonie Miedzianej, na odcinku Leśna-Zawidów. Kanał ten istniał od marca 1946 roku i został zorganizowany na polecenie ppłk. Sawickiego. Korzystali z niego kurierzy i osoby zagrożone aresztowaniami. Zjawiały się one we Wrocławiu na Kilińskiego 32 lub Szczytnickiej 28, skąd łączniczka (była nią Leokadia Suchar-Wojtowicz) zabierała ich do Radzimowa, w rejon granicy. Tam, w umówionym domu rodziców Wojtowicza, zjawiał się Algiertowski. Formalnie będąc pracownikiem Powiatowego Zakładu Weterynaryjnego w Lubaniu, jako dezynfektor (sanitariusz) mógł przebywać na terenie całego powiatu, w tym i w rejonie nadgranicznym. Przerzut taki trwał 2-3 dni. Ludzie Placówki „Las" pozyskali z biura gminnego w Miedzianej koło Zawidowa komplet czystych i ostemplowanych blankietów meldunkowych, co znakomicie legalizowało kanał przerzutowy. Do 1947 roku, kiedy zdecydowanie uszczelniono granicę, tą drogą przeprowadzono 12 żołnierzy podziemia niepodległościowego, którzy przedostali się do Niemiec i Anglii. Algiertowski przekazywał ludzi na adres po czeskiej stronie, gdzie miał krewnych[4].

Kilka lat temu usłyszeliśmy relację, że ten kanał „spalono" za sprawą ucieczki... premiera Mikołajczyka z Polski. Jak wiadomo, doszło do niej 20 X 1947 r. na pokładzie brytyjskiego statku handlowego „Baltavia" – kilka dni przed posiedzeniem Sejmu, który miał pozbawić Mikołajczyka immunitetu poselskiego. Mało kto wie, że wcześniej Amerykanie zaproponowali Mikołajczykowi trzy możliwe warianty ucieczki: przez Czechosłowację, aż do amerykańskiej strefy okupacyjnej, morzem do Szwecji lub Wielkiej Brytanii, lub przez Berlin wraz z konwojem 102 trumien ekshumowanych obywateli amerykańskich poległych lub zmarłych w czasie wojny w Polsce. Jak wiemy, Mikołajczyk zdecydował się na drogę morską. Jeśli więc poważnie brano pod uwagę wariant pierwszy – drogę lądową, czyżby mógł być to kanał obsługiwany przez Algiertowskiego? W każdym razie propagandowa „gra operacyjna", jaką za sprawą ludzi poakowskiego podziemia przeprowadzono w granicznych powiatach lubańskim i zgorzeleckim, w związku z domniemaną ucieczką Mikołajczyka z Polski, spowodowała obstawienie granicy polsko-czechosłowackiej przez UB i wojsko na odcinku obsługiwanym do tej pory przez Algiertowskiego. I rzeczywiście, po tej dacie kanał przerzutowy przestał istnieć.

Polski odcinek kanału przerzutowego obsługiwał inny z obrońców Hanaczowa, Michał Uryga ps. „Jarzębina". W trakcie walk z SS Galizien został ciężko ranny. Wykorzystywał po wojnie swoje trwałe inwalidztwo I grupy do przewozu broni do i z Wrocławia oraz łączności w ramach zadań specjalnych. Z licznej rodziny Urygów, Albin ps. „Spokojny" zamieszkał w Wesołówce, Justyna Uryga (ps. „Maria") i jej mąż Wojciech („Wojcio") osiedlili się w Lubaniu na Magistrackiej 7, bezpośrednio „przy Sawickim". W ich domu właśnie zorganizowano punkt kontaktowy dla całego Okręgu. Wojciech w banku był palaczem, a jego żona, w tym samym banku, pracowała jako sprzątaczka. Dzięki Justynie Urydze znane są dzisiaj szczegóły aresztowania

Żołnierze AK-WiN na Placówce „Las" w Rudzicy, maj 1946. Od lewej: Kazimierz Kwaśniewski „Monter", „Ryś", Jan Krośniak, Bronisław Burek „Jurek", Mikołaj Kwaśniewski „Strońć", Jan Bojczuk „Żelazny", Jan Jankowski „Witek", Jan Piwowar „Janusz", Kazimierz Węgrzyn, NN i Michał Uryga „Jarzębina".

Sawickiego. Innym z żołnierzy poakowskiego podziemia, który osiedlił się na terenie Rudzicy, był Józef Twardowski ps. „Kruk", jeden z obrońców Hanaczowa w 1944 r., za co otrzymał Krzyż Walecznych. W konspiracji na Dolnym Śląsku był rejonowym (dla „3"-ki) szefem informacji. Nieopodal w Radzimowie zamieszkał Bronisław Burek ps. „Jurek", żołnierz lwowskiego Kedywu, biorący udział we wszystkich jego akcjach. Na Placówce „02" został szefem łączności i uzbrojenia. Powielał podziemny biuletyn „Niezależność", którego redakcję na początku 1946 r. utworzył ppłk Anatol Sawicki. Z Rudzicy do przygranicznej Czerniawy przeniósł się Jan Jankowski ps. „Witek", został w niej kierownikiem poczty. Wykorzystując to stanowisko zorganizował u siebie punkt kontaktowy (łączności). Kolportował podziemną „Niezależność". Wcześniej, w zgrupowaniu „Warta", był dowódcą 2. drużyny 1. plutonu do zadań specjalnych. Z kolei Mikołaj Kwaśniewski ps. „Stroń", od 1942 dowódca drużyny w hanaczowskiej placówce, a później dowódca plutonu, zasłużył się szczególnie w obronie wsi. Po wojnie w strukturach WiN przewidziany został na stanowisko adiutanta dowódcy III Pułku Zapasowego I Brygady Kadrowej V Dywizji Lwowskiej. Po wojnie osiadł w Lubaniu. Napisał wspomnienia „Czy byliśmy potrzebni?" i „Pionierskim szlakiem".

Placówka „Las" sąsiadowała ze zgorzelecką „07" „Lina", którą dowodził plutonowy Michał Rębisz „Biały", i „08" o nazwie „Konin" w Radzimowie, dowodzoną przez sierżanta Antoniego Bednarza „Gabrysia". Obie placówki miały za zadanie rozpoznanie rozmieszczenia posterunków WOP – odpowiednio na granicy polsko-niemieckiej i polsko-czechosłowackiej. Ludzi z poakowskiego podziemia tych dolnośląskich placówek na próżno szukać w kartotekach byłego ZBOWiD-u. Kiedy wpadły nam w ręce, z podkomendnych Anatola Sawickiego odnaleźliśmy w nich jedynie „Kruka", kaprala Józefa Twardowskiego. A inni? Ludzie „Lasu" z podziemia lwowskiego byli tak głęboko zakonspirowani, że do dziś milczą o nich archiwa IPN-u... Może dzięki temu przeżyli te najgorsze powojenne lata? Kiedy z okrzykiem na ustach „Rozkazuję milczeć!" umierał ich ostatni komendant – milczeli. Po latach odtwarzanie ich historii jest niezwykle trudne. Dawni żołnierze poodchodzili na „wieczną wartę", niewiele wiedzą ich sąsiedzi, a nawet najbliżsi członkowie rodzin. Choć czasami ktoś odnajdzie jakieś zdjęcie, ktoś coś sobie przypomni... Za rok, 1 marca, obchodzony będzie kolejny dzień przywracania pamięci o Żołnierzach Wyklętych. Ks. Piotr Prajs, proboszcz w Rudzicy ma nadzieję, że te uroczystości nie ominą jego parafii.

Struktura stworzona przez Sawickiego w ramach Inspektoratu Górnośląskiego „Łąka" (I pułk) na koniec 1946 roku liczyła około 340 oficerów, chorążych, podoficerów i żołnierzy. Wraz z II pułkiem (503 ludzi) i III-cim (zapasowym, ok. 320-400 ludzi) oraz wywiadowcami (w liczbie ok. 180), było to przeszło 1350 osób. Do dziś nie zostało odnalezione ich „lwowskie" archiwum, ukryte w 1947 roku w Gliwicach[5]. Ale to już zupełnie inna historia...

Przypisy:

[1] Pismo wpłynęło do Kurii we Lwowie 29 .II 1944. Por. J. Wołczański: „Eksterminacja narodu polskiego i kościoła rzymskokatolickiego przez ukraińskich nacjonalistów w Małopolsce Wschodniej w l. 1939-1945". Materiały źródłowe cz. I, Kraków 2005, s.231-232

[2] Oddziałem radzieckim dowodził lejtnant F. Pristupa ps. „Fiodor", zaś grupą żydowską Abraham Baum.

[3] Podaje się, że w trzech atakach na Hanaczów straciło życie 118 osób, 14 zaginęło zaś 6 zostało rannych. Por. B. Biegalski, A. i L. Wojtowiczowie, „Ocalić od zapomnienia. Kronika I Brygady Kadrowej V Dywizji Lwowskiej 1945-1956", Zielona Góra 2002

[3] W tym rejonie (Leśna-Nove Mesto pod Smrkem) istniał wcześniej inny kanał przerzutowy, z którego już w sierpniu 1946 r. korzystał m.in. Zygmunt Chełmiński: *„W jasną, księżycową noc przekroczyliśmy granicę z Czechosłowacją. Po przejściu ok. 1 km zatrzymaliśmy się na kilka godzin w jakimś domu. Przed świtem mieliśmy ruszyć dalej w towarzystwie jakiegoś Czecha, który dobrze mówił po polsku. Mimo pewnej powściągliwości Czecha, może nawet niechęci wynikającej z dyskrecji procederu, wypytałem go, na jakiej stacji kolejowej mamy wsiąść do pociągu, jaką trasą jechać, do jakiej stacji dojechać oraz do kogo, na jaki adres mamy przyjść. Nad ranem wyruszyliśmy drogą asfaltową do stacji kolejowej Nove Mesto pod Smrkem"*. Por. Z. Chełmiński „W konspiracji na Dolnym Śląsku (relacja wspomnieniowa)", Zeszyty Historyczne WiN nr 8, 1996

[5] Szczegóły ukrycia archiwum na gliwickiej posesji przy ul. Św. Marka 2 (obecnie nr 4) w październiku 1947 roku, i nieudaną próbę jego odnalezienia w czerwcu 1993 r. można znaleźć w: Por. B. Biegalski, A. i L. Wojtowiczowie, *op.cit.*, str. 90-91

Janusz Skowroński,

Wieloletni współpracownik „Odkrywcy", autor książek o tajemnicach II wojny światowej na Dolnym Śląsku i polsko-niemieckich relacjach w następstwie wojny, w tym najnowszej „Zapomniane tajemnice Karkonoszy".

Andrzej Kuźniar

Nauczyciel historii na emeryturze, regionalista, badacz dziejów Gminy Siekierczyn na Dolnym Śląsku. Aktualnie pracuje nad historią głębinowego górnictwa węgla kamiennego na polskich Łużycach (Siekierczyn-Zaręba-Wesołówka i Zielonka).

REKLAMA

Fragment przesłuchania SS Untersturmführera Alfreda Otto, współpracownika Spilkera i kierownika jednego z referatów warszawskiego Gestapo : „Komendant Główny AK gen. »Grot« Rowecki aresztowany został przez Gestapo w drugiej połowie 1943 r. na terenie Warszawy w następujących okolicznościach. Na usługach Gestapo pozostawał wówczas oficer AK, legionista o nieznanym mi nazwisku. Zwerbowany został do współpracy jako agent przez komisarza Gestapo Bürknera, kier. referatu III N, i przekazany na kontakt do nadsekretarza Gestapo Mertena z referatu III C (kontrwywiad). Nazwiska tego agenta, jak już zaznaczyłem, nie znam. Niemniej jednak jeden raz widziałem go po zatrzymaniu gen. Roweckiego w gmachu Gestapo przy Alejach Szucha. Był to mężczyzna już w starszym wieku lat około 58-59. Niski. Krępy. Barczysty. Silnej budowy. Twarz owalna, z dużymi ciemnymi wąsami. Człowiek ten był kolegą Roweckiego z legionów, tak iż znał się z nim doskonale, gdyż o ile mi wiadomo Rowecki był jego dowódcą w legionach. Z tego tytułu wymieniony oficer AK, a zarazem agent Gestapo otrzymał od Mertena polecenie prowadzenia obserwacji za Roweckim w celu ustalenia jego kontaktów i aresztowania. Agent ten wykonując polecenie Mertena, pewnego dnia w drugiej połowie 1943 r. obserwując Roweckiego ustalił, że zatrzymał się on w jednym z domów przy ul. Filtrowej nr nieznany (...) (chodziło o Spiską 14/10 – przyp. Ł.O.). O swoim spostrzeżeniu agent powiadomił Mertena telefonicznie i ten natychmiast udał się pod wskazany adres w towarzystwie kilku funkcjonariuszy Gestapo. W mieszkaniu tym Rowecki został aresztowany i natychmiast odstawiony do gmachu Gestapo. Początkowo nie było pewności, czy schwytany mężczyzna jest rzeczywiście gen. Roweckim, ponieważ miał on sfałszowane dokumenty i do swego właściwego nazwiska się nie przyznawał. W tym wypadku przysłużył się znów agent Mertena, który dostarczył, o ile wiem, książkę zasłużonych przedwojennych oficerów armii polskiej. W książce tej były zdjęcia poszczególnych oficerów z oddzielnym rozdziałem zdjęć oficerów legionowych. Na jednej z fotografii figurował ówczesny płk Rowecki. Zdjęcie to okazano Roweckiemu i wówczas on z pewnego rodzaju akcentem dumy przyznał się, że jest gen. Roweckim, co wiem, gdyż wkrótce po tym także zaszedłem do pokoju Mertena, zastając tam płk. Hahna, Stamma i kilku innych oficerów Gestapo. Po ustaleniu tożsamości Roweckiego jeszcze tegoż samego dnia powiadomiono telefonicznie Główny Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy w Berlinie. Z Berlina przyszło polecenie, aby natychmiast, bez żadnego śledztwa, samolotem przewieźć gen. Roweckiego z Warszawy do Berlina. Rozkaz został wykonany, i już następnego dnia po aresztowaniu płk Hahn osobiście, ze wzmocnioną eskortą, odwiózł gen. Roweckiego na lotnisko wojskowe na Okęciu, skąd samolotem wojskowym został on odtransportowany do Berlina. Pomimo aresztowania Roweckiego, z Berlina nie napłynęły żadne materiały, które posłużyłyby Gestapo na terenie Polski do całkowitego rozpracowania organizacji AK. (...) Chcę dodać, iż w cztery tygodnie po aresztowaniu Roweckiego przyszło pismo z Berlina do Komendy Policji Bezpieczeństwa w Warszawie z poleceniem zabrania z mieszkania Roweckiego, mieszczącego się na Żoliborzu, jego płaszcza i futra celem natychmiastowego przesłania tych rzeczy do Berlina. Pismo to polecono wykonać podległej mi grupie z referatu III-B 1. Na mój rozkaz, pod wskazanym w piśmie adresem, żądany płaszcz i futro Roweckiego odwieźli sekretarz Henkel i tłumacz Schulz. Zostało to odesłane do Berlina. W mieszkaniu gdzie te rzeczy były zachowane Rowecki, o ile mi jest wiadomym, zamieszkiwał do czasu aresztowania jako sublokator. Przed odesłaniem zarówno płaszcz, jak i futro były dokładnie przeszukane lecz żadnych tajnych dokumentów, materiałów nie odnaleziono". IPN BU 0 1251 128 / cz. 1 str. 430

Tajemnice Generała „Grota" (cz. 1)

TEKST: ŁUKASZ ORLICKI

Lipiec 1943 roku był jednym z najtragiczniejszych miesięcy od napaści III Rzeszy na Polskę. W okupowanych miastach uliczne megafony, nazywane „szczekaczkami", przyniosły hiobową wieść – 4 lipca w gibraltarskiej katastrofie zginął Naczelny Wódz gen. Władysław Sikorski. W Warszawie, niemalże równocześnie, rozeszła się wstrząsająca plotka – dowódca Armii Krajowej został aresztowany przez Gestapo...

Te tragiczne dla Polski wydarzenia, już od pierwszych chwil stały się obiektem bardzo emocjonalnych komentarzy, w których dominowały różnego rodzaju teorie. Nic dziwnego, trudno było bowiem uwierzyć, aby śmierć Naczelnego Wodza i aresztowanie Komendanta Głównego ZWZ, które nastąpiły w odstępie pięciu dni, były jedynie dziełem przypadku... Katastrofa gibraltarska do dziś budzi kontrowersje, mimo negatywnego zweryfikowania najbardziej sensacyjnych teorii poprzez ekshumację i przebadanie szczątków generała, przeprowadzone w ramach śledztwa prowadzonego przez Oddziałową

Komisję Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Katowicach. Wykluczenie śmierci generała Sikorskiego w wyniku zabójstwa – zastrzelenia, zasztyletowania czy uduszenia – nie zdyskredytowało do końca hipotezy o sabotażu, którą podsycają obecnie skąpe przecieki z warszawskiej OKŚZpNP. W 2011 r. zdawałoby się zmierzające ku końcowi śledztwo zostało przejęte przez Warszawę... Z pewnością wrócimy jeszcze do tej sprawy na łamach „Odkrywcy" . W odróżnieniu od katastrofy gibraltarskiej, gdzie poza nielicznymi wyjątkami nie doszukiwano się winy niemieckich agentów, nie ulegało wąt-

pliwości, że aresztowanie gen. „Grota" zostało przygotowane i przeprowadzone przez Gestapo. Kontrowersje budziły natomiast szczegóły całej operacji, pytanie: czy był to zwykły przypadek, czy efekt dokładnego rozpracowania przez Niemców Komendy Głównej AK? Emocje budziły kwestie „kto sypnął", i kto, pod kątem politycznym, na aresztowaniu skorzystał, oraz dlaczego w ogóle dopuszczono, aby bez jednego wystrzału i większego trudu schwytano dowódcę polskiej konspiracji.

Aresztowanie, przesłuchania i śmierć gen. „Grota" stały się przedmiotem badań zawodowych historyków i amatorów – pasjonatów, dziennikarzy i archiwistów, a nawet byłych funkcjonariuszy służb specjalnych zarówno z okresu II wojny światowej – związanych z Armią Krajową bądź Oddziałem II Sztabu Naczelnego Wodza – jak i z lat PRL-u. Jednym z ciekawszych wątków tych badań pozostaje półprywatne śledztwo, jakie przeprowadził w latach 80. zwierzchnik specsłużb PRL, czyli szef MSW gen. Czesław Kiszczak. Przestudiował on dokumenty zgromadzone przez podległy sobie resort oraz podjął pewne czynności operacyjne weryfikujące część relacji. W ramach śledztwa gen. Kiszczak pozyskał „po przyjacielsku" od Ericha Mielke, szefa osławionej Stasi, zbiór niemieckich dokumentów dotyczących aresztowania gen. Stefana „Grota" Roweckiego. W latach 90. przekazał je historykowi Andrzejowi Krzysztofowi Kunertowi, który stwierdził jednak, iż nie wniosły one wiele do znanej nam obecnie wersji wydarzeń. A ta została wypracowana jeszcze w czasie II wojny światowej. Główną konkluzją pozostawał fakt, iż gen. „Grota" wydał bezpośrednio niemiecki agent Gestapo – oficer AK o pseudonimie „Gens" – Eugeniusz Świerczewski, działający wspólnie z dwójką innych agentów – Ludwikiem Kalksteinem i Blanką Kaczorowską. Od tego czasu wersję tę uzupełniano, dodawano kolejne nieznane elementy i precyzowano chronologię wydarzeń. Z licznych autorów zajmujących się z sukcesami tym tematem, należy wymienić historyków: Tomasza Szarotę, Andrzeja Krzysztofa Kunerta, Andrzeja Chmielarza oraz Witolda Pronobisa. Wydawać by się mogło, że lata studiowania materiałów, poszukiwania dokumentów i relacji żyjących jeszcze świadków pozwoliło wyświetlić wszelkie aspekty aresztowania. Jednak co jakiś czas, w różnej maści publikacjach, pojawią się ponownie niektóre kontrowersyjne „widma". Jednym z nich jest mityczna rola w aresztowaniu agentów NKWD i GRU, którzy celowo mieli spowodować przeciek do Gestapo o miejscu pobytu generała. Tezy te wysuwane były przez Tadeusza Kisielewskiego, autora serii popularnonaukowych publikacji dotyczących roli sowieckich służb zarówno w sprawie śmierci gen. Sikorskiego, jak i „Grota". Innym wątkiem, niezwykle popularnym w latach 70. i 80. XX wieku w łonie polskiej emigracji, były tezy firmowane przez koła związane z Narodowymi Siłami Zbrojnymi, m.in. z szefem sztabu dowództwa NSZ płk. Stanisławem Żochowskim. Dotyczyły domniemanych meldunków składanych przez jednego z oficerów wywiadu AK – kpt. Strusiewicza, które sugerowały celową opieszałość sztabu KG AK. Kapitan Strusiewicz miał jakoby dowiedzieć się i kilkakrotnie przekazywać informację o planowanym odlocie do Berlina samolotu wiozącego aresztowanego generała. Jego meldunki z premedytacją miały być odrzucane przez zwierzchników (w domyśle, pragnących, aby „Grot" pozostał w rękach niemieckich), co w konsekwencji zaprzepaściło sugerowaną przez Strusiewicza akcję odbicia generała. Siłą obydwu teorii, podobnie jak wielu innych „spiskowych" wersji historii, zawsze pozostaje fakt, iż bazują one na poszlakach, okruchach informacji i ustnych relacjach, których często nie sposób zweryfikować. A to, że teorie te są o wiele bardziej nieprawdopodobne od bardziej prozaicznej wersji wydarzeń, zupełnie ich zwolennikom nie przeszkadza. Obecnie tego rodzaju hipotezy zajmują czołowe miejsca na stronach i portalach internetowych głoszących kontrowersyjne teorie dotyczące historii najnowszej.

Oczywiście historia aresztowania i śmierci gen. Stefana Roweckiego po dziś dzień pozostawia pewne pytania bez odpowiedzi, i ciągle ponawiane są próby wyjaśnienia wszystkich jej aspektów. Pojawiają się również nowe materiały źródłowe. W ciągu najbliższych miesięcy, dzięki staraniom Instytutu Piłsudskiego w Londynie i Archiwum Akt Nowych w Warszawie, zostaną opublikowane odnalezione niedawno pamiętniki szefa sztabu KG ZWZ-AK płk. Tadeusza Pełczyńskiego ps. „Grzegorz" (przed 1939 r. szefa Oddziału II SGWP). Wkrótce także zostaną ujawnione niemieckie raporty dotyczące struktur ZWZ-AK z lat 40. Z pewnością na światło dzienne wypłyną jeszcze niejedne materiały związane z tą sprawą, jak choćby te, pochodzące z dokumentacji śledztw MBP przeciwko: mjr. „Panterze" Boczoniowi, szefowi Wydziału Bezpieczeństwa i Kontrwywiadu KG ZWZ-AK, Bernardowi Zakrzewskiemu „Oskarowi", czy niemieckim funkcjonariuszom Gestapo, takim jak cytowany w artykule SS Untersturmführer Alfred Otto.

Naprzeciw...

Klęska 1939 r. stała się dla narodu polskiego olbrzymim wstrząsem. W większości wierzono, że przebieg wojny będzie wyglądał inaczej. Napór niemiecki uda się zatrzymać, a aliancka odsiecz pozwoli na przejście do kontrofensywy. Ta wiara łączyła pospołu elity państwa, oficerów, żołnierzy i cywili. Rzeczywistość okazała się inna. Połączenie dużej liczby czynników, niemieckiej przewagi i dobrej organizacji Blitzkriegu, doprowadziło do szybkiej i fatalnej dla nas w skutkach kilkunastodniowej kampanii. W poczuciu klęski, wszechogarniającego smutku i rozgoryczenia zaczęły powstawać pierwsze organizacje, których celem stała się konspiracyjna walka przeciwko bezwzględnemu okupantowi. Już w październiku 1939 r. nastąpił prawdziwy wysyp różnorodnych konspiracyjnych struktur. Praktycznie wszystkie świeżo powstałe organizacje z marszu ogłaszały krytykę poprzednich rządów – stając na pozycjach przeciwnych sanacji i obarczając winą za klęskę przedwojenne elity. W tym olbrzymim tyglu, gdzie kipiały nie tylko uczucia patriotyczne, jako pierwsza, 27 września, pojawiła się tajna organizacja – Służba Zwycięstwu Polski (SZP). Jej kierownikiem został gen. Michał Karaszewicz-Tokarzewski. Organizacja ta, mimo zdecydowanego odcięcia się od sanacyjnej polityki, od samego początku stała się obiektem oskarżeń kierowanych przez inne organizacje podziemne. W ten konspiracyjny kocioł trafił płk Stefan Rowecki. We wrześniu 1939 r. dowodził on Brygadą Pancerno-Motorową. Po walkach, m.in. pod Tomaszowem Lubelskim, jego jednostka na rozkaz dowódcy Armii „Lublin" gen. T. Piskora musiała kapitulować. Stefan Rowecki nie zamierzał jednak iść do niewoli. 27 września dotarł do Warszawy, w dniu, kiedy do miasta wkraczały oddziały niemieckie, i jednocześnie powoływano do życia Służbę Zwycięstwu Polski. Jego zamiarem było przedostanie się na Zachód i dołączenie do formujących się oddziałów polskich

we Francji. Traf, przypadek i szczere rozmowy z gen. Karaszewiczem-Tokarzewskim sprawiły, że ten urodzony żołnierz i dowódca został w kraju, pełniąc funkcję szefa sztabu SZP. Z chwilą powołania Związku Walki Zbrojnej (ZWZ), został mianowany dowódcą Obszaru nr 1, następnie Komendantem ZWZ na terenie okupacji niemieckiej, pełniąc praktycznie funkcję naczelnego dowódcy. Ostatecznie, po klęsce Francji, 30 VI 1940 r. świeżo awansowany do stopnia generała brygady został formalnie Komendantem Głównym ZWZ, będąc odpowiedzialny jedynie przed Naczelnym Wodzem. Rozpoczął się najaktywniejszy okres w jego życiu. Ten egzamin zdał celująco.

W chwili gdy 30 VI 1943 r. został aresztowany, cieszył się całkowitym zaufaniem Naczelnego Wodza oraz niepodważalnym mirem wśród podwładnych, społeczeństwa i w środowisku emigracji. Sam Stefan Rowecki był szczególnie dumny z prowadzonej z olbrzymim trudem akcji scaleniowej, dzięki której udało się wcielić do ZWZ-AK kilkanaście bardziej wartościowych organizacji podziemnych. Umiejętnie kierowana przez niego olbrzymia masa ludzi, stała się bezprecedensowym przykładem kilkusettysięcznego wojska konspiracyjnego, dysponującego sprawnym wywiadem, kontrwywiadem, ośrodkami szkoleniowymi, funkcjonującego w ramach całego sprawnie działającego Państwa Podziemnego. Tak rozbudowane struktury nie istniały w żadnym innym kraju okupowanym. Jednocześnie żaden inny dowódca tak wysokiego szczebla nie działał w warunkach ciągłego zagrożenia, praktycznie codziennie na linii frontu. Mimo zmiany wyglądu zewnętrznego – „Grot" zapuścił wąsy, ufarbował włosy, zaczął nosić okulary i podpierać się laską oraz dysponowania kilkoma fałszywymi tożsamościami – w każdej chwili groziło mu rozpoznanie przez coraz sprawniej działające organa niemieckiej policji bezpieczeństwa.

Aresztowanie

Latem 1943 r. generał „Grot" zdawał sobie z pewnością sprawę, iż igra z losem. Od dawna Niemcy wiedzieli kto stoi na czele polskiej konspiracji, nie wiedzieli jedynie pod jakim nazwiskiem i jakim adresem się ukrywa. Przez ostatnie kilkanaście miesięcy kilka razy został rozpoznany, za każdym razem udawało się mu uniknąć obławy i pogoni. Pewne fakty wskazują, że tuż przed aresztowaniem planował zniknąć na dłuższy czas z Warszawy, a nawet poddać się operacji plastycznej i zmienić w dużo większym, niż do tej pory stopniu swój wygląd zewnętrzny. 30 VI 1943 r. gen. Stefan „Grot" Rowecki spotkał się ok. godziny 9:30 ze swoją łączniczką Elżbietą Prądzyńską-Zboińską. *„Doszliśmy do placu vis-avis kościoła Św. Jakuba* – wspominała łączniczka. – *Generał wrócił ze mną kilka kroków do środka placu Narutowicza i tam pożegnaliśmy się. Odwróciłam się, machnął mi wesoło ręką. Był w dobrym humorze. Jasny płaszcz przerzucony przez ramię. Dzień był słoneczny i pogodny. Wtedy ostatni raz go widziałam*[1]". Po całkowicie rutynowym spotkaniu, i przejęciu od łączniczki koperty z pieniędzmi, generał podążył do jednego ze swoich lokali konspiracyjnych przy ul. Spiskiej 14 m 10. Z pewnością nie zamierzał długo w nim pozostać, być może chciał jedynie wykorzystać znajdujące się tam różnego rodzaju skrytki. Na miejsce dotarł prawdopodobnie ok. godziny 9:40. O 10:00 oczekiwano go przy ulicy Barskiej 5, gdzie miała nastąpić odprawa Komendy Głównej AK. Odprawa bardzo ważna, swoją obecność na niej potwierdził Delegat Rządu na Kraj inż. Jankowski. Jednak w ciągu następnych minut nastąpiła katastrofa. Pod budynek w błyskawicznym tempie podjechało ok. 15 samochodów niemieckiej policji. Gestapowcy i SS-manni otoczyli sąsiadujące ze sobą kamienice o numerach: 12,14 i 16. Na dachach rozmieszczono kilka karabinów maszynowych, i rozpoczęto wypędzanie na ulicę mieszkańców kamienic (przy okazji dokonując częściowego rabunku mieszkań). Niezależnie, do lokalu nr 10 pobiegła grupa uderzeniowa. Wg późniejszych relacji mieszkańców, zasłony w mieszkaniu gdzie przebywał gen. „Grot" poruszyły się. Mieszkanie w odróżnieniu od innych konspiracyjnych lokali było zupełnie nieprzystosowane do pełnienia takiej funkcji, brakowało w nim przede wszystkim zapasowej drogi ucieczki. Pozostawała tylko wiara w „mocne" papiery i fałszywą tożsamość, która wielokrotnie już się sprawdziła. Gdy w drzwi lokalu nr 10 załomotały kolby i buty napastników, szybko okazało się, że dla dowodzącego całą akcją SS Untersturmführera Ericha Mertena z wydziału III C (kontrwywiadu) warszawskiego Gestapo papiery nie miały żadnego znaczenia. Lokatora mieszkania zabrano, skuto z jednym z gestapowców, wciągnięto do samochodu, a następnie, w szybkim tempie i pod silną eskortą wywieziono na Aleję Szucha. Wkrótce w okolicy Spiskiej nie było ani jednego gestapowca. Mieszkanie zostało opieczętowane, a pozostawieni sami sobie mieszkańcy powoli wrócili do swoich mieszkań.

Reakcja...

Tymczasem w lokalu przy ul. Barskiej 5 wyżsi oficerowie AK wraz z zastępcą KG ZWZ gen. Tadeuszem „Borem" Komorowskim z niepokojem oczekiwali na przybycie spóźniającego się, a punktualnego zazwyczaj, dowódcy. Ostatecznie po 11:00 płk T. Pełczyński „Grzegorz" wysłał adiutanta generała, por. Ryszarda Jamontt-Krzywickiego „Szymona", z zadaniem ustalenia, co stało się z generałem. „Szymon" dosyć szybko dowiedział się, że przy ulicy Spiskiej kogoś aresztowano, jednak dopiero późnym popołudniem, ok. 17:00, udało się potwierdzić, że w rękach niemieckich znalazł się „Grot". W atmosferze coraz większego napięcia oficerowie sztabu KG AK zanalizowali niepewne dane i opracowali plany odbicia generała. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że jest to zadanie niezwykle trudne. W obliczu niemieckiej przewagi w mieście, praktycznie niemożliwe – szturm na centralę Gestapo wymagał by użycia kilkudziesięciu, a być może i kilkuset żołnierzy AK, bez gwarancji sukcesu. Ostatecznie przyjęto plan zaatakowania siedziby Gestapo przy pomocy czołgu naładowanego materiałem wybuchowym. Nieznanego typu pojazd pancerny był remontowany przez współpracujących z AK polskich robotników w jednym z warszawskich zakładów. Uprowadzony czołg, kierowany przez ochotnika, miał wbić się w gmach, i po zdetonowaniu ładunku spowodować zniszczenia i zamieszanie. Wtedy miały uderzyć kompanie Kedywu i wydostać swojego dowódcę... żywego bądź martwego. Chcąc jednak zrealizować tak ryzykowny plan, musiały zostać zebrane choćby pobieżne dane, co musiało zająć kilkanaście godzin. Tymczasem w gmachu Gestapo panowała euforia, pomieszana z pewnego rodzaju obawą. Ciągle spodziewano się reakcji AK. Ściągnięto więc dodatkowe siły przygotowując się do obrony budynku.

Cennego aresztanta poddano wstępnemu przesłuchaniu. Wezwany przez gestapowców fryzjer zgolił mu wąsy. Po tych

czynnościach podobieństwo aresztowanego „Grota" do fotografii znajdujących się w rękach gestapowców było uderzające. Sam generał przyznał się kim jest, twierdząc, że mogą się do niego zwracać po niemiecku, jego warunkiem pozostaje jednak, aby traktować go jako oficera. Rzeczywiście potraktowano go z szacunkiem. Przesłuchania prowadzili: komendant SD i policji bezpieczeństwa – SS Standartenführer dr Ludwig Hahn, odpowiedzialny jedynie przed Berlinem kierownik specjalnej komórki do spraw polskiego podziemia SS Hauptsturmführer Alfred Spilker, i być może SS Sturmbannführer Walter Stamm. W gmachu zaczęło się robić tłoczno od oficjeli. Po telefonie Hahna przybył również pełniący ówcześnie funkcję dowódcy SS i Policji SS Gruppenführer Jürgen Stroop, dowodzący niedawną masakrą warszawskiego getta. Podobnie jak na innych gestapowcach, postać gen. „Grota" zrobiła na nim bardzo silne wrażenie, co wspominał po wojnie swojemu współwięźniowi kpt. Kazimierzowi Moczarskiemu. Tymczasem dr Hahn zarządził, aby „Grot" został umieszczony w pojedynczej celi ze stale otwartymi drzwiami. Ustawiony przy nich strażnik, miał nie spuszczać oka z polskiego generała. W międzyczasie, w rozmowie telefonicznej z centralą w Berlinie, ustalono, że cenny więzień w ciągu kilku godzin zostanie wywieziony z Warszawy. Szefa warszawskiego SD Hahna czekała więc nerwowa noc, bowiem pasażerski Ju-52 przyleciał dopiero o 5 nad ranem. Jednak oczekiwana akcja polskiego podziemia nie nastąpiła. Około godz. 4:00 generał „Grot" w silnej eskorcie został przewieziony na lotnisko Okęcie i umieszczony w samolocie. W podróży towarzyszyli mu: Erich Merten i dr Hahn oraz, wg niektórych źródeł, Alfred Spilker, pragnący być może zaakcentować swoją obecność przy zakończonej sukcesem spektakularnej akcji. Informacja o wywiezieniu „Grota" nie była utrzymywana w tajemnicy. Wręcz przeciwnie. Pozostali w Warszawie gestapowcy gorliwie popełniali niedyskrecje odsuwające od nich widmo niespodziewanego ataku. Rzeczywiście, na pierwszy sygnał o wywiezieniu gen. Roweckiego, KG AK odwołało planowane uderzenie na gmach przy Alei Szucha. Trzeba było pogodzić się z porażką…

7 lipca 1943 r. gen. Tadeusz „Bór" Komorowski wysyła meldunek o aresztowaniu dowódcy Armii Krajowej. Do wstrząśniętego niedawną śmiercią gen. Władysława Sikorskiego Londynu dociera on 11 lipca. Gen. Sosnkowski odpowiedział błyskawicznie, prosząc o szczegóły aresztowania i nazwisko pod jakim został zatrzymany. W odpowiedzi „Bór" donosił: *„»Grot« aresztowany 30 czerwca o 10-tej przy ulicy Spiskiej 14/10. Drogą pośrednią ze źródeł Gestapo tegoż dnia otrzymaliśmy wiadomość o ujęciu »Grota«, co podkreślali jako wielki sukces. Nie mamy pewności, czy z ich strony wymieniono jego nazwisko rodowe. Na jakie nazwisko policyjne miał w chwili aresztowania przy sobie papiery i czy ich nie zniszczył, nie wiemy. (…) całe społeczeństwo w Warszawie o aresztowaniu »Grota« już wie, dyskrecja zbędna[2]".*

Niepewność

Kontrwywiad KG AK rozpoczął mozolne śledztwo mające na celu ustalenie przyczyny, i poznanie szczegółów aresztowania dowódcy AK. Ponadto wszelkimi kanałami rozpoczęto poszukiwania miejsca jego pobytu. Już następnego dnia po aresztowaniu, na Spiskiej pojawił się kilkunastoosobowy oddział AK-owców dowodzony przez Franciszka Knappa ps. „Ernest". Była to elitarna Grupa Ewakuacyjno-Inwigilacyjna złożona z przedwojennych żandarmów i żołnierzy KOP. Nie przeszkodził im ani jeden agent Gestapo. Niemcy całkowicie oddali pole zadowalając się schwytaniem generała. Po zerwaniu plomb, polscy żołnierze bardzo dokładnie przeszukali mieszkanie, odnajdując kilka skrytek z pieniędzmi, bronią i tajnymi dokumentami. Ich namierzenie przez Gestapo przyniosłoby znaczne straty (podobno jedna z prywatnych skrytek została opróżniona dopiero przez brata generała – Stanisława Roweckiego). Przez następne dni członkowie kontrwywiadu drobiazgowo odtwarzali sytuację, która nastąpiła tego feralnego dnia. Badano wiele tropów i poszukiwano źródła potencjalnej „wsypy". Równie mozolnie przebiegała próba ustalenia miejsca pobytu generała. Poszukiwano go wszelkimi możliwym kanałami. Zapytanie o ustalenie losów „Grota" dotarło również do oficera polskiego wywiadu kpt. Władysława Boczonia ps. „Pantera". Boczoń zakamuflowany pod nazwiskiem dr. Wagnera, był znany Niemcom jako pracownik wrocławskiej Abwehry oraz jeden z bardziej zaufanych agentów Hauptsturmführera Spilkera. Polski agent nie zdołał jednak przeprowadzić żadnego rozpoznania, bowiem 11 VII 1943 r. został wezwany „blitztelegramem" do Krakowa. W gmachu krakowskiego Gestapo dowiedział się, że z Berlina nadszedł specjalny rozkaz sygnowany przez Alfreda Spilkera, *„(…) który przebywa w centrali Gestapo w Berlinie, gdzie prowadzi śledztwo przeciw Roweckiemu generałowi. Oto życzeniem tego było, by generał był zaskoczony tym wszystkim – co wie Gestapo. I dlatego we wspomnianym »fernschreiben« prosił o sporządzenie specjalnych szkiców rysunkowych, przedstawiających cały »Aufbau« PZP* (PZP był kryptonimem czasowym ZWZ – przyp. Ł.O.), *z tym że nie tak, jak było to zrobione, a specjalne kraty i krateczki, gdzie można wpisywać nazwiska, przy czym należy wpisywać nazwy w języku niemieckim i polskim. Równocześnie poszczególne Gestapo w dystryktach otrzymało nakaz nadesłania odpowiedniego materiału. Został mi oddany do dyspozycji kreślarz, by we dwójkę szybciej przygotować pracę. Stwierdziłem, że niestety – ja nie pamiętam i nie znam aktualnego materiału – wobec tego zostałem przewieziony autem do centrali wywiadu, gdzie został mi przedstawiony materiał[3]".* Ostatecznie otrzymał kilkaset arkuszy opracowań dotyczących ZWZ oraz 26 stron odnoszących się do innych organizacji.

Meldunek kpt. Boczonia dotyczący wiedzy jaką posiadało Gestapo w lipcu 1943 na temat struktur ZWZ-AK jest zbyt obszerny, aby cytować go w całości. Jednak jego lektura wskazuje, że Niemcy dysponowali sporą wiedzą na temat struktur konspiracyjnych, była to jednak wiedza bardzo różnorodna. Nazwisko gen. Stefana Roweckiego figurowało na czele listy, ale w przypadku członków jego sztabu, popełniano rażące błędy. Przydzielenie do opracowania tajnych materiałów wcale nie ułatwiły kpt. Boczoniowi uzyskania informacji o miejscu przetrzymywania generała Roweckiego. Z prostej przyczyny, w krakowskim Gestapo również nie wiedziano do końca, co stało się z dowódcą AK. Pojawiały się różne, czasem fantastyczne plotki. Mówiono np., że „Grot" *„rzekomo został wzięty wraz z około setką oficerów i działaczy w kościele, w którym jeden z majorów brał ślub. Dawna kochanka zemściła się na majorze i doniosła na Gestapo, że człowiek, który bierze ślub jest poszukiwanym majorem i niebezpiecznym działaczem. Kościół został otoczony i wyłowiono około sto osób. W tym także komen-*

danta głównego (...)". Ostatecznie, *„(...) w czasie dość prowokacyjnych z mej strony rozmów – stwierdziłem, że gen. Rowecki bezpośrednio po aresztowaniu został przewieziony samolotem do Berlina, gdzie w specjalnej celi siedzi w »Moabicie«. Wg otrzymanych informacji został on aresztowany na nazwisko »Sułkowski«, przy czym o szczegółach mało mówiono (...)"*[4] (prawdopodobnie chodzi o nazwisko Sokołowski Józef. Dokumenty te wyrobione na samym początku okupacji były „najmocniejsze", i nimi najczęściej posługiwał się gen. Rowecki. Wg innych źródeł 30 czerwca mógł posługiwać się dokumentami na nazwisko Jerzy Malinowski, na które to wynajęto mieszkanie – przyp. Ł.O.). W latach 50. podczas śledztwa UB szef kontrwywiadu KG AK Bernard Zakrzewski „Oskar" potwierdzał, że Boczoń przekazał informacje o pobycie generała w Berlinie.

Te wstępne sygnały o miejscu przetrzymywania „Grota" zbiegły się z pierwszym jego listem wysłanym na przełomie lipca i sierpnia 1943 roku. Listem skierowanym do ciotecznej siostry Melanii Dańcowej. Gen. Rowecki donosił w nim krótko, że nie zrobiono mu nic złego. Dopiero w grudniu 1943 r. nadeszła następna wiadomość, zaadresowana do Hanny Królikowskiej, zawierająca oprócz różnego rodzaju informacji o stanie zdrowia adnotację: *„oddany w komendzie obozu"*. Pozwoliło to oficerom z KG AK, którym adresatka przekazała list do wglądu, wywnioskować, że generał znajduje się w jednym z licznych niemieckich obozów, do którego przewieziono go po dwóch tygodniach przesłuchań jakie przeprowadzono w siedzibie Gestapo w Berlinie. Dopiero po wojnie byli oficerowie AK dowiedzieli się, że był to obóz w Sachsenhausen.

Kontrwywiad KG Armii Krajowej przez następne miesiące nie był w stanie ustalić, kto zadenuncjował generała „Grota". Dla wielu polskich oficerów była to osobista porażka. W kontrowersyjnej książce Juliusza Wilczura-Garzteckiego, pełniącego w tym czasie funkcję z-cy szefa komórki kontrwywiadu KG AK o kryptonimie „Sonda", znalazły się nawet słowa o domniemanym komunikacie, mówiącym o zastrzeleniu jakiegoś podoficera za oddanie w ręce niemieckie wysokiego przedstawiciela polskiego podziemia. Komunikat ten miał kamuflować brak wyników śledztwa. Na trop faktycznego zdrajcy wpadnięto znacznie później, dopiero w roku 1944, i to przy okazji zupełnie innej zdrady. Cdn.

Przypisy:

[1] P. Szarota, „Stefan »Grot« Rowecki", str. 223

[2] P. Szarota, *op. cit.*, str. 251, za „Armia Krajowa w dokumentach". T. III, s. 42

[3] IPN BU 01476141/4 , s. 68, załączony do akt procesowych „Pantery" – Boczonia dokument, pochodzi z jego archiwum okupacyjnego, zatytułowany „Sprawozdanie KW" z datą 19 VII 1943 – skierowany do KSZ.

[4] *op. cit.*

Wybrana literatura i źródła:

1. „Armia Krajowa w dokumentach", t. III, Szczecin 1989
2. T. Szarota, „Stefan »Grot« Rowecki", Warszawa 1985
3. W. Pronobis, „Poślubieni zdradzie" cz. 1 i 2, [w:] „Focus-Historia", maj-czerwiec 2010
4. W. Kalicki, „Generał Stefan Rowecki »Grot«", [w:] „Duży Format" – dodatek do GW nr 151.
5. St. Żochowski, „O Narodowych Siłach Zbrojnych", Londyn 1983
6. J. Wilczur-Garztecki, „Armia Krajowa i nie tylko. Za i przeciw", Wrocław 2006
7. IPN BU 0 1476 141/4
8. IPN BU 0 1251 128
9. IPN BU 0 330 235/14

REKLAMA

foto: Agnieszka Schütterly

foto: Jacek Jastalski

foto: Jacek Jastalski

- 6 inscenizacji historycznych
- ponad 300 rekonstruktorów
- ponad 20 jednostek sprzętu historycznego w inscenizacjach: m.in. polski czołg z września 1939 roku – 7TP, w 70% odbudowany z oryginalnych części, legendarny wóz powstańczy „Kubuś" oraz słynny czołg T-34/85, którego najbardziej znanym egzemplarzem był „RUDY" z serialu „Czterej pancerni i pies"
- ponad 200 graczy gier bitewnych
- turnieje i pokazy gier strategiczno-historycznych
- konkursy historyczne
- pokazy musztry, fechtunku
- wystawa makiet historycznych
- warsztaty artystyczno-historyczne
- piosenki i pieśni patriotyczne

Tegoroczne inscenizacje odbędą się pod hasłem:
BITWY WARSZAWSKIE NA PRZESTRZENI DZIEJÓW

WSTĘP WOLNY

organizator:
DOM KULTURY ŚRÓDMIEŚCIE
Instytucja Kultury m.st. Warszawy – Dzielnicy Śródmieście

współorganizatorzy:
Urząd do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych
Muzeum Niepodległości
Muzeum Wojska Polskiego
Muzeum Historii Polskiego Ruchu Ludowego
Muzeum Pałac w Wilanowie
Muzeum Zabytków Techniki Wojskowej
Klub Wojsk Lądowych
Wojskowe Centrum Edukacji Obywatelskiej
Urząd Dzielnicy Żoliborz m.st. Warszawy

PRZYJDŹ ZOBACZ ZAGRAJ

PATRONAT MEDIALNY
ODKRYWCA

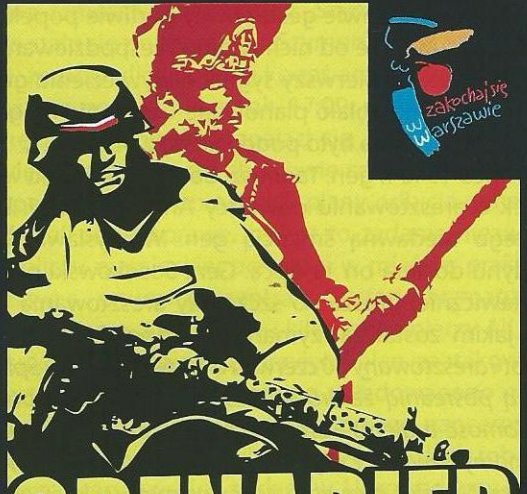

GRENADIER
VIII WARSZAWSKI KONWENT GIER STRATEGICZNYCH
25–26 V 2013 sobota 11.30–20.30 niedziela 11.00–17.00
MUZEUM X PAWILONU CYTADELI WARSZAWSKIEJ
wejście od strony Wybrzeża Gdyńskiego
www.dks.art.pl
www.grenadier.wargamer.pl

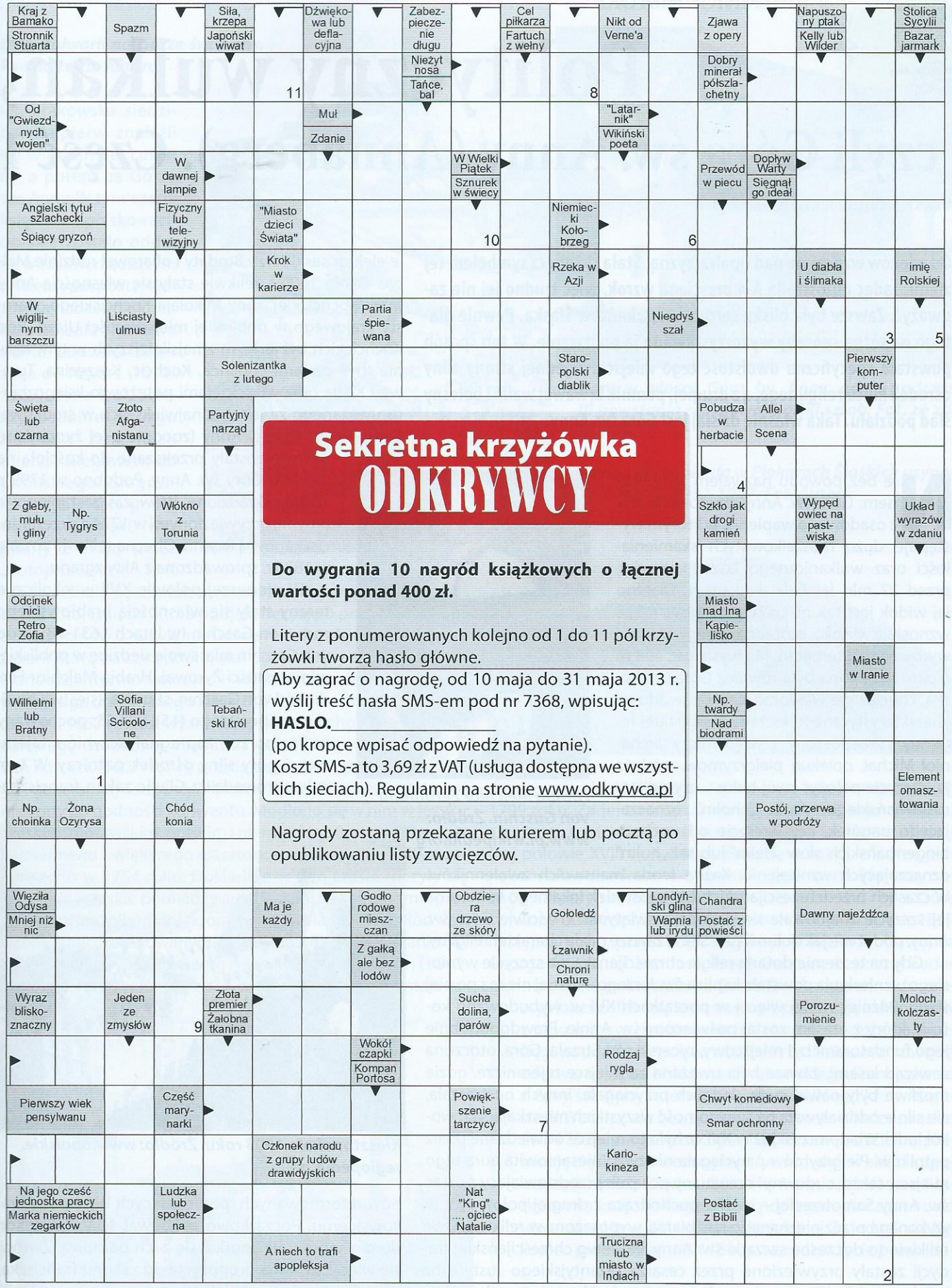

Sekretna krzyżówka ODKRYWCY

Do wygrania 10 nagród książkowych o łącznej wartości ponad 400 zł.

Litery z ponumerowanych kolejno od 1 do 11 pól krzyżówki tworzą hasło główne.

Aby zagrać o nagrodę, od 10 maja do 31 maja 2013 r. wyślij treść hasła SMS-em pod nr 7368, wpisując: **HASLO.**_____
(po kropce wpisać odpowiedź na pytanie).
Koszt SMS-a to 3,69 zł z VAT (usługa dostępna we wszystkich sieciach). Regulamin na stronie www.odkrywca.pl

Nagrody zostaną przekazane kurierem lub pocztą po opublikowaniu listy zwycięzców.

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11

Polityczny wulkan, czyli Góra św. Anny (Annaberg). Część 1

TEKST: DARIUSZ PIETRUCHA

Od wieków wznosi się nad Opolszczyzną. Stała się wręcz symbolem tej ziemi. Jadąc autostradą A-4 przyciąga wzrok, więc trudno jej nie zauważyć. Zawsze była bliska sercom mieszkańców Śląska. Pewnie dlatego na różne sposoby wykorzystywano ją politycznie. W ten sposób powstała specyficzna dwoistość tego miejsca. Z jednej strony silny ośrodek kultu religijnego, a z drugiej, pomnik krwawej walki i bolesny ślad podziału. Taka właśnie dzisiaj jest Góra św. Anny.

Nie bez powodu nazwałem ją wulkanem. Góra św. Anny zbudowana jest z osadowego wapienia, w którym występuje dużo muszelkowatych skamieniałości oraz wulkanicznego bazaltu. Kiedyś, przed 27 mln lat była wulkanem. Dlatego jej widok jest tak niecodzienny, gdyż nagle wznosi się wysoko, otoczona rozległym, dość wyrównanym terenem. Ma wysokość 408 m n.p.m. Nazywana była również Górą Chełmską, chociaż nie wiadomo, czy z powodu jej charakterystycznego kształtu – wg starej legendy nieustraszony i wojowniczy archanioł Michał, opiekun pielgrzymów, miał na jej szczycie położyć swój hełm – czy od starosłowiańskiego słowa „chołm" oznaczającego pagórek, czy wreszcie od wschodniogermańskich słów „Heim" lub też „hulm" oznaczających wzniesienie. Każda teoria ma swoich zwolenników. W czasach przedchrześcijańskich był to ośrodek lokalnego kultu, a na jej szczycie znajdowała się pogańska świątynia. Właściwie Góra św. Anny, podobnie jak dolnośląska Ślęża, zawsze miała charakter religijny.

Hrabia Melchior Ferdinand von Gaschin. Źródło: www.pl.wikipedia.org

Gdy na te ziemie dotarła religia chrześcijańska, na szczycie wyniosłego wzniesienia powstała kaplica św. Jerzego – dzisiaj nie ma po niej śladu. Później, mniej więcej w początkach XVI w. wybudowano kościół, który z czasem został poświęcony św. Annie. Prawdopodobnie jego fundatorami był miejscowy, rycerski ród Strzała. Góra, otoczona zewsząd lasami, zawsze była uważana za miejsce tajemnicze, gdzie możliwe były nawet cuda. Jednych przyciągała, innych odstraszała, ale silnie oddziaływała na świadomość wszystkich mieszkających wokół ludzi. Wiadomo, że już w XVI w. było to miejsce odwiedzane przez pątników. Pielgrzymów przyciągała nie tylko niesamowita aura tego miejsca, także „cudowny" drewniany posążek przedstawiający postać św. Anny Samotrzeciej – rzeźba pochodząca z drugiej połowy XV w. wykonana przez nieznanego rzeźbiarza, wyposażona w relikwie. Owe relikwie to doczesne szczątki św. Anny, które wg chrześcijańskiej tradycji zostały przywiezione przez cesarza bizantyjskiego Justyniana z Palestyny do Konstantynopola, a stamtąd, zabrane przez krzyżowców, trafiły do klasztoru franciszkanów w Lyonie. Z Lyonu sprowadził je elektor saski Jerzy Brodaty i ofiarował rodzinie Maltyc. Około 1600 r. relikwie stały się własnością Anny Marii Kochcickiej, żony Mikołaja Kochcickiego, starosty krajowego w pobliskiej miejscowości Ujazd. Ród Kochcickich był jednym z najsilniejszych w tym rejonie (byli panami Lublińca, Kochcic, Koszęcina, Turawy i Koźla oraz właścicielami potężnego księgozbioru uważanego za jeden z największych w środkowej Europie). Po śmierci Anny (zgodnie z jej życzeniem) relikwie zostały przekazane do kościoła na szczycie Góry św. Anny. Podobno w 1799 r. zostały skradzione. Wówczas zastąpiono je innymi, przywiezionymi w 1774 r. przez franciszkanów z Rzymu. Obecna relikwia została w 1876 r. sprowadzona z Akwizgranu.

W pierwszej połowie XVII w. okoliczne tereny stały się własnością hrabiowskiego rodu von Gaschin (w latach 1631-1852 ród von Gaschin miał swoją siedzibę w pobliskiej miejscowości Żyrowa). Hrabia Melchior Ferdinand von Gaschin, starosta księstwa opolsko-raciborskiego (1581-1665; pochowany w Raciborzu), zapragnął uczynić z tajemniczej góry silny ośrodek pątniczy. W tym celu sprowadził z Gliwic zakon franciszkanów reformowanych, podlegających biskupowi krakowskiemu. Początkowo próbował ściągnąć zakon dominikanów, ale spotkał się z ich odmową. Zwrócił się więc z tą samą propozycją do zakonu franciszkanów. Ci jednak nie chcieli przenosin. Zdanie zmienili, gdy podczas „potopu szwedzkiego" została zniszczona

Klasztor około 1905 roku. Źródło: www.opolskie.regiopedia.pl

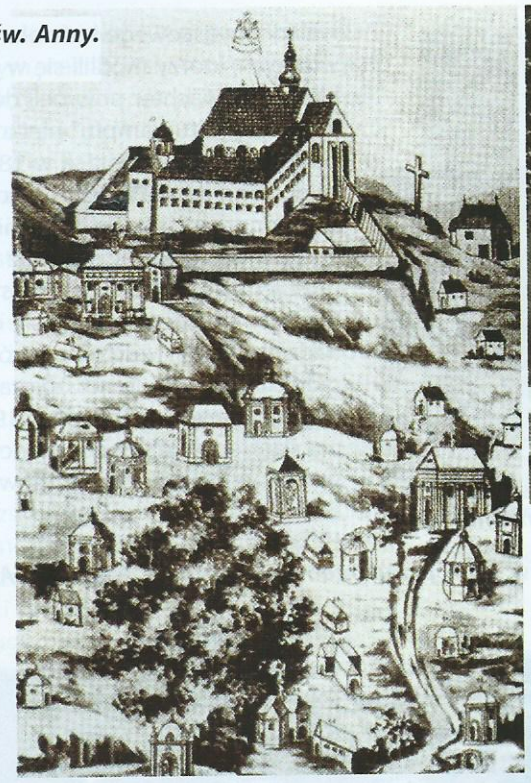

Plan Kalwarii na Górze św. Anny. Rycina ze zb. Autora.

ich krakowska siedziba. Najpierw znaleźli się w pobliskiej Leśnicy, a potem na Górze św. Anny. W tym czasie księstwo opolsko-raciborskie zostało oddane w zastaw rządzącym w Rzeczypospolitej Wazom, a nadzór nad nim sprawowała królowa Maria Ludwika Gonzaga de Nevers (1611-1667), żona króla Rzeczypospolitej Obojga Narodów Jana Kazimierza. Niebawem do pobliskiego Głogówka przybył cały polski dwór królewski, wygnany z kraju przez „potop szwedzki". 19 X 1655 r. zebrała się kapituła zwołana przez ojca prowincjała Krystiana Chojeckiego, która podjęła decyzję o przeniesieniu się franciszkanów z Gliwic na Górę św. Anny. Była to grupa 22 zakonników, na czele której stał pochodzący z Lwowa ojciec Franciszek Rychłowski (1611-1673). Dokument fundacyjny pierwszego drewnianego klasztoru na Górze św. Anny pochodzi z 9 II 1657 r., i jest wystawiony przez pochodzącego z niedalekiego Grodkowa wikariusza generalnego dr. Sebastiana von Rostock (1607-1671), późniejszego biskupa wrocławskiego i generalnego starosty Śląska. Wkrótce klasztor został podniesiony do godności konwentu. Modlono się w nim w języku czeskim, morawskim, polskim i niemieckim. Budowę nowego, kamiennego i większego klasztoru rozpoczęto w 1749, a zakończono w 1754 roku. Dokładnie w tym czasie toczyły się tzw. wojny śląskie pomiędzy austriackimi Habsburgami i pruskimi Hohenzollernami, którą wygrali władcy Prus. Ród von Gaschin był protegowanym cesarzy austriackich. Bratanek hr. Melchiora Ferdynanda, Georg Adam Franz von Gaschin (1643-1719), był fundatorem miejscowej Kalwarii, która powstała zaraz na początku XVIII wieku. Jej otwarcie miało miejsce 24 VII 1709 roku. Za jej twórcę uważa się zamieszkałego w Opolu architekta o włoskich korzeniach, Domenicho Sighno. W drugiej połowie XVIII w. Kalwaria popadła w ruinę, wkrótce jednak została odbudowana, a nawet rozbudowana. Pierwszy obchód kalwaryjski miał miejsce w 1763 roku. W 1789 r. Górę św. Anny odwiedził król pruski Fryderyk Wilhelm III, a w 1819 następca tronu, przyszły król Fryderyk Wilhelm IV. Następca Georga Adama Johann Joseph von Gaschin, rozpoczął budowę murowanego kościoła na Górze św. Anny. Jednakże pruscy Hohenzollernowie postanowili pozbyć się zakonników z tego miejsca. Próbowano ich zmusić do złożenia przysięgi poddańczej wobec władcy Prus. Nakazano również oderwanie się od biskupstwa krakowskiego. Franciszkanie z Góry św. Anny interweniowali u polskiego króla Augusta III Wettina, ale bez skutku. Tymczasem władze pruskie 20 I 1755 r. zorganizowały w Nysie nową kościelną prowincję śląską pod wezwaniem św. Jadwigi, w skład której weszły również Gliwice. Góra św. Anny, oderwana od biskupstwa krakowskiego, miała podlegać władzom nowo utworzonej pruskiej prowincji kościelnej. To jednak nie był koniec problemów. 10 X 1810 r. wszedł w życie pruski de-

Dom w wiosce Góra św. Anny, gdzie podczas III powstania rezydował polski sztab. Fot. ze zb. Autora.

Kopiec Wyzwolenia w Piekarach Śląskich usypany w latach 1932-1937. Fot. Autor.

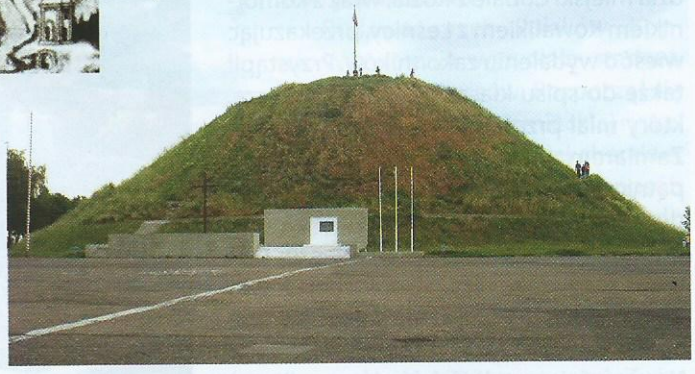

Pałac w Żyrowej (siedziba rodu von Gaschin) na archiwalnej fotografii. Źródło: www.empiresilesia.com.pl

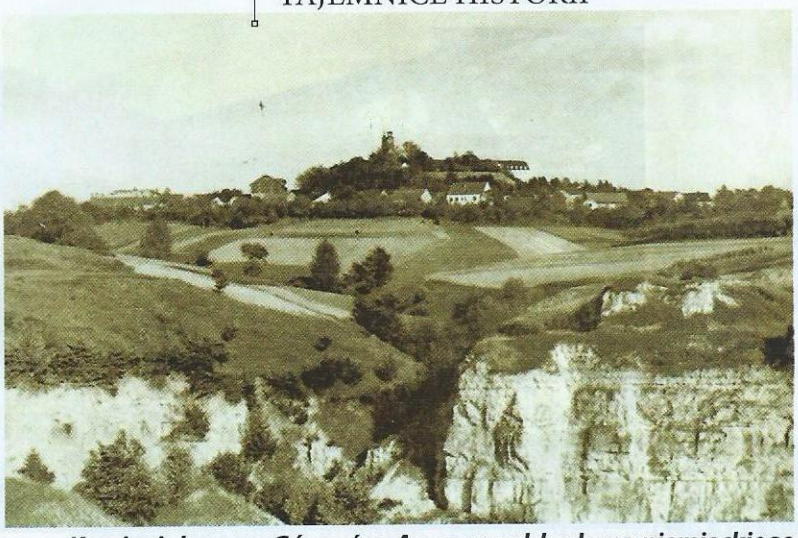

Kamieniołom na Górze św. Anny przed budową niemieckiego amfiteatru. Fot. ze zb. Autora.

kret sekularyzacyjny, który zadecydował o rozwiązaniu wszystkich klasztorów. 7 XII 1810 r. na Górze św. Anny pojawił się sędzia miejski Cubale z Koźla, wraz z komornikiem Kowalikiem z Leśnicy, przekazując wieść o wydaleniu zakonników. Przystąpił także do spisu klasztornego inwentarza, który miał przejść na własność państwa. Zamiarem władz pruskich było zatarcie pątniczego charakteru tego miejsca. Nie do końca skuteczne, bowiem pielgrzymi nadal gromadzili się na „Świętej Górze". Czas jednak robił swoje. Zabudowania kościoła, jak i klasztoru, pozbawione opieki w dość szybkim tempie niszczały. Na szczęście antykościelny kurs polityczny władz pruskich wkrótce nieco złagodniał. 13 VIII 1859 r. do klasztoru powróciło dwóch franciszkanów pochodzących z Westfalii. W 1864 r. ojcem gwardianem został pochodzący z okolic Kamiennej Góry ksiądz Józef Atanazy Kleinwächter (1826-1892), ceniony obrońca praw języka polskiego, nazywany „apostołem ludu górnośląskiego". Góra św. Anny ponownie stała się celem wędrówki wielu pątników.

Kolejne zmiany nastąpiły w 1874 roku. Władze pruskie, kierowane przez kanclerza Otto von Bismarcka, przystąpiły do realizacji antykościelnej polityki „Kulturkampfu". Młode niemieckie państwo dążyło do całkowitego oderwania się od spraw kościelnych, a także do uwolnienia swoich poddanych od zbyt silnego, ich zdaniem, wpływu Kościoła. W tym samym roku wicestarosta strzelecki i sołtys z wioski Góra św. Anny zakomunikowali franciszkanom, że nie mogą przeprowadzić zapowiedzianej, corocznej procesji kalwaryjskiej. 15 IX 1874 r. prawie 40 tysięcy pątników zostało zawróconych do domów. W związku z tym w 1875 r. miejscowi franciszkanie opuścili klasztor na Górze św. Anny, emigrując do Stanów Zjednoczonych. 24 VII 1875 r. ogłoszono dekret państwowy rozwiązujący zakon franciszkanów. Klasztor po raz drugi został opuszczony, choć ludzie nadal pielgrzymowali do miejscowego kościoła (w 1880 r. przybyło 80 tys. wiernych, którzy modlili się w języku polskim i niemieckim). Kleinwächter powrócił do klasztoru w 1887 r., gdy polityka „Kulturkampfu" nieco zelżała. Odrestaurowano podniszczone budynki, a w 1895 do bryły klasztoru dobudowano dwa skrzydła. Na zdjęciu z 1905 r. annaberski klasztor prezentuje się dostojnie i okazale.

Wielka Wojna toczyła się z dala od tych ziem, zabierając jednak ze sobą wielu jej synów. Góra św. Anny była miejscem, gdzie modlono się o tych, którzy jeszcze żyli nadzieją, że cali i zdrowi powrócą do swoich domów. Paradoksalnie, o wiele gorsze czasy nadeszły po zakończeniu tej wojny, a dokładnie w 1921 r., podczas III powstania śląskiego. Polscy powstańcy dość szybko zajęli Górę św. Anny, bo już 4 maja (powstanie wybuchło w nocy z 2/3 V 1921 r.), co było dla Niemców sporym zaskoczeniem. Do dzisiaj w miejscowości istnieje budynek, będący siedzibą polskiego powstańczego dowództwa tego odcinka walk. Do odzyskania „Świętej Góry" ściągnięto silne oddziały „Freikorps Oberland" dowodzone przez gen. leut. Bernharda von Hül-

Góra św. Anny przed budową amfiteatru. Fot. ze zb. Autora.

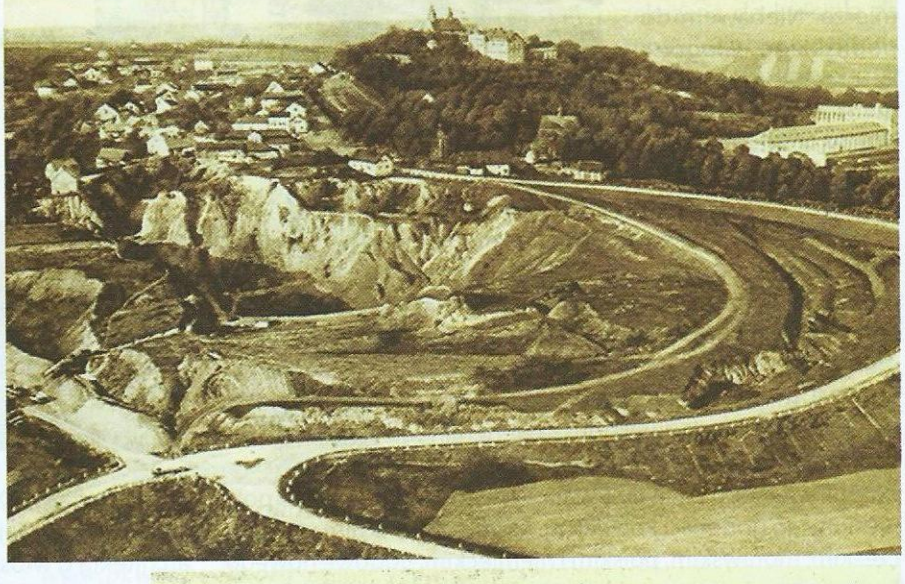

Amfiteatr w trakcie budowy mauzoleum i wieży – 1937 rok. Fot. ze zb. Autora.

sena, których członkowie rekrutowali się głównie z Bawarii. Wielu z nich, w późniejszym, nazistowskim okresie odegrało spore znaczenie. Silny atak Niemców ruszył 21 maja z kierunku Gogolina. Celem były pozycje powstańczego 8. pp dowodzonego przez kpt. Franciszka Rataja. Ciężar uderzenia przyjął na siebie powstańczy baon strzelecki dow. przez Seweryna Jędrusika. Powstańcy ponieśli ciężkie straty i na swoich stanowiskach obronnych zostali zmienieni przez powstańczy 1. Katowicki Pułk, dowodzony przez Walentego Fojkisa oraz bataliony strzelecko-toszeckie kpt. Teodora Kulika. Napór Niemców był jednak tak silny, że powstańcy musieli się wycofać, choć próbowali kontratakować (utracili 1/4 swoich ludzi). Straty po niemieckiej stronie także były znaczne. Ostatecznie, 26 maja linia frontu ustabilizowała się, lecz Góra św. Anny pozostała w rękach niemieckich. W pierwszych dniach czerwca polscy powstańcy znowu bezskutecznie próbowali ją odbić. Wyparcie polskich sił powstańczych Niemcy uznali za swój wielki sukces, przekreślony wszelako decyzjami władz Republiki Weimarskiej (tzw. legenda o „drugim ciosie w plecy", rozgłaszana przez prawicowe Freikorpsy). Jednakże w wyniku ostatecznego podziału Górnego Śląska, Góra św. Anny pod nazwą Annaberg pozostała po stronie niemieckiej. O prawdziwej apolityczności „Świętej Góry" może świadczyć fakt, iż w tym samym czasie, z powodu odpustu Znalezienia Krzyża Świętego, zebrało się tutaj wielu pielgrzymów. Widząc jednak wybuch walk, pospiesznie opuścili Kalwarię i annaberski kościół. Wobec powstańczych wydarzeń klasztor annaberski również pozostał neutralny.

Niemieckie założenie na Górze św. Anny. Fot. ze zb. Autora.

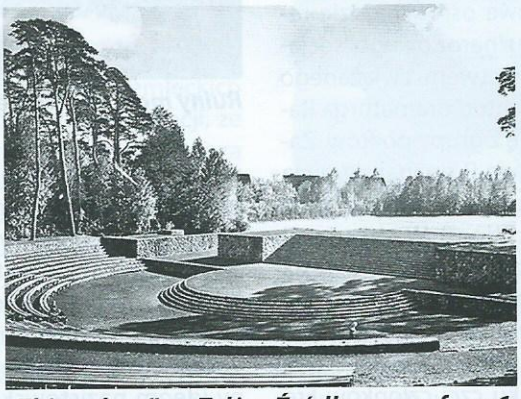

„Thingplatz" w Tylży. Źródło: www.farm6.static.flickr.com

Powstańcze wydarzenie stało się pretekstem do działań podjętych przez Niemców w latach 30. Bez wątpienia miały one związek z tym, co działo się po polskiej stronie granicy. W 1932 r. w Piekarach zaczęto sypać istniejący do dzisiaj Kopiec Wyzwolenia, upamiętniający wszystkich poległych polskich powstańców. Akcja cieszyła się sporym poparciem władz i miała silny rozgłos propagandowy (uroczyste poświęcenie piekarskiego Kopca Wyzwolenia miało miejsce w 1937 roku). Należy wspomnieć, iż podczas III powstania śląskiego, w walkach o Górę św. Anny, po stronie powstańczej walczyli członkowie lwowskiego Korpusu Kadetów, tego samego, którego dowódcą był Kazimierz Florek – pomysłodawca budowy piekarskiego Kopca. Ponadto w okresie 20-lecia międzywojennego na coroczne pielgrzymki na Górę św. Anny przybywało wielu Ślązaków z polskiej strony granicy, wówczas cała okolica rozbrzmiewała językiem polskim. Wśród pątników było wielu byłych powstańców. Co prawda coraz większego znaczenia zaczęły nabierać peregrynacje do polskich, nadgranicznych Piekar (do cudownego obrazu Matki Boskiej Piekarskiej), jednak Góra św. Anny nie zatraciła swojego pątniczego charakteru. Mało tego, stała się celem wielu pielgrzymek i zlotów polskich organizacji działających na terenie Niemiec. W latach 20. gwardianem annaberskiego klasztoru był o. Koluman Sobota, Ślązak uważający się za Polaka. Zaniepokojeni tymi faktami Niemcy za wszelką cenę próbowali utrudniać polskim pątnikom udział w pielgrzymkach i organizację zlotów. Widać mało skutecznie, skoro trwały one aż do wybuchu II wojny światowej.

Budowa przez Polaków Kopca Wyzwolenia wywołała stanowczą reakcję Niemców. Rozpoczął się nowy etap polsko-niemieckiej rywalizacji, tym razem mającej charakter wojny pomnikowej. W ten sposób „Święta Góra" została wciągnięta do wielkiej, brunatnej polityki. Tym samym nastał przedziwny okres dwoistości tego miejsca związanego z religią, będącego również przedmiotem politycznych rozgrywek. W 1933 r. powstał Związek Rzeszy ds. Niemieckich Scen pod Gołym Niebem (niem. Reichsbund für deutsche Freilicht- und Volksschauspiele). Regulamin tego stowarzyszenia został opracowany w Ministerstwie Propagandy pod czujnym okiem Josepha Goebbelsa. Jako wzorzec do idei stowarzyszenia posłużyła wagnerowska koncepcja teatru narodowego (niem. Gesamtkunstwerk). Naziści uznali, że miejsca dotychczasowych spotkań, m.in. lokale partyjne, nie spełniają nowych wymogów. Potrzebowano nowej przestrzeni na wielkie, propagandowe widowiska pełne umundurowanych postaci, łopoczących na wietrze sztandarów, wykrzyczanych z całą siłą populistyczno-ideologicznych słów – widowiska porywającego masy. Zaproponowano stworzenie tzw. „Thingplatz" lub „Thingstätte" – specjalnych miejsc, w których, odwołując się do starogermańskiej mitologii i tradycji zbierania się w jednym, określonym miejscu, mogłyby się odbywać owe nazistowskie spektakle. W tym celu zaprojektowano wybudowanie 400 monumentalnych założeń realizujących zadania wyznaczone przez Ministerstwo Propagandy. Przyjmuje się, że powstało ich od 20 do 70. Różnica w ich liczbie wynika z faktu, iż nie do końca wiadomo, czy powstałe budowle można zakwalifikować do tego trendu, czy też nie. Powstanie jednego z nich założono na Górze św. Anny. Przy stowarzyszeniu powołano specjalny punkt konsultujący wszystkie projekty, w skład którego wchodziło wielu architektów. Ministerstwo Propagandy zadbało również o odpo-

Schronisko Hitlerjugend na Górze św. Anny – późniejsza Harcówka. Źródło: www.fotopolska.eu

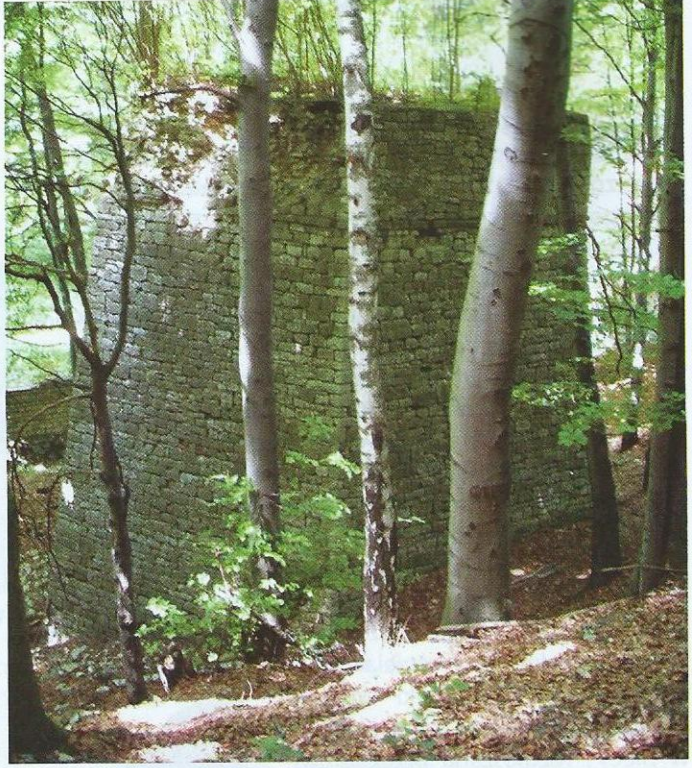

Ruiny monumentalnej wieży. Stan obecny. Fot. Autor.

wiednią oprawę całego projektu. Goebbels stworzył odrębny zespół, który miał się zająć opracowaniem odpowiedniego programu, doborem sztuk i określeniem rodzaju ich inscenizacji. Tym samym miały powstać kultowe ośrodki, gdzie realizowano by przedstawienia w duchu narodowego socjalizmu. Zespół pracował pod przewodnictwem związanego z nazistowską gazetą „Völkischer Beobachter" dramaturga Rainera Schlössera (1899-1945) i składał się z grupy poetów. Zadaniom wyznaczonym przez Ministerstwo Propagandy, związanym z budową „Thingplatz" lub „Thingstätte", nadano status „ważnych dla Rzeszy" (niem. „Reichswichting"). W ten sposób wykształcił się cały ruch budowy tego typu obiektów określany mianem „Thing-Bewegung". Kosztem ich powstania obciążono samorządy lokalne. Na Górze św. Anny miała powstać swoista hybryda złożona z „kultowego miejsca spotkań" typu „Thingstätte", połączona z pomnikiem ku czci członków Freikorpsu i Selbschutzu oraz park ze spacerowymi alejkami. Było to ogromne założenie, które swoim monumentalizmem miało przyćmić piekarski Kopiec Wyzwolenia. Owe wielkie założenie architektoniczne poświęcono pamięci bojowników Selbstschutzu, którzy polegli w walkach toczących się na Górze św. Anny w maju i w czerwcu 1921 r., podczas III powstania śląskiego. Wówczas zginęło lub zostało rannych około 500 członków tej organizacji. Co prawda prowadzone tam walki nie miały tak dużego znaczenia strategicznego by uczcić je wielkim pomnikiem, ale dla Niemców bardziej liczył się symbol i pątniczy charakter tego miejsca, który chcieli zmienić.

Mit jest niezwykle cenną formą przekazu, utrwalaną przez całe pokolenia, trudną do zniszczenia i dobrą do wykorzystania. Mając to na uwadze, nazistowska III Rzesza dokonała swoistego eksperymentu społecznego. Zawładnęła powstałym jeszcze w latach 20. mitem poległych na Górze św. Anny bojowników Selbstschutzu, by wykorzystać go dla własnych, rewizjonistycznych i nacjonalistycznych celów. Jednakże ów mit „Świętej Góry" uświęconej krwią poległych, głoszony był przez niemiecki Związek Wiernych Ojczyźnie Górnoślązaków (niem. Verband Heimattreuer Oberschlesier), który nie był przychylny ideom nazistowskim. W 1931 r. w Niemczech ukazał się wiersz urodzonego w Opolu poety Hansa Niekrawitza (1896-1983) pt. „Święta Góra" (niem. „Der heilige Berg"), stając się swoistą deklaracją ideową niemieckiej części mieszkańców Górnego Śląska. 25 V 1931 r. na Górze urządzono manifestację, w której podobno wzięło udział 100 tys. ludzi (m.in. weterani walk 1919-1921, Reichswehra i znani politycy). Już wtedy wśród uczestników manifestacji pojawili się członkowie NSDAP, z jasno wytyczonymi celami – umiejętnego zawładnięcia nastrojami społecznymi, i właściwego ukierunkowania ogromnych pokładów społecznej energii kumulujących się wokół „mitu o Świętej Górze". Problemem był jednak pątniczy charakter tego miejsca, co kłóciło się z podejściem nazistów do zagadnień religijnych. Naziści potrzebowali symbolu, silnego i jednoczącego ludność niemieckiej części Górnego Śląska dla swych celów, ale nie chodziło im o symbol chrześcijański. Religijny charakter tego miejsca należało zniszczyć albo zastąpić czymś zupełnie innym. Pomagał im w tym miejscowy działacz nazistowski Alfons Hayduk, założyciel Zespołu Roboczego Góry Anny (niem. Arbeitskreis Annaberg), prowadząc szeroką działalność wydawniczą i popularyzatorską. Jak się później okazało, uroczystość z 1931 r. miała się już nigdy nie powtórzyć, przynajmniej w tak masowym wymiarze.

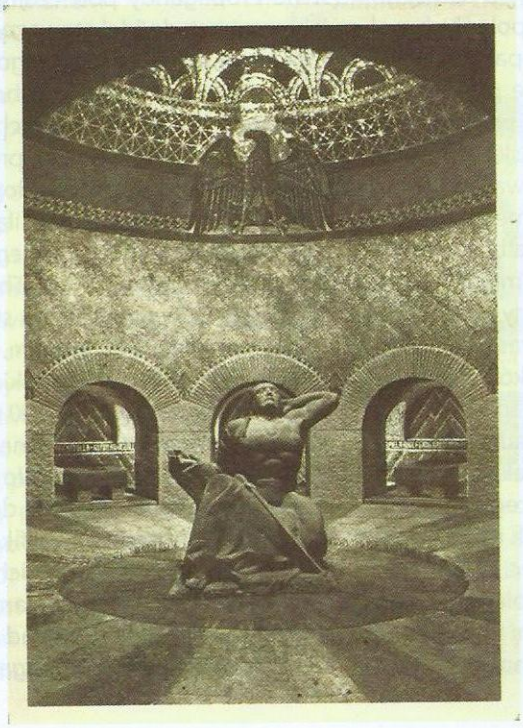

Totenhalle w mauzoleum na Górze św. Anny. Źródło: www.panoramio.com

W czerwcu 1934 r. w pobliskim, nieczynnym już kamieniołomie nazywanym przez miejscowych Krowiokiem (niem. Kuhtal; jego właścicielem w drugiej połowie XIX w. był Abraham Guradze pan na zamku w Toszku, który z powodu działalności prowadzonej w kamieniołomach procesował się z franciszkanami), znajdującym się na zachodnim zboczu Góry św. Anny, rozpoczęto budowę monumentalnego amfiteatru. Jego rozmach miał przyćmić dokonania Polaków. Zaprojektowano ogromne założenie, zgodne z celami i założeniami ruchu „Thing-Bewegung". Zaplanowany kompleks miał posiadać 7 tys. miejsc siedzących i 23 tys. stojących. Ogółem całe założenie mogło spokojnie pomieścić blisko 50 tys. ludzi. Do dzisiaj jest jednym z największych w Europie. Mniej więcej w tym czasie okazało się, że projekt budowy wszystkich niemieckich „Thingplatz" lub „Thingstätte" jest niemożliwy do realizacji, ze względu na ogromne koszty i ilość zaangażowanych sił. Poza tym narodowosocjalistyczne przedstawienia, wbrew założeniom i planom, nie porwały za sobą mas. Rainer Schlösser założył, że widowiska wypełnione oratorium, pantomimą, święceniem sztandarów, procesjami, pochodami i tańcem będą tworzyć swoiste żywe obrazy – wielkie, uświęcone spektakle w miejscu splamionym krwią niemieckich bohaterów. Literackie projekty okazały się jednak bezużyteczne, gdyż społeczeństwo nie było nimi zainteresowane. Dlatego też 23 X 1935 r. Ministerstwo Propagandy ogłosiło, że zabrania się używania w niemieckiej prasie wszelkich określeń odnoszących się do mistycyzmu. Zakazano używania określenia „Thing", co właściwie oznaczało fiasko całego projektu, w który i tak zaangażowano już ogromne siły i środki. Próbowano zamienić określenie „Thing" na „miejsce uroczystości" (niem. Faierstätte), ale nie odniosło to większego efektu. Praktycznie w 1937 r. ruch „Thing-Bewegung" zakończył swoje działanie. Naziści uznali, że masowe, polityczne imprezy mogą się odbyć tylko w miejscach, które w jakiś sposób są do tego historycznie uprawnione. Chodziło o takie miasta, jak Norymberga, Monachium czy Berlin. Tworzenie nowych miejsc kultu nie miało najmniejszego sensu. Jednakże kompleks na Górze św. Anny został już wybudowany. Zgodnie z nową nomenklaturą nie jako „Thingstätte", ale jako „Feierstätte". W 1936 r. zakończono jego budowę. Twórcami projektu całego założenia annaberskiego „Feierstätte" byli berlińscy architekci Franz Böhmer i Georg Petrich. Obydwaj mocno związani z osobą naczelnego architekta III Rzeszy Alberta Speera, tak też tworzyli w duchu narodowego socjalizmu. Ich dziełem było również Pograniczne Schronisko Młodzieżowe (niem. Grenzlandugendherberge) na Górze św. Anny (będące elementem kompleksu, ostatnio opuszczone i dewastowane), a także inne „Thingstätten": w Tylży (niem. Tilsit) i w Pasłęku (niem. Preußisch Holland) w Prusach Wschodnich. Schronisko zostało idealnie wkomponowane w otaczający je krajobraz

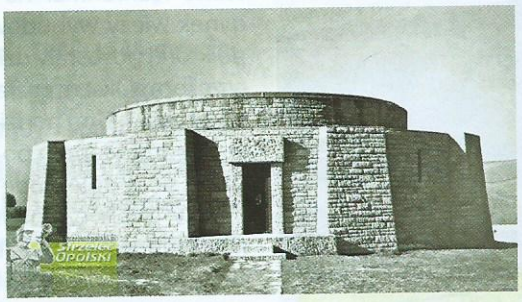

Mauzoleum bojowników Selbschutzu na Górze św. Anny. Źródło: www.strzelec-opolski.eu

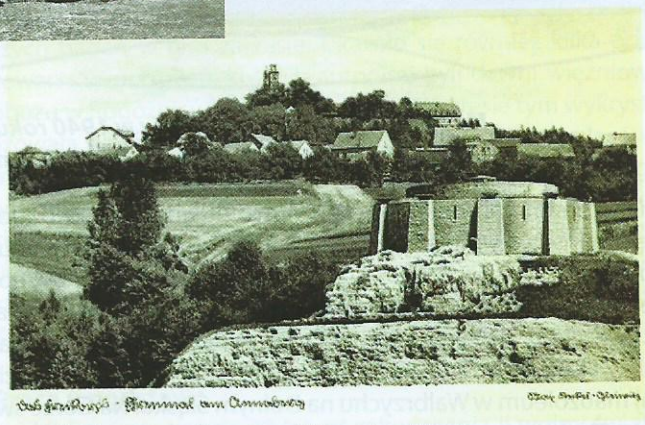

Inne ujęcie mauzoleum na Górze św. Anny. Źródło:www.panoramio.com

i było doskonale widoczne z budowanej nieopodal autostrady Berlin-Wrocław-Bytom. W 1937 r. jego uroczystego otwarcia dokonał Baldur von Schirach, ówczesny szef Hitlerjugend.

Wybudowany kompleks miał być monumentalną wizytówką niemieckiej części Górnego Śląska o wielkim ideologicznym wydźwięku. Znajdował się u podnóża wschodniej, prostopadłej skalnej ściany dawnego kamieniołomu o wysokości 34 metrów. Na szczycie Góry powstał tzw. „pomnik chwały"

REKLAMA

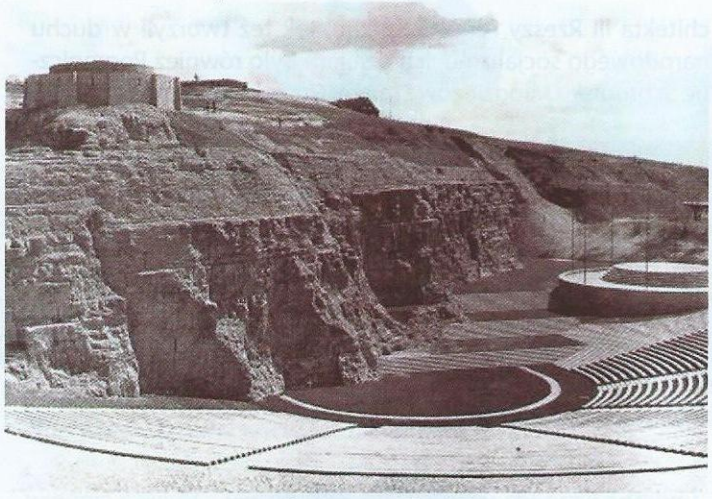

Mauzoleum na Górze św. Anny w 1940 roku. Źródło: www.upper-silesia.com

(niem. Ehrenmal) bojowników Selbstschutzu, którego budowę sfinansowały miejscowe organizacje kombatanckie. Wybudowano go w latach 1936-1938, a jego projektantem był Robert Tischler (1885-1959). Jego dziełem są podobne mauzolea, m.in. w Ligny-devant-Dun we Francji, w Bitolj w byłej Jugosławii, w El-Alamein, a także zapomniane, choć istniejące do dzisiaj mauzoleum w Wałbrzychu na Dolnym Śląsku. Na Górze św. Anny Tischler zaprojektował cylindryczne mauzoleum poświęcone pamięci 51 członków Selbstschutzu poległych w 1921 r. w walkach o Górę św. Anny. Jego wnętrze ozdobione marmurowymi mozaikami było oświetlone przez osiem wąskich okien (przypominających raczej strzelnice) i jeden otwór w stropie obiektu. Całość wzniesiono z bloków żółtawobrunatnego wapienia pozyskanego z kamieniołomu na Górze św. Anny, jedynie wzmacniające przypory były wykonane z granitu. Mauzoleum ulokowano na szczycie skały stanowiącej element powstałego wcześniej amfiteatru, rozciągającego się w stronę zachodnią. Wchodziło się do niego przez masywne drzwi ulokowane w zachodniej ścianie mauzoleum. Budowla posiadała część podziemną nazywaną Halą Zmarłych (niem. Totenhalle), do której schodziło się po schodach. Na porfirowej powierzchni sarkofagów umieszczono odlane z brązu napisy odnoszące się do historii Niemiec. Na uwagę zasługuje fakt, że zaprojektowane przez Tischlera mauzoleum na Górze św. Anny wygląda prawie identycznie jak inne jego dzieło, pomnik poległych niemieckich żołnierzy otwarty w 1955 r. w El-Alamein w Egipcie. Monachijski rzeźbiarz Fritz Schmoll (1883-1963), nazywany „Eisenwerth", stworzył z zielonkawego porfiru rzeźbę „budzących się Niemiec", czyli wizerunek umierającego wojownika. Ze względu na duże gabaryty rzeźby, pracował nad nią, wraz ze swoimi pomocnikami, na miejscu, w Hali Zmarłych. Obecnie można ją zobaczyć tylko na archiwalnej fotografii. Całości mauzoleum nadano tajemniczy i nastrojowy charakter, uzupełniony wewnętrzną kolorowo-złotą mozaiką przedstawiającą orła i swastykę (autorstwa Rösslera i Klemma). Wejście do mauzoleum zostało zaprojektowane w taki sposób, aby stanowiło rodzaj symbolicznej „śluzy" – przejścia ze świata żywych do świata martwych bohaterów. Natomiast całe mauzoleum zostało pomyślane jako symboliczny grób o wyraźnie militarnym, wręcz fortecznym charakterze. Ktoś porównał jego kształt do wieży czołgu i chyba miał rację. Całość budowli była przykryta kopułą doskonale widoczną z wnętrza obiektu, ale właściwie niewidoczną z zewnątrz. Kamień węgielny pod jego budowę wmurowano 23 VIII 1936 roku. Dopełnieniem „Feierstätte" i „Ehrenmal" na Górze św. Anny był monumentalny budynek wieży wybudowanej w pobliżu wejścia do amfiteatru, po której pozostały dzisiaj tylko ruiny. Mało kto wie, że pod całym kompleksem roztacza się labirynt około 200 m, wysokich na blisko 1,5 m, podziemnych korytarzy, które wybudowano wraz z amfiteatrem po to, aby spokojnie odprowadzać gromadzącą się w dole wodę deszczową.

2 IV 1938 r. członkowie SA przenieśli do mauzoleum 50 trumien bojowników Selbstschutzu, które umieszczono w podziemnej krypcie w Hali Zmarłych. Natomiast 22 maja nastąpiło uroczyste otwarcie całego kompleksu, którego dokonał prokatolicki górnośląski gauleiter NSDAP Josef Wagner (później wykluczony z szeregów NSDAP). Jednakże na samej uroczystości zjawiło się tylko około 20 tys. ludzi. Zabrakło wysokich rangą berlińskich urzędników państwowych, co może być dowodem na spadek zainteresowania Berlina realizowaną górnośląską ideą.

Podjęta przez nazistów próba zastąpienia pątniczego charakteru Góry św. Anny miejscem propagowania ideologii nazistowskiej i narodowo-socjalistycznej zakończyła się całkowitą klęską. Dowodem na to był fakt, że 26 czerwca na „Świętej Górze", pomimo zastosowanych utrudnień, zjawiło się około 120 tys. pątników. Monumentalny projekt annaberskiego „Feierstätte" i „Ehrenmal" okazał się fiaskiem. Już nigdy w kamieniołomie nie odbyła się żadna masowa, nazistowska uroczystość. Podczas wojny mauzoleum na Górze św. Anny nazywane „Reichsfeierstätte" świeciło pustkami. Jedynie w 1939 r. szkolono tu dywersantów, którzy mieli być użyci przeciwko Polsce. Natomiast w pobliskim kościele ostatnia msza w języku polskim odbyła się 29 VII 1939 roku. Nad „Świętą Górą" zapadła ciemna, przerywana błyskami piorunów wojenna noc. Cdn.

Literatura i źródła:
1. S. Arczyński, T. Kwiek, „Śląsk opolski", Warszawa 1983
2. B. Stokowy OFM., „Góra Św. Anny. Zarys historii ośrodka kultu religijnego na Górnym Śląsku", Opole 1947
3. J. L. Dobesz „Wrocławska architektura spod znaku swastyki na tle budownictwa III Rzeszy", Wrocław 2005
4. B. Längin, „Unvergessene Schlesien. Land zwischen Spree und Weischel".
5. S. E. Pollok, „Śląskie tragedie", Wydawnictwo Żyrowa 2012
6. R. Niedźwiedzi, M. Zarankiewicz, „Zanim Góra św. Anny wynurzyła się z morza. Skamieniałości, jaskinie i drogie kamienie wokół sanktuarium św. Anny", Góra św. Anny 2007
7. „Historia Górnego Śląska. Polityka, gospodarka i kultura europejskiego regionu", praca zbiorowa pod red. J. Bahlcke, D. Gawreckiego i R. Kaczmarka, Gliwice 2011
8. „Schlesien", Gräfe und Unzer Verlag München
9. „Sztuka Górnego Śląska od średniowiecza do końca XX wieku", praca zbiorowa pod red. E. Chojeckiej, Katowice 2004
10. „Sztuki piękne w III Rzeszy. W przeddzień 70. rocznicy palenia książek: 10 V 1933-10 V 2003", praca zbiorowa pod red. H. Orłowskiego, Poznań 2004

Dariusz Pietrucha
Prezes Stowarzyszenia na Rzecz Zabytków Fortyfikacji „Pro Fortalicium".

Praca u podstaw. 30 lat Muzeum Gross-Rosen

TEKST: PIOTR MASZKOWSKI
ZDJĘCIA: ARCHIWUM REDAKCJI, MUZEUM GROSS-ROSEN

Przez 1367 dni funkcjonowania w latach 1940-1945 niemieckiego nazistowskiego obozu koncentracyjnego Gross-Rosen w Rogoźnicy przeszło ok 120 000 więźniów. Spośród nich ok. 40 000 straciło życie w wyniku represji, głodu i katorżniczej pracy w pobliskich kamieniołomach. Aby uczcić pamięć ofiar, na terenie byłego obozu powstało w 1983 roku Muzeum. W kwietniu br. od tego czasu minęło 30 lat.

Pierwszą w Polsce (i jednocześnie na świecie) placówką muzealną powstałą na terenie byłego obozu koncentracyjnego było Państwowe Muzeum na Majdanku, którą powołano już w listopadzie 1944 roku. Trzy lata później utworzone zostało Państwowe Muzeum Auschwitz Birkenau w Oświęcimiu, w 1962 r. Muzeum Stutthof w Sztutowie, a po kolejnych dwóch latach Muzeum Walki i Męczeństwa Treblinka. Muzeum Gross-Rosen w Rogoźnicy na Dolnym Śląsku powstało w 1983 r., 38 lat po zakończeniu II wojny światowej. 21 kwietnia br, odbył się jubileusz 30-lecia istnienia placówki.

Początki

Niemiecki nazistowski obóz koncentracyjny Gross-Rosen w Rogoźnicy został zajęty przez Rosjan 13 II 1945 roku. Zaledwie kilka godzin po ewakuacji ostatnich więźniów. Przez kolejne dwa lata jego infrastruktura była wykorzystywana przez administrację radziecką, lecz do dziś nie udało się precyzyjnie określić, w jakim celu. Prawdopodobnie funkcjonował tu tajny ośrodek odosobnienia prowadzony przez NKWD, jednak wciąż brakuje wiarygodnych źródeł dotyczących tego zagadnienia. Obiekt oficjalnie przekazano stronie polskiej dopiero w marcu 1947 roku. Nadzór i opiekę nad nim objął oddział miejski Związku Byłych Więźniów Politycznych w Świdnicy, a następnie miejscowy oddział Związku Bojowników o Wolność i Demokrację (ZBoWiD). W celu upamiętnienia ofiar już listopadzie 1947 r. powołano Komitet Ochrony Gross-Rosen, którego pierwszą inicjatywą było wmurowanie kamienia węgielnego pod pomnik-mauzoleum – uroczyście odsłonięty w 1953 r. na dawnym placu apelowym. Wówczas też opiekę merytoryczną nad byłym obozem powierzono Państwowemu Muzeum Auschwitz-Birkenau. 5 lat później, w zachowanym pomieszczeniu bramy głównej, powstała też pierwsza ekspozycja. Na początku kolejnej dekady teren po byłym obozie został wpisany do Krajowego Rejestru Zabytków, co zaowocowało wyasygnowaniem skromnych środków finansowych na przeprowadzenie podstawowych prac budowlano-zabezpieczających. W latach 70. nastąpiła kolejna reorganizacja, w wyniku której nadzór nad byłym obozem przejęło Muzeum Historyczne we Wrocławiu, a następnie Muzeum Okręgowe w Wałbrzychu. Mniej więcej w tym samym czasie (1969-1971) Okręgowa Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich we Wrocławiu wznowiła, przerwane w latach 40., prace nad dokumentowaniem funkcjonowania KL Gross-Rosen, prowadzone wcześniej przez jej poprzedniczkę – Okręgową Komisję Badania Zbrodni Niemieckich we Wrocławiu. Równolegle problematykę tę podjął prof. Alfred Konieczny z Instytutu Historii Państwa i Prawa Uniwersytetu Wrocławskiego. Efekty jego pionierskich ustaleń pozwoliły na uzupełnienie i usystematyzowanie skromnej wówczas wiedzy, stając się merytoryczną podstawą do podjęcia szerszych badań w tym zakresie. Ukazało się również kilka opracowań i wspomnień, których autorami byli dawni więźniowie obozu w Rogoźnicy i jego licznych filii. W okresie tym wykrystalizowała się także koncepcja powstania samodzielnej placówki muzealnej, o której powołanie konsekwentnie od lat zabiegały środowiska byłych więźniów oraz miejscowe władze. W efekcie, w latach 1978-1982, na fundamentach dawnego kasyna SS, udało się wybudować pawilon administracyjno-wystawowy, zaś rok później – 21 kwietnia 1983 r. rozporządzeniem Ministra Kultury i Sztuki, powołać Państwowe Muzeum Gross-Rosen.

Praca u podstaw

Mimo, że w trakcie 38 lat od zakończenia II wojny światowej teren byłego obozu, pozostawał pod opieką wielu instytucji, stan jego zachowania był katastrofalny. Powodów było kilka. Podczas ewakuacji KL Gross-Rosen w lutym 1945 r. Niemcy wycofując się zdążyli wysadzić jedynie stacjonarne krematorium. Proces dewastacji rozpoczął się więc dopiero w trakcie dwuletniej eksploatacji byłego obozu przez Rosjan, a następnie, kontynuowany był przez szabrowników i okolicznych mieszkańców, którzy traktowali ten teren jako skład materiałów budowlanych. Przez następne dekady, mimo pewnego nadzoru administracyjno-merytorycznego nad obiektem, poszczególne instytucje go sprawujące, nigdy nie zabezpieczyły należycie historycznych budowli przed zgubnym wpływem warunków atmosferycznych. Konsekwencją były nieodwracalne zniszczenia.

Teren byłego obozu z lotu ptaka.

Stan zachowania obozowej infrastruktury systematycznie niszczał od zakończenia II wojny światowej.

Spośród 70 historycznych obiektów budowlanych na terenie Muzeum zaledwie 10 nie była klasyfikowana jako destrukt budowlany. Przez pierwsze 20 lat funkcjonowania placówki niewiele się w tym względzie zmieniło. Co więcej, w 2003 r. część muzealnej trasy została zamknięta z powodu potencjalnego zagrożenia życia i zdrowia zwiedzających. Potrzeba było kolejnych 3 lat, by mogły nastąpić długo oczekiwane i niezbędne działania ratunkowe. Dopiero wsparcie finansowe ze strony Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz władz samorządowych woj. dolnośląskiego, wyasygnowane w latach 2006-2008, pozwoliło na przeprowadzenie pierwszych kompleksowych prac renowacyjno-konserwatorskich, a w kolejnych latach, w ramach projektu Kamienne Piekło I konserwatorsko-budowlanych (czyt. „Odkrywca" nr 8/2010, nr 1/2012).

Działalność

Mimo tak trudnych warunków Muzeum i Archiwum Gross-Rosen rozpoczęło swoją działalność, stając się w latach 80. miejscem dość popularnym. – *Na początku naszego funkcjonowania, głównie w latach 1984-1987, przyjeżdżało do Muzeum nawet ok. 100 tys. odwiedzających rocznie. Były to przeważnie grupy zorganizowane, zarówno ze szkół, instytucji państwowych, zakładów pracy, licznych wówczas środowisk kombatanckich i kół zrzeszających byłych więźniów* – wylicza p. Urszula Nowicka, od 30 lat przewodniczka po Muzeum. – *Co ciekawe regularnie odwiedzali nas Rosjanie z pobliskich garnizonów, gdzie stacjonowały jeszcze wojska radzieckie. Żołnierze, w ramach swojej edukacji politycznej, mieli w programie, obowiązkowe najwyraźniej, zwiedzanie m.in. takich muzeów jak nasze. Naprawdę byli zainteresowani historią obozu chociaż, trudno było nie zauważyć, że starali się również przeciągać pobyt u nas, by spędzić więcej czasu poza koszarami* – dodaje.

W latach 80. wciąż żyło wielu byłych więźniów, którzy przetrwali obóz. Byli to goście wyjątkowi, których pracownicy Muzeum i Archiwum otaczali szczególną troską. – *Dzięki temu udawało się nam nawiązywać z nimi bardzo dobre i długotrwałe kontakty. Obecnie przyjeżdżają już do nas głównie członkowie ich rodzin. W ostatnich latach, mamy wiele sygnałów od krewnych osób, które przeszły piekło Gross-Rosen, że wyjawiły tę straszną prawdę dopiero na łożu śmierci… co znaczy, że spora grupa więźniów odrzuciła po wojnie całkowicie swoją przeszłość. Oznacza to również, że nasze intensywne próby docierania do jeszcze żyjących osób są wciąż niekompletne.* Pani Grażyna Hoptiany, kierownik Działu Oświatowego Muzeum Gross-Rosen, pracująca tu od 1985 roku, podkreśla również niezwykle istotną działalność, jaka prowadzona była przez pracowników Archiwum powstałego równolegle do Muzeum. – *Od początku naszym głównym celem było gromadzenie rozproszonej po całej Polsce dokumentacji dotyczącej każdego aspektu funkcjonowania KL Gross-Rosen, a także docieranie do wciąż żyjących osób, które przeszły przez obóz. Bywało, że wielu z nas spędzało więcej czasu w delegacjach niż na miejscu, poszukując archiwaliów i świadków. Byliśmy wówczas zresztą prekursorami nagrywania ich relacji na taśmę magnetofonową, które są do dziś nieocenionym dla nas źródłem informacji. Źródłem, którego obecnie nie bylibyśmy już w stanie pozyskać. Dziś w obszarze naszej działalności dokumentacyjno-badawczej mamy sytuację odwrotną. Z przyczyn naturalnych, trudno już docierać do byłych więźniów, bezpośrednich świadków tego, co działo się na terenie obozu. Dlatego też pozyskujemy obecnie o wiele więcej materiałów źródłowych, np. z archiwów zagranicznych, które przez długi czas były dla nas niedostępne. W efekcie, w ciągu 30 lat funkcjonowania naszego Muzeum i Archiwum udało się zgromadzić i opracować potężny zasób wiedzy opartej na różnorodnych źródłach, oraz przeprowadzić liczne badania, które wyjaśniły wiele kwestii dotyczących funkcjonowania KL Gross-Rosen oraz ok. 100 jego zamiejscowych filii. Proces ten trwa jednak nadal* – podkreśla p. Hoptiany. Ustalenia te miały również zasadnicze znaczenie dla jakości usług przewodnickich, gdyż w Muzeum Gross-Rosen jest wciąż więcej do opowiedzenia niż do pokazania. – *Obecnie nasza wiedza o tym miejscu jest nieporównywalnie większa, niż na początku, co oczywiście nie oznacza, że zaczynaliśmy od zera. Publikowano już wcześniej wspomnienia i opracowania byłych więźniów Gross-Rosen, a także dostępne były również wyniki badań nad historią obozu, które w latach 70. prowadził prof. Alfred Konieczny. Zresztą to właśnie profesor w trakcie organizowanych dla pracowników Muzeum wykładów i prelekcji przekazywał swoje ustalenia i ukierunkowywał nas merytorycznie. Zachowane zaś nielicznie, na terenie dawnego obozu obiekty, wytyczały naturalne ścieżki, którymi prowadziliśmy zwiedzających* – wspomina p. Urszula.

W ciągu minionych 30 lat pracownicy Muzeum i Archiwum Gross-Rosen wykonali tytaniczną pracę, by położony z dala od utartych szlaków turystycznych i martyrologicznych – nieopodal Strzegomia na Dolnym Śląsku – były nazistowski obóz koncentracyjny, zaistniał na nowo w szerszej świadomości społecznej. Po transformacji ustrojowej, Muzeum, podobnie zresztą jak wiele innych placówek tego typu, zaczął dotykać kryzys. Brak dofinansowania, katastrofalny stan zachowania i tak szczątkowej infrastruktury oraz niefortunne umiejscowienie sprawiły, że frekwencja z roku na rok systematycznie malała. Lecz wspomniane już, a zapoczątkowane w 2006 r. zmiany, zakończenie projektu Kamienne Piekło I i spore wciąż szanse na finalizację jego drugiej fazy, w postaci instalacji architektoniczno-przestrzennej na terenie pobliskiego kamieniołomu, rokują Muzeum świetlaną przyszłość. Czego w 30. rocznicę jego istnienia szczerze życzymy.

II edycja konkursu fotograficznego

„KL Gross-Rosen – Pamiętajmy"

TEKST: PIOTR MASZKOWSKI
ZDJĘCIA: MUZEUM GROSS ROSEN

Pod koniec marca br. rozstrzygnięta została II edycja konkursu fotograficznego „KL Gross-Rosen Pamiętajmy", a 10 kwietnia odbyło się uroczyste wręczenie nagród tegorocznym laureatom. Po raz kolejny też mieliśmy okazję uczestniczyć w burzliwych obradach jury mającego wyłonić zwycięskie prace. Z nadesłanych zdjęć, aż 110 (o 30 więcej niż w poprzedniej edycji) spełniło warunki ujęte w regulaminie, sprawiając, że wybór już na samym wstępie okazał się dość trudny. Dyskutowaliśmy nad każdym zdjęciem, lecz dopiero proces wyłaniania liderów wywołał prawdziwe emocje. Każdy z fotografów bowiem interpretował indywidualnie szczytną ideę konkursu, który miał na celu: *„utrwalenie i prezentowanie w nowatorskiej, artystycznej i refleksyjnej formie zachowanych i zrekonstruowanych obiektów byłego hitlerowskiego obozu koncentracyjnego Gross-Rosen, co służyć będzie zachowaniu pamięci o historii tego miejsca"*. Nie zawsze byliśmy zgodni co do wyborów, gdyż każdy członek jury miał własnych faworytów. W końcu jednak udało się osiągnąć kompromis i wyłonić laureatów. Po dokonanym wyborze okazało się, że tym razem zatriumfowała w całości formuła fotografii czarno-białej, jako chyba najlepiej oddającej charakter i klimat byłego obozu koncentracyjnego.

W kategorii powyżej 18 roku życia I miejsce zajęła **Adriana Pawłaszek** za fotografię zatytułowaną „I niebo symbolem naszego losu". Poprawne kompozycyjnie, niezwykle surowe w swej wymowie zdjęcie, prezentuje na pierwszym planie polowe krematorium, zaś w tle zrekonstruowaną niedawno wieżę wartowniczą – czym Autorka idealnie wpisała się w zadaną tematykę konkursu.

II miejsce zajęła fotografia **Piotra Fietzka** (laureata również poprzedniej edycji). Autor w wymownej formie, pod idealnie dopasowanym do obrazu tytułem „Ucieczka od cierpienia", ujął obozową szubienicę na tle bramy głównej KL Gross-Rosen, nie pozostawiając odbiorcom wątpliwości, co było jego inspiracją. III miejsce zajęła **Magdalena Kuczyńska** za tryptyk „Tu zawsze będzie zima".

Mimo młodego wieku, autorzy w kategorii do 18 lat wykazali się niezwykłą dojrzałością, zarówno w interpretacji tematu, jak i kunszcie fotograficznym. I miejsce zdobył **Mateusz Osiński** za zdjęcie „Pozostała pustka", II – za „Lustrzane odbicie zagłady ludzkości" – **Mariola Osińska**. III – **Ada Trzeciak**. W ostatnim przypadku, o ile nie było wątpliwości co do symboliki zdjęcia oddającej idealnie założenia konkursu, o tyle tytuł pracy „Kości zmielone na proszek z ciał przerobionych w mydło" mocno zaskoczył jury swoją dosłowną wymową.

I miejsce w kat. powyżej 18 lat, Adriana Pawłaszek „I niebo symbolem naszego losu".

II miejsce w kat. powyżej18 lat, Piotr Fietzek „Ucieczka od cierpienia".

I miejsce w kat. poniżej 18 lat, Mateusz Osiński „Pozostała pustka".

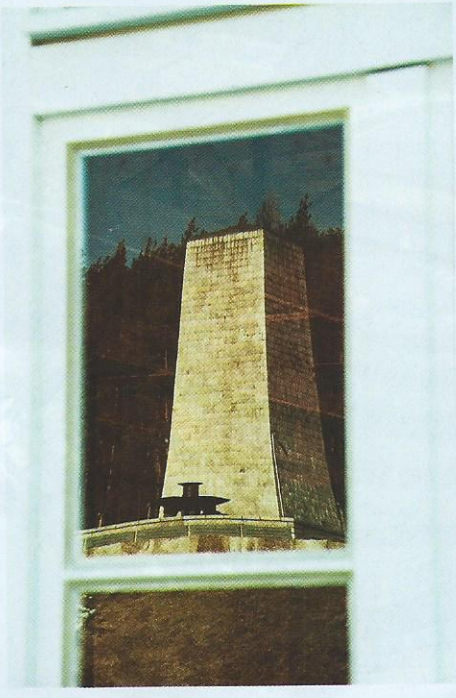

II miejsce w kat. poniżej 18 lat, Mariola Osińska „Lustrzane odbicie zagłady ludzkości".

Wszystkim zwycięzcom i wyróżnionym serdecznie gratulujemy!

Stulecie Hali Stulecia

TEKST: MICHAŁ CETNAROWSKI

W czasie kiedy powstawała, była największą taką budowlą na świecie. Do dzisiaj uznawana jest za arcydzieło architektury XX wieku. 20 maja br. wrocławska Hala Stulecia obchodzi setną rocznicę powstania.

Budynek Hali Stulecia (niem. Jahrhunderthalle) usytuowany jest na dawnych Terenach Wystawowych, we wschodniej części Wrocławia. Otaczają ją tereny Parku Szczytnickiego, ogrodu zoologicznego i Promenady Nadodrzańskiej. Wcześniej na tym obszarze znajdowała się osada rybacka i rolnicza połączona mostami z szybko rozwijającym się miastem. Jednak pomimo gwałtownego rozwoju gospodarczego, który nastąpił w końcu XIX w., Wrocław pod względem kulturalnym nie dorównywał innym ośrodkom Rzeszy, jak Berlin, Drezno czy Lipsk. Miasto nie dysponowało choćby budowlą przeznaczoną na cele ekspozycyjne. Wśród władz rozgorzała zatem dyskusja o potrzebie zorganizowania odpowiednich terenów, na których można by organizować wystawy, targi i festyny. W 1908 r. opublikowano nawet artykuł, w którym Karl Masner, dyrektor wrocławskiego Muzeum Rzemiosła, zwrócił się do mieszkańców z zapytaniem, czy Wrocław potrzebuje budynku wystawowego. Odpowiedź mogła być tylko jedna.

W 1910 r. postanowiono we Wrocławiu przygotować Wystawę Stulecia. Chcąc pomieścić licznych, w założeniu organizatorów, zwiedzających, miasto zobowiązało się do wzniesienia hali, w której w przyszłości mogłyby odbywać się zawody sportowe, kolejne wystawy, a nawet partyjne uroczystości. Za projekt budowli odpowiedzialny był Max Berg, postać nietuzinkowa, znany urbanista i wrocławski radca budowlany. Uważał on, że do rozwoju stolicy Dolnego Śląska niezbędna jest monumentalna i reprezentacyjna budowla, która wydatnie podniesie prestiż miasta. Wkrótce wykonano drewniany model hali i przystąpiono do prac. Oficjalnie okolicznością, którą hala miała uświetnić, była 100. rocznica wydania we Wrocławiu odezwy „Do mojego ludu" (An Mein Volk) Fryderyka Wilhelma III z 1813 roku. Cesarz wzywał w niej do powszechnego oporu przeciwko Napoleonowi, a rocznicę tę postanowiono uczcić wystawą prezentującą historię i gospodarczy dorobek Śląska. Dopracowano projekt Berga, bardzo śmiały i kontrowersyjny jak na tamte czasy, i mimo wysokich zakładanych kosztów (1,9 miliona marek), w 1911 r. przystąpiono do budowy. Z jednej strony szokował nowatorski materiał – żelbeton – który miał stanowić podstawę przy budowie całej monumentalnej konstrukcji. Obawiano się, czy budynek nie zapadnie się pod swoim ciężarem. Z drugiej, zdumiewał rozmach i estetyka gmachu. Berg stawiał na surowość projektu, brak ornamentyki i formalną prostotę, mające podkreślać idee egalitaryzmu i uży-

Wrocławska Hala Stulecia. Widok współczesny. Fot.: www.2eagles.pl

Hala Stulecia w pełnej krasie, widok sprzed II wojny. Źródło: www.intern.strabrecht.nl

teczności społecznej, które przyświecały architektowi podczas przygotowywania projektu.

Sposób organizacji pracy i konstrukcja dźwigów oparte zostały na wzorach z wielkich projektów amerykańskich. Aby usprawnić prace, na placu budowy ułożono więc tory pod dwa ruchome dźwigi, które w połączeniu z liczącą 52 m wieżą środkową tworzyły swoistą kolejkę do transportu materiałów. Na miejscu stanęły też betoniarnie, młyny do wytwarzania żwiru ze śląskiego granitu oraz tartak. Do budowy hali użyto materiałów najwyższej jakości. Specjalny cement do produkcji betonu dostarczony był przez opolską cementownię Silesia. W miejscach narażonych na szczególne obciążenia zastosowano granit strzegomski, charakteryzujący się najlepszymi parametrami wytrzymałości. Do wykonania stolarki okiennej użyto drewna sprowadzonego aż z Australii. Największe jednak obawy żywiono odnośnie materiału, z którego konstrukcja miała powstać. Max Berg zdecydował się bowiem na nieznany wtedy jeszcze szerzej żelbeton. Był on dużo lżejszy od żelaza i niezwykle wytrzymały, pomimo wszystko, nie ufano mu tak, jak znanym, sprawdzonym konstrukcjom ze stali. Obawiano się, że w chwili, gdy ściągnięte zostaną szalunki i podtrzymujące rusztowania, hala nie wytrzyma i runie. Strachy strachami, a jednak prace posuwały się w nadzwyczajnym tempie. Już wkrótce gotowe były cztery główne filary mające podtrzymywać konstrukcję. Następnie rozpoczęto betonowanie kopuły. Jej nie mające sobie równych rozmiary i żebrowana konstrukcja czyniły z tego etapu prac moment przełomowy dla całej budowy. Kolejnym etapem był montaż na kopule segmentów zewnętrznych ścian osłonowych z oknami i stropami. W tym przypadku zastosowano nowatorską metodę, spopularyzowaną dopiero w latach 20. XX wieku. Segmenty te montowano z gotowych elementów odlanych na placu budowy i podciąganych przez dźwigi. Tym samym ich instalacja została skrócona do kilkudziesięciu minut.

Budowę ukończono już w grudniu 1912 roku, półtora miesiąca przed zaplanowanym terminem.

Obchody 125. rocznicy ustanowienia odznaczenia Żelaznego Krzyża, 1938 r. Źródło: www.fotopolska.eu

W otoczeniu Hali postawiono liczne inne obiekty wystawowe, w tym Pawilon Czterech Kopuł, Pergolę czy obiekty rekreacyjne. Sam budynek Hali był w rzucie kolisty, oparty symetrycznie na greckim krzyżu. Podobnie jak kościoły był on orientowany – tak, by wejścia do budowli znalazły się na dwóch prostopadłych osiach, północ-południe i wschód-zachód. Kopuła została zwieńczona ażurową, przeszkloną latarnią. W ten sposób wnętrze Hali uzyskało boczne i górne oświetlenie. Hala stanowiła obiekt wyjątkowy, posiadający żelbetową kopułę o największej wówczas rozpiętości na świecie (67 m średnicy). Do czasu wzniesienia Hali Stulecia prymat wielkości dzierżyły kopuły rzymskiego Panteonu (43 m) i bizantyjskiego kościoła Hagia Sophia w Konstantynopolu (35 m). Budynek liczył 42 m wysokości, maksymalna szerokość wnętrza wynosiła 95 m a dostępna powierzchnia użytkowa – 14 tys. m kw. Ciekawostką jednak jest, że kiedy doszło do zdejmowania szalunków, żaden z pracowników nie chciał rozpocząć demontażu, bojąc się rychłej katastrofy. Berg zaoferował wtedy złotą markę przypadkowemu przechodniowi za odkręcenie pierwszej, ważnej dla stabilności rusztowań śruby. Kiedy po jej obluzowaniu okazało się, że budynek dalej stoi, przystąpiono do dalszego demontażu.

Wystawa Stulecia, teren przed wejściem do hali, fotografie z 1913 r. (wg „Schlesische Zeitung. Sondernummer" 1913).

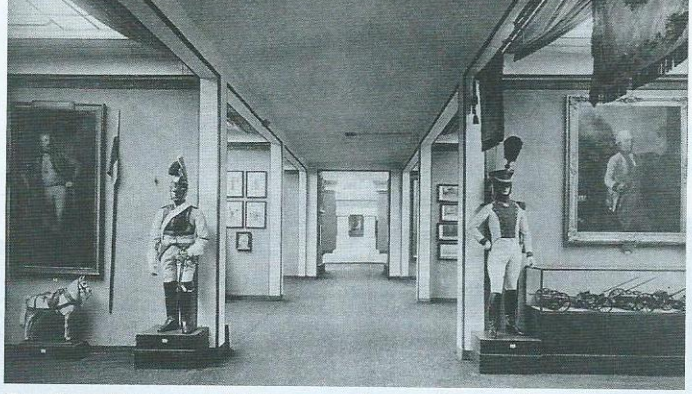

Pawilon Wystawy Historycznej, wnętrza sali poświęconej armii saksońskiej, projekt Hans Poelzig. Fot. 1913 r. (wg „Schlesische Zeitung. Sondernummer" 1913).

Wystawa Stulecia, widok na kasy i wejście główne. (wg „Schlesische Zeitung. Sondernummer" 1913).

Wystawa w cieniu skandalu

Uroczyste otwarcie Hali Stulecia nastąpiło 20 V 1913 r. Cesarz Wilhelm II ostatecznie nie objął patronatem wystawy, niezadowolony z uczczenia proklamacji Fryderyka Wilhelma III, a nie rocznicy narodowo-militarnej, czyli bitwy pod Lipskiem. Na inaugurację wydelegowano zatem następcę tronu, księcia Fryderyka Wilhelma. Ponad 5 tys. gości mogło usłyszeć pieśń wykonaną przez sześćsetosobowy chór oraz patriotyczne przemówienie nadburmistrza Paula Mattinga. Uczczono również bitwę pod Lipskiem – podczas otwarcia wystawiono dramat noblisty Gerharta Hauptmanna poświęcony zwycięskim zmaganiom koalicji antynapoleońskiej. Sztuka zawierała jednak krytykę wojny, miała wydźwięk pacyfistyczny i pokazywała Napoleona nie jako zaprzysięgłego wroga, a raczej burzyciela starego reżimu i twórcę nowej Europy. Wybuchł skandal. Po protestach weteranów i nacisku z Berlina sztukę szybko zdjęto z afisza. Kolejnym afrontem było pominięcie w oficjalnych prezentacjach – osobistościom zwiedzającym Tereny Wystawowe – jednego ze współtwórców projektu, architekta Hansa Poelziga, autora planu zagospodarowania obszaru i projektanta Pawilonu Czterech Kopuł. Ten fakt odbił się szerokim echem w środowisku akademickim, a przykry incydent zapoczątkował narastający konflikt głównych architektów Hali z władzami miasta, w wyniku którego Poelzig i Berg opuścili w końcu Wrocław. Zanim do tego doszło, goście mogli zwiedzić Wystawę Stulecia. Celem ekspozycji było zaprezentowanie historii i dorobku kulturalnego Śląska z okresu wojen napoleońskich.

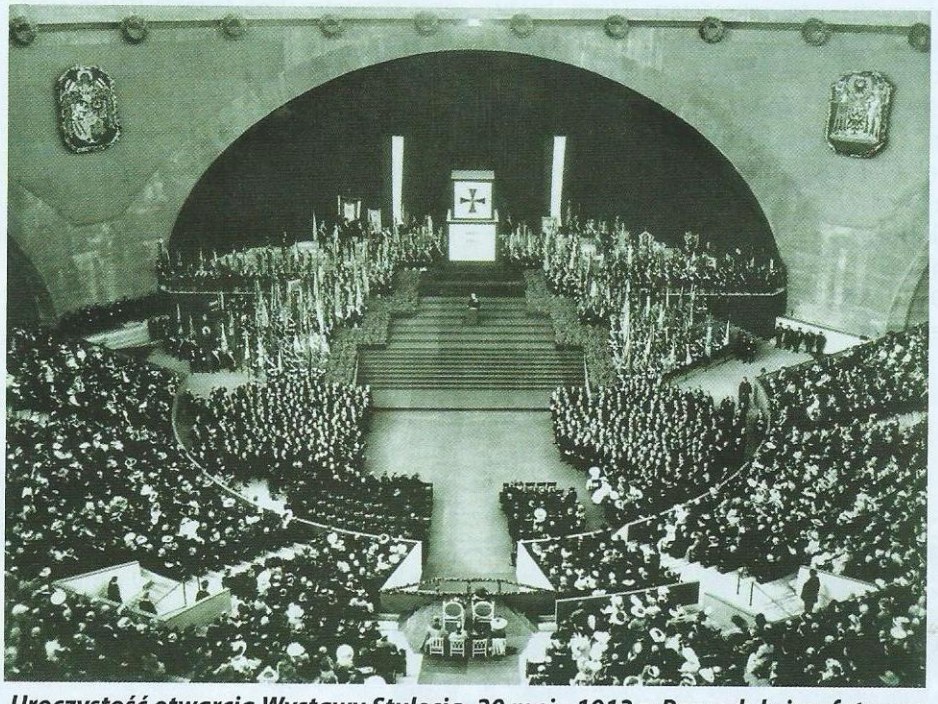

Uroczystość otwarcia Wystawy Stulecia. 20 maja 1913 r. Reprodukcja z fotografii. (Muzeum Architektury we Wrocławiu).

Historyczna część wystawy, prezentująca m.in. uzbrojenie czy umundurowanie żołnierzy, mieściła się w Pawilonie Czterech Kopuł. Na potrzeby ekspozycji na Terenach Wystawowych wzniesiono również szereg innych obiektów. Na obszarze wokół Pergoli urządzono ogrody wzorcowe (m.in. japoński, gotycki, klasztorny). Zwiedzający mogli także udać się do pawilonów Wystawy Sztuki Cmentarnej, Związku Artystów Śląska, Wystawy Budownictwa Ogrodowego czy do ogrodu botanicznego. Jak na tamtejsze czasy, ekspozycja zdumiewała rozmachem i przygotowaniem. Wystawę Stulecia zwiedziło ponad 100 tys. osób. Po jej zakończeniu Tereny Wystawowe wokół Hali kilkakrotnie przebudowywano i rozbudowywano. Autorem tych adaptacji był głównie Richard Konwiarz, który jest znany m.in. z tego, że w czasie wojny zaprojektował i zrealizował cztery wrocławskie schrony naziemne obrony przeciwlotniczej. W okresie międzywojennym był on również twórcą Stadionu Śląskiego i miejskiego basenu.

Większość pawilonów rozebrano, natomiast wokół Hali Stulecia pozostały Pawilon Czterech Kopuł, pergola, restauracja tarasowa, ogród historyczny, ogród japoński, teatr letni i przeniesiony tu drewniany kościółek z XVI w., którego rekonstrukcja miała uzmysłowić mieszkańcom, że zabytki architektury powinny zostać objęte ochroną, aby zachować je dla przyszłych pokoleń. Hala stała się miejscem zgromadzeń publicznych, natomiast Pawilon Czterech Kopuł funkcjonował jako budynek wystawowy.

Podczas I wojny światowej Hala Stulecia służyła jako wielki magazyn prowiantowy. W 1917 r. na jej terenach zorganizowano pierwsze w mieście targi przemysłowe. W roku 1929 odbyła się tu słynna ekspozycja „Mieszkanie i miejsce

pracy" (Wohnung und Werkraum Ausstellung), uznana za manifest nowoczesnej architektury Wrocławia. Jej celem było ukazanie aktualnych trendów w budownictwie mieszkaniowym oraz sposobów budowy tanich i zdrowych mieszkań. W jej trakcie zaprezentowano „wzorcowe osiedle" z małymi mieszkaniami, domami szeregowymi oraz pracowniami i warsztatami rzemieślników. Wystawa wzbudziła duże zainteresowanie i odbiła się sporym echem. W latach 30. XX w., obok wystaw, w Hali odbywały się też imprezy sportowe czy nawet... występy cyrku. Kiedy do władzy doszli naziści, w gmachu przemawiał też Adolf Hitler i inni członkowie nowych władz Rzeszy. Führer był pod takim wrażeniem ogromnej budowli, której architektura idealnie pasowała do organizacji masowych wieców, że postanowił nawet wznieść w Berlinie Kuppelhalle, wzorowaną na Hali Stulecia. Jej zaprojektowanie powierzył Albertowi Speerowi, ale do budowy ostatecznie nie doszło. Ostatnie targi międzynarodowe na Terenach Wystawowych otwarto w maju 1939 r. Swoje dokonania przedstawiały na nich kraje Europy wschodniej i południowej – Bułgaria, Jugosławia, Rumunia, Turcja, Węgry i Polska.

Otwarcie Kongresu Intelektualistów w Hali Ludowej, 1948. Źródło: www.fotopolska.eu

Wrocławski „dom demokracji"

Hala Stulecia przetrwała II wojnę światową bez większych uszkodzeń. Miała ponoć jedynie powybijane okna. Dewastacji uległy jednak organy. A był to instrument niebagatelny – w chwili wybudowania, był to największy instrument muzyczny na świecie. Prawdopodobnie monumentalne organy ucierpiały najbardziej już po wojnie, kiedy do Hali mógł wejść każdy, kto chciał, i jej wnętrze zniszczono. Obecnie odrestaurowane, wykorzystywane są w archikatedrze wrocławskiej. Sam gmach Hali, po wojnie nazywanej Halą Ludową, co dużo bardziej odpowiadało nowym władzom Ziem Odzyskanych, szybko zagospodarowano. Pierwszą dużą, powojenną imprezą, która miała w niej miejsce, była zorganizowana w 1948 r. Wystawa Ziem Odzyskanych. Z jej okazji przed Halą postawiono stalową iglicę o wysokości 106 m i wadze 44 ton, autorstwa Stanisława Hempla, oraz... wieżę ze zwykłych ocynkowanych wiader, mającą symbolizować odbudowę przemysłu w regionie. Celem całej ekspozycji było pokazanie efektów trzyletniej działalności Ministerstwa Ziem Odzyskanych oraz uzasadnienie polskości Śląska. Ciekawe jak interpretowano w tym kontekście „znak", jakim była burza, która przeszła nad miastem w dniu otwarcia wystawy i uszkodziła umieszczone na szczycie iglicy lustro odbijające światła wycelowanych w nie reflektorów... Zniszczone zwierciadło trzeba było usunąć – podjęli się tego dwaj krakowscy taternicy, Z. Jaworowski i W. Niedziałek, ich wspinaczka trwała całe 24 godziny, a wyczyn ten obserwowały na żywo tysiące osób.

W trakcie Wystawy Ziem Odzyskanych miał też miejsce Światowy Kongres Intelektualistów w Obronie Pokoju. W zamierzeniu władz spotkanie miało być dowodem na międzynarodowe poparcie dla odbudowywania Polski znajdującej się w strefie wpływów ZSRR. Do Wrocławia przybyło około 400 intelektualistów z 46 krajów, a wśród zaproszonych znaleźli się m.in. Pablo Picasso, Bertold Brecht, Zofia Nałkowska czy Michaił Szołochow. Odbywający się początkowo w pokojowej atmosferze Kongres zakończył skandal, kiedy radziecki pisarz Aleksander Fadiejewa, zapalony komunista, podczas swojej przemowy zaatakował ostro USA oraz „zepsutą sztukę Zachodu". Część uczestników poczuła się tym mocno urażona i opuściła Wrocław. Ogółem Wystawę przez 100 dni jej trwania odwiedziło 2 mln widzów. Pomijając „ideologiczny konflikt" okazała się ona wielkim propagandowym sukcesem i... ekonomiczną klapą. Wielkie koszty poniesione na jej organizację – 715 mln zł – zwróciły się tylko w około 1/3.

W czasach PRL-u Hala Ludowa służyła jako miejsce koncertów i masowych imprez sportowych. W jej wnętrzu otworzono także kino o największej w Polsce widowni. Z filarów skuto hitlerowskie gapy, w kuluarach wylano betonową posadzkę, zainstalowano centralne ogrzewanie i nagłośnienie. Większych prac remontowych budowla doczekała się jednak dopiero po 1989 roku. W 1997 r. obniżono o około metra poziom posadzki, wbudowano przesuwne trybuny i zainstalowano rozkładane boiska, co umożliwiło zmianę funkcji Hali w zależności od potrzeb – na sportową, widowiskową lub targową. Największy do tej pory remont miał miejsce w latach 2009-2011. Odrestaurowano wtedy stolarkę okienną, pokrycia dachowe i wnętrza. Wymieniono wszystkie 600 okien, co było nie lada osiągnięciem, ponieważ oryginalnie do ich zbudowania wykorzystano mahoń żelazowy sprowadzany specjalnie z Australii. Dziś ten gatunek drzewa nie występuje, więc na wniosek konserwatora zastosowano drzewo tekowe. Sam dobór szyb został dokonany na podstawie odnalezionej oryginalnej próbki z nieistniejącej huty szkła w Pirnie pod Dreznem. Na tej podstawie dobrano szkło współczesne najbardziej zbliżone do niej parametrami. Elewacja odzyskała swój przedwojenny, żółto-piaskowy kolor.

Dziś Hala to nie tylko miejsce imprez sportowych i targów, ale też budynek, w którym – dzięki wyjątkowej akustyce – odbywają się monumentalne koncerty i przedstawienia operowe. To wielkie dzieło ekspresjonizmu zostało też docenione jako pomnik architektury – w 2006 Hala Stulecia trafiła na listę światowego dziedzictwa UNESCO.

Literatura:
1. J. Ilkosz, „Hala Stulecia i Tereny Wystawowe we Wrocławiu – dzieło Maxa Berga", Wrocław 2004
2. K. Beelitz, N. Forster, „Breslau/Wrocław. Przewodnik po architekturze modernistycznej", Wrocław 2006
3. E. Niemczyk, „Hala Ludowa we Wrocławiu", Wrocław 1997

Wybaczyć – nie znaczy zapomnieć

Polska i Ukraina: obok siebie, naprzeciw siebie (cz. 1)

TEKST: PIOTR GALIK

„Cóżeś uczynił? Krew brata twego głośno woła ku mnie z ziemi!" (Rdz 4,10).

Tysiąc z górą lat polsko-rusińskiego sąsiedztwa obfitowało w zmienne koleje politycznych losów tych dwóch tak sobie bliskich, a przecież tak innych nacji. Po krwawym przesileniu w wieku XX trudno bez emocji i resentymentów myśleć o relacjach pomiędzy Polską i Ukrainą. Cień makabrycznych zbrodni, jakie miały miejsce na Kresach, kładzie się upiornym piętnem na wzajemne postrzeganie się dwóch największych i kluczowych dla ekonomii oraz polityki Europy środkowo-wschodniej narodów. Trzeba jednak pamiętać, że odwracanie się od historii, zacieranie mrocznych epizodów, świadome zamilczanie zbrodni w imię „dobrosąsiedzkich stosunków", przypomina leczenie gorączki poprzez stłuczenie termometru... Tym bardziej, że polityka ta ma – niestety – charakter wybitnie asymetryczny, by nie rzec jednostronny. Mit jagiellońsko-giedroycowski wciąż przesłania realistyczną ocenę naszych możliwości oddziaływania politycznego wobec Ukrainy i innych państw pomiędzy Polską a Rosją. A przecież już w wieku XIX znane było ostrzeżenie Józefa Szujskiego, że „fałszywa historia jest mistrzynią fałszywej polityki".

Kainowe dziedzictwo

Truizmem wydaje się stwierdzenie, że Ukraina i Polska sąsiadują ze sobą od tysiąclecia. W istocie ani współczesna Ukraina, ani III RP nie są tożsame z dawnymi bytami politycznymi, funkcjonującymi na krytycznym dla Europy pograniczu pomiędzy strefą cywilizacji łacińskiej, czyli umownie Zachodu, a obszarem cywilizacji bizantyńskiej, charakterystycznej dla Wschodu. Podziały cywilizacyjne właśnie, najpełniej i najwidoczniej dostrzegalne w sferze religijnej i mentalnościowej, to istotna oś podziału, aż do naszych czasów przebiegająca w poprzek naszego kontynentu i regionu geopolitycznego. Pomimo wspólnego słowiańskiego pochodzenia Polanie, wraz z innymi zachodniosłowiańskimi plemionami, i Rusini już u początku swoich państwowości znaleźli się nie tylko obok siebie, ale i naprzeciw siebie. Gnieźnieńskie państwo Polan, które w XI w. stało się Królestwem Polskim, znalazło się – podobnie jak sąsiednie i pobratymcze nacje Czechów i Słowaków (ci drudzy aż do XX w. pod panowaniem węgierskim) – w zasięgu kulturowym i politycznym Świętego Cesarstwa Rzymskiego. Ruś Kijowska, czyli zjednoczona pod berłem rodu Rurykowiczów monarchia wschodniosłowiańska, z łatwych do zrozumienia powodów (więzi ekonomiczne, dynastyczne, bliskość geograficzna) weszła w orbitę wpływów Bizancjum – Cesarstwa Wschodniego. Uznawana w naszej historiografii za umowny początek państwowości data chrztu władcy Polan, Mieszka I w roku 966, ma swój bliźniaczy odpowiednik w dziejach Rusi – chrzest w obrządku greckim księcia Włodzimierza I Rurykowicza, zwanego Wielkim (988). Mimo formalnej jedności Kościoła (zerwanej dopiero w połowie XI w.) ówczesne różnice pomiędzy głównymi obrządkami chrześcijańskimi były głębokie, i miały daleko bardziej charakter kulturowy, niż teologiczny. Tak więc wczesne państwo piastowskie i Księstwo Kijowskie znalazły się po przeciwnych stronach cywilizacyjnej, ale i politycznej barykady. W tym okresie doszło do pierwszego znanego z zapisu kronikarskiego konfliktu pomiędzy tymi sąsiednimi państwami. Oto wg Latopisu Nestora: *„Roku 6489 [981]. Poszedł Włodzimierz ku Lachom i zajął grody ich: Przemyśl, Czerwień i inne grody, które do dziś dnia są pod Rusią"*. To lakoniczne stwierdzenie dokumentuje aneksję pogranicznego obszaru nad Sanem i Bugiem, zamieszkanego wówczas przez zachodniosłowiańskie plemię Lędzian. Byłoby oczywiście nadużyciem uznać ich za Polaków, ale też i pojęcie ponadplemiennej narodowości miało się dopiero kształtować, za sprawą wzmocnienia poczucia wspólnoty etnicznej przez polityczną przynależność do Królestwa Polskiego (formalnie od 1025 r., kiedy to koronę zyskał Bolesław Chrobry). Równie daleko było ówczesnym Rusinom do ukraińskości. Nie ma jednak wątpliwości, że obszar Grodów Czerwieńskich, jak określano sporne terytorium, został przez księcia Bolesława Chrobrego odbity w roku 1018. Nie na długo. W roku 1031 wojska rusko-wareskie ponownie najechały siedziby Lędzian. Według kronikarskiej notatki: *„Roku 6539 [1031]. Jarosław i Mścisław zebrali wojów mnogich, poszli na Lachów i zajęli Grody Czerwieńskie znowu, i spustoszyli ziemię lacką, i mnóstwo Lachów przywiedli, i rozdzielili ich. Jarosław osadził swoich nad Rosią, i są do dziś"*. Mnóstwo Lachów przywiedli i rozdzielili ich (podkreślenie – P. G.) – to lakoniczne stwierdzenie wskazuje na świadomą akcję spowodowania zmian etnograficznych, wykorzenienia zachodniosłowiańskiej ludności i zastąpienia jej ruskimi osadnikami, aby w przyszłości utrudnić ewentualne odzyskanie Grodów Czerwieńskich przez państwo Piastów. Terytorium plemienne Lędzian straciło w wyniku tej czystki etnicznej zachodniosłowiański charakter etnograficzny, zyskując nową nazwę: Ruś Czerwona. W wyniku podziałów dzielnicowych Księstwa Kijowskiego (analogicznych do procesów wywołanych z woli Bolesława Krzywoustego w Polsce) ukształtował się lokalny byt polityczny, znany jako Księstwo Halicko-Wołyńskie. Podczas katastrofalnego najazdu mongolskiego w XIII w. zostało ono spustoszone, jednak lokalny władca Daniel Halicki zdołał nie tylko przetrwać, ale nawet umocnić swoją władzę, przyjmując w roku 1253 (lub 1254) koronę królewską z rąk legata papieskiego, co jasno wskazywało na prozachodnią orientację polityczną tego Rurykowicza. Inna sprawa, że Bizancjum utraciło już dawną mocarstwową rolę, a bezlitosnym hegemonem ziem ruskich stali się Mongołowie, którzy reprezentowali całkiem odmienny – i trudny do zniesienia dla Europejczyków – model kulturowy, określany jako cywilizacja turańska albo stepowa.

„Jarzmo tatarskie", jak w historiografii naszych wschodnich sąsiadów określa się brzemienny w skutki okres mongolskiej hegemonii, objęło bez mała wszystkie ziemie ruskie i nieodwracal-

Mapa ziem ukraińskich Rzeczypospolitej w XVII wieku. W pierwotnym pojęciu Ukraina oznaczała kresy, nie obejmowała Rusi Czerwonej, Czarnej, Białej ani Wołynia.

nie zmieniło ich historię. Najbardziej chyba tragicznym aspektem importu stepowych zasad i stylu rządzenia na Rusi, było stworzenie systemu bezwzględnej eksploatacji krajów podbitych przez ich własnych władców, którzy – by zachować uprzywilejowaną pozycję społeczną, dobrobyt, władzę i życie – musieli godzić się na wszelkie żądania Ordy, a nawet prześcigać wzajemnie w służalstwie i kolaboracji, by zaskarbiać sobie przychylność nieufnych chanów. W efekcie takiej polityki wiodącym centrum politycznym terenów władanych przez Rurykowiczów stały się ziemie Rusi Zaleskiej, położonej na północno-wschodnich kresach zasięgu osadnictwa słowiańskiego. Tam też zrodziła się późniejsza potęga Moskwy. Tymczasem w miarę słabnięcia władzy mongolskiej, rozdzieranej wewnętrznymi sporami, rdzennie ruskie obszary, dziedzictwo kniazia Ruryka, zostały opanowane przez rosnące w siłę państwo litewskie. Los taki spotkał ziemię wołyńską. Ruś Czerwona ze stołecznym Lwowem połączyła się w 1340 r. mocą umowy sukcesyjnej z Królestwem Polskim. Od tej pory aż do 1939 r. region ten pozostawał w związku politycznym, ale także cywilizacyjnym i kulturowym z Zachodem. Tam też narodzić się miała koncepcja narodu ukraińskiego, jako wspólnoty politycznej, w przeciwstawieniu do nacji rusińskiej, jako wspólnoty etnicznej. Stało się to jednak dopiero ponad sześć wieków później…

Tożsamość wykuta żelazem hartowanym w krwi

Unia polsko-litewska zapoczątkowana dynastycznym mariażem dziedziczki tradycji piastowskiej i andegaweńskiej, Jadwigi Węgierskiej i Jogajły (Jagiełły) Olgierdowicza, zwierzchniego władcy Litwy, pozostającej wówczas pod silnymi wpływami kulturowymi słowiańszczyzny wschodniej, stworzyła wielkie i silne państwo, zdolne do prowadzenia samodzielnej polityki międzynarodowej. Rzeczpospolita Obojga Narodów była w istocie mocarstwem wielonarodowym i wielokulturowym, a granica pomiędzy jego częściami, polską i litewską, stała się także granicą między europejskim Wschodem a Zachodem. Po ostatecznej korekcie podziałów administracyjnych państwa, przeprowadzonej mocą Unii Lubelskiej (1569) już za ostatniego z Jagiellonów na polskim tronie Zygmunta II Augusta, znaczna część zaanektowanych niegdyś przez Litwę ziem ruskich przeszła pod władzę Korony Polskiej. Tym samym zaburzono klarowny dualizm cywilizacyjny państwa, złożonego ze wschodniej kulturowo Litwy i zachodniej Korony. W tamtym okresie pojawił się także termin „ziemie ukraińskie" lub „Ukraina", oznaczające Naddnieprze, a ogólnie południowo-wschodnie kresy państwa polsko-litewskiego. Warto zauważyć, że właśnie po realizacji założeń Unii Lubelskiej na podlegających bezpośrednio królom polskim ziemiach ruskich zaczął narastać opór przed wyznaniową i kulturową unifikacją. O ile ruscy kniaziowie i szlachta stosunkowo szybko i chętnie przyjęli cywilizacyjne wzorce Zachodu i ulegli polonizacji, o tyle prawosławne duchowieństwo uparcie zachowywało swoją odrębność, potępiając zwłaszcza unię religijną Kościoła i Cerkwi, podpisaną w Brześciu (1596). Osobliwe, że najbardziej żarliwymi sojusznikami Prawosławia okazali się Kozacy, czyli unikatowa społeczność zarazem najemników i piratów, rolników i kupców, zamieszkujących pogranicze Rzeczypospolitej i Turcji. Kozaczyzna była zaskakująco skutecznym połączeniem duchowego dziedzictwa cywilizacji bizantyjskiej i turańskiej (stepowych koczowników), stawiając coraz silniejszy opór kulturowej unifikacji ziem ruskich z Koroną. Agresywni i złaknieni łupów Kozacy wielokrotnie napadali na terytoria zależne od Turcji, silnie komplikując polską politykę zagraniczną. Próby prawnej regulacji statusu kozaczyzny (a zwłaszcza znienawidzony „rejestr", czyli imienny wykaz pozostających na żołdzie i w służbie Rzeczypospolitej kozackich najemników) wywoływały drastyczne sprzeciwy, aż do otwartych buntów zbrojnych. Częste już od początku XVII w. powstania kozackie kończyły się zwykle klęską z rąk armii królewskiej. Dopiero największe z nich, które w roku 1648 wybuchło pod wodzą legendarnego Chmiela (ataman Bohdan Chmielnicki), przez dłuższy czas odnosiło sukcesy i w wielkiej mierze przyczyniło się do osłabienia Rzeczypospolitej, a w dalszej perspektywie – do jej upadku i rozbiorów. Powstanie Kozaków szybko zamieniło się w bunt „czerni", czyli masową rebelię wiejskiej biedoty, nie stroniącej bynajmniej od klasycznych okropności wojny: grabieży, wandalizmu, a także pogromów Żydów i katolickiej szlachty. Zgodnie z europejską praktyką tamtej epoki, równie krwawe były represyjne działania armii Rzeczypospolitej. Dodatkowe spustoszenie czyniły sprzymierzone z Kozakami oddziały tatarskie, mordując lub porywając w niewolę mieszkańców ziem ruskich bez różnic stanowych, wyznaniowych czy językowych. Ponurym symbolem „chmielniczyzny" stała się masakra polskich jeńców po bitwie na uroczysku Batoh w roku 1652. Ten „sarmacki Katyń", był oczywistym przejawem zamierzonej i celowej, fizycznej eliminacji znienawidzonych Lachów. Natomiast najgorszym politycznym skutkiem buntu Chmielnickiego było oddanie Rosji ziem ukraińskich Rzeczypospolitej, czyli Zadnieprza (1654).

W ponad wiek później krwawe ekscesy raz jeszcze wstrząsnęły ziemiami ruskimi Korony. Latem 1768 r. przez ponad miesiąc trwały tam okrutne rzezie Polaków, Żydów i katolickich księży, nazwane „Koliszczyzną". Śmierć – niejednokrotnie męczeńską – poniosło wówczas, wg rozbieżnych opinii, nawet do 200 tys. osób. Ich kaźni towarzyszyły zwykle rabunki, niszczenie szlacheckich dworów, wycinanie „pańskich" lasów, a nawet profanacje świątyń. Poklask zyskało wówczas hasło: *„Lach, Żyd i sobaka, wse wira odnaka"* (Polak, Żyd i pies to jedna wiara)... Apogeum ówczesnych czystek etnicznych stała się masakra w miasteczku Humań, tak opisywana na podstawie relacji świadków: *„(...) w samej tylko synagodze poniosło śmierć około 3 tys. Żydów. Obcinano im ręce i uszy, a dobijali ich chłopi przybyli z pobliskich wsi. Wyciągano ich także z innych miejsc, gdzie usiłowali szukać schronienia: z piwnic, domów a nawet rowów; a następnie gromadzono w jednym miejscu, gdzie do akcji przystąpiły również kobiety, a podobno i dzieci. (...) Innych* [księży] *torturowano, żądając zdradzenia miejsca, gdzie zostały ukryte aparaty kościelne i szlacheckie depozyty. (...) Nienawiść chłopstwa przeciw unii i obrządkowi rzymskokatolickiemu wyraziła się także w postaci naigrywania z liturgii. Ubierano się w ornaty, wygłaszano szydercze kazania, pito wino z kielichów kościelnych i niszczono pateny. Nienawiść powstańców zwróciła się wreszcie przeciw szlachcie zgromadzonej w Humaniu. Okrucieństwo przekroczyło wszelkie granice. Celowali w nim, jak w poprzednich wypadkach, chłopi przybyli z włości humańskiej. Ofiary przywiązywano do pala, bito, kłuto spisami, by na koniec dobić nożem lub wystrzałem z broni palnej. Gwałcono kobiety, ciężarnym rozcinano brzuchy, a dzieci podnoszono triumfalnie na spisach do góry. Uciekające w panice rodziny szlacheckie chowały się w piwnicach, rowach, zaroślach, skąd były wywlekane, pędzone i gromadzone w jednym miejscu, by tam następnie ulec okrutnej rzezi"*. We współczesnej historiografii i potocznym przekonaniu wielu mieszkańców naszego wschodniego sąsiada, anarchiczna i kapryśna Kozaczyzna uznawana jest za protoplastów nowoczesnego narodu ukraińskiego, a zarówno Chmielnicki, jak i przywódcy koliszczyzny, Gonta i Żeleźniak są czczeni jako bohaterowie...

Rozbiory Rzeczypospolitej przesądziły o zajęciu przez Rosjan większości dawnych ziem ruskich, z wyjątkiem Rusi Czerwonej, zaanektowanej przez monarchię habsburską. I to właśnie tam, a nie pod panowaniem Romanowów, zrodziła się najpierw myśl polityczna, a później tożsamość narodowa Ukraińców, oparta – niestety! – na antypolskich resentymentach i fobiach.

W habsburskim tyglu – narodziny narodu ukraińskiego

W roku 1772 ziemie południowej Małopolski zostały wcielone do monarchii habsburskiej jako Królestwo Galicji i Lodomerii. Nazwa ta nawiązywała do średniowiecznej Rusi Halicko-Włodzimierskiej, o którą rywalizowały z Polską Węgry. Oficjalnie to właśnie w imieniu swoich węgierskich poddanych cesarzowa Maria Teresa dokonała „rewindykacji ziem utraconych". W ten sposób rusińska ludność tych obszarów, zamieszkiwanych także przez Polaków, Żydów i Ormian, by wymienić tylko najliczniejsze nacje, pozostała w kręgu cywilizacji łacińskiej. Jednak w przeciwieństwie do Polaków, którzy wprawdzie utracili swoją państwowość, lecz nie porzucili myśli o niepodległości, galicyjscy Rusini znajdowali się wówczas dopiero u progu nowoczesnej samoświadomości narodowej. Tę niełatwą sytuację pogarszał jeszcze dotkliwy brak własnych elit. Rusini pozostawali w swojej masie społeczeństwem chłopskim, plebejskim. Jedyną realnie dostępną ścieżką awansu społecznego, mogła być kariera w stanie duchownym. Z tych właśnie kręgów wywodziła się grupa literacka, zwana „Ruską Trójcą". Tworzący ją młodzi seminarzyści grekokatoliccy ze Lwowa, inspirowani przez dokonania innych nacji słowiańskich, poszukujących kulturowej tożsamości, stali się prekursorami współczesnego literackiego języka ukraińskiego. Emancypację społeczną Rusinów utrudniały także względy ekonomiczne. Ubogiego rolnika (a ci stanowili ogromną część nacji) nie było po prostu stać na opłacenie dzieciom wykształcenia pozwalającego im na zmianę zawodu i statusu. A ze strony Polaków z rzadka pojawiały się głosy o potrzebie zmiany takiego stanu rzeczy. Przeważała – co należy ze wstydem wyznać – odziedziczona po dawnej Rzeczypospolitej zasada: *„cham był, jest i będzie chamem, na wieki wieków amen"*...

Władze zaborcze z nieufnością obserwowały polskich poddanych, nie bez podstaw wątpiąc w szczerość składanych dość często deklaracji lojalności wobec Wiednia. Jednak dopiero w połowie wieku XIX, w okresie wielkiego kryzysu ówczesnego ładu europejskiego, nazwanego Wiosną Ludów, politycy dworu cesarskiego sięgnęli po antyczną, lecz ponadczasowo skuteczną doktrynę „dziel i rządź". Zatem, aby zneutralizować polskie próby wykorzystania kryzysu państwa dla odzyskania choć części swobód narodowych, wiosną 1848 r. administracja habsburska wypromowała proklamację Głównej Rady Ruskiej, która miała odciągnąć nieliczną jeszcze, lecz aktywną politycznie rusińską inteligencję od współpracy z Polakami, którzy przygotowywali tzw. adres (deklarację żądań) do cesarza Ferdynanda. Wykładowca lwowskiego seminarium grekokatolickiego, dr Kiryło Wieńkowskyj ostrzegał swoich podopiecznych: *„Nie zapominajcie, że jesteście szczepem ruskim, różnym od polskiego; że macie inną narodowość, inną historię, inny język: słowem, że jesteście Rusinami; jeśli tedy zechcecie podpisywać ten adres, to uczyńcie to nie wprzód, aż w nim dołożone zostaną punkta, którymi by wam osobny byt,*

Rzeź Humania według ryciny z epoki.

narodowość, osobny język zabezpieczono". Wkrótce powstało 50 rad terytorialnych, a Główna Rada Ruska opublikowała odezwę do rodaków, w której padły znamienne słowa: *„My Rusini galicyjscy – należymy do wielkiego ruskiego narodu, który jednym mówi językiem, 15 milionów liczy, a z którego półtrzecia miliona ziemię galicyjską zamieszkuje. Ten naród był niegdyś samodzielnym, wyrównywał w sławie najmożniejszym narodom Europy, miał własny wydoskonalony język, własne swe ustawy, własnych książąt; jednym słowem, był w dobrym bycie, zamożny i silny"*. Delegaci GRR uczestniczyli także w obradach Zjazdu Słowiańskiego w Pradze. Był to ważny debiut nowej nacji na arenie międzynarodowej, zdominowanej dotąd przez tzw. narody historyczne, czyli te, które od wieków chlubiły się odrębnymi tradycjami państwowymi. Kula śniegowa ruszyła w dół zbocza, nic już nie mogło powstrzymać narodowej lawiny…

Polacy usiłowali opanować sytuację, powołując propolski Ruski Sobór, konkurencyjną radę gromadzącą konserwatywnych Rusinów i polskich arystokratów nie odżegnujących się od swoich ruskich korzeni, jak Leon Sapieha czy bracia Dzieduszyccy. Inicjatywa ta nie znalazła jednak poparcia. W miarę stopniowej liberalizacji ustroju Cesarstwa, a zwłaszcza po powstaniu Austro-Węgier (1867) coraz liczniejsza inteligencja ruska w Galicji z prawdziwie chłopskim uporem kładła fundamenty pod budowę nowoczesnego narodu politycznego. „Nacji w budowie" brakowało jednak nazwy, pozwalającej na bezbłędną identyfikację. Odwieczne określenie Rusini (albo Rutenćy, niem Ruthenen) zbytnio kojarzyło się z Rosją i jej mieszkańcami (Russkije, niem. Russen). Ojcem współczesnej nazwy narodu ukraińskiego stał się w końcu XIX w. lwowski wykładowca akademicki, historyk Michajło Hruszewskij. Rozszerzone na całość obszarów zamieszkiwanych przez Rusinów i ich dziejów określenie Ukraina przyjęło się powszechnie. W kręgach polskich „nowinkę" tę przyjęto bez entuzjazmu, a dynamiczny narodowy ruch ukraiński postrzegano po części z obawą, po części z nadzieją, że żarliwy nacjonalizm młodych działaczy da się skanalizować przeciwko Rosji. Przecież to pod berłem dynastii Romanowów pozostawała ogromna większość narodu ukraińskiego. Tymczasem carski dwór nawet w drobnym zakresie nie zamierzał zapewnić „Chachłom" („chochołom", jak pogardliwie określano Ukraińców w Imperium) swobód narodowych. Oficjalnie zresztą ziemie ukraińskie Imperium nazywano „guberniami małorosyjskimi", a mowę ich mieszkańców uznawano za dialekt języka rosyjskiego.

Pierwsza krew

Ukraiński ruch nacjonalistyczny, który rozwinął się na początku XX w. w Galicji, reprezentował najbardziej radykalne postulaty polityczne. Celem legalnej działalności politycznej, ale także i sprzecznych z prawem aktów terroru, było utworzenie ukraińskiego państwa narodowego, łączącego rodaków z Rosji i Austro-Węgier. Program ten miał także oblicze antypolskie, gdyż ukraińscy ekstremiści nie chcieli akceptować polskich aspiracji do odbudowy przedrozbiorowej Rzeczypospolitej. To, co dla Polaków było niepodważalnym aksjomatem politycznym, dla Ukraińców stanowiło potencjalne zagrożenie zamianą panowania Habsburgów i Romanowów na kolejną niewolę, tym razem (ponownie!) polską…

Z punktu widzenia politycznych ekstremistów, wszelkie próby koegzystencji, kompromisu polsko-ukraińskiego, były zagrożeniem dla wielkiego planu budowy Samostijnej (niepodległej) Ukrainy. Tak więc, gdy w roku 1908 carsko-królewski namiestnik Galicji, Andrzej Kazimierz Potocki zawarł porozumienie z działaczami ukraińskiego ruchu narodowego, które pozwalało na zapoczątkowanie polsko-ukraińskiej współpracy parlamentarnej, radykalny działacz narodowy, student Mirosław Syczynskyj dokonał udanego zamachu terrorystycznego, zabijając namiestnika strzałami z pistoletu podczas audiencji. Ta krew, przelana w imię niepodległości Ukrainy, powinna stać się przestrogą. Niestety, dla wielu stała się zachętą do dalszej eskalacji terroru. Od tej pory już nie współpraca, lecz nawet pokojowe współistnienie różnych narodów na ziemiach ukraińskich stawało się wątpliwe. A najgorsze miało dopiero nadejść w straszliwym wieku XX… Cdn.

Literatura, wykorzystane cytaty:
1. Wł. A. Serczyk, „Historia Ukrainy", Wrocław-Warszawa 1979
2. Wł. A. Serczyk, „Koliszczyzna", Kraków 1968
3. N. Jakowenko, „Historia Ukrainy do 1795 roku", Warszawa 2011
4. H. Paszkiewicz, „Początki Rusi", Kraków 1996

Piotr Galik
Historyk, pisarz, erudyta. Wieloletni współpracownik i przyjaciel „Odkrywcy". Konsultant z dziedziny wojskowości. Kolekcjoner-falerysta.

W numerze marcowym „Odkrywcy" (nr 3/2013) ogłosiliśmy konkurs sms-owy, dotyczący organizowanych przez nas Konferencji popularnonaukowych. Wszystkie 8 konkursowych pytań nawiązywały do poprzednich edycji imprezy. Otrzymaliśmy wiele prawidłowych odpowiedzi, za które bardzo dziękujemy.

Główna nagrodę, którą był udział w tegorocznej VIII Konferencji, zdobyła Pani Bożena Zalewska, która jako pierwsza wysłała sms z prawidłową odpowiedzią. Gratulujemy!

Dla pozostałych 9 laureatów mamy nagrody pocieszenia w postaci płyt z prezentacjami z poprzednich siedmiu edycji Konferencji. Zestawy te otrzymują:

- Arkadiusz Kamiński
- Rafał Zaskórski
- Mieczysław Oskiera
- Arkadiusz Kobyliński
- Tomasz Sieledcow
- Marta Kamińska
- Mariusz Madej
- Marek Andrzejewski
- Aneta Zaskórska

Podajemy prawidłowe odpowiedzi na pytania:
1B; 2B; 3C; 4C; 5A; 6C; 7C; 8A

Wszystkim uczestnikom serdecznie dziękujemy za udział w konkursie. Zapraszamy do następnych. Każdorazowo do wygrania jest wiele cennych i atrakcyjnych nagród. Serdecznie zachęcamy Was do aktywnego udziału w każdej edycji konkursu. Pamiętajcie nie wygrywa tylko ten, który nie gra!

Zwycięzcom serdecznie gratulujemy!

Polska pomoc dla komunistycznej partyzantki greckiej 1947-1950

Dopisek do...

TEKST: KRZYSZTOF KUBIAK
ZDJĘCIA: ZB. AUTORA, INTERNET

Kilka miesięcy temu pan Janusz Skowroński przedstawił na łamach „Odkrywcy" („Odkrywca" nr 9/2012) okoliczności powołania oraz działalność przeznaczonego dla greckich partyzantów szpitala w Dziwnowie. Zorganizowanie tej placówki nie było jednak jedyną formą polskiej pomocy dla komunistycznej partyzantki greckiej. W uzupełnieniu tematu, sygnalnie przedstawię inne formy wspierania komunistycznej rebelii na Półwyspie Bałkańskim.

Druga wojna światowa radykalnie zmieniła sytuację wewnętrzną w Grecji. Walka z trzema okupantami (Niemcy, Włosi, Bułgarzy), nałożyła się na narastanie konfliktów między lewicą z komunistami na czele oraz centro-prawicą (podzieloną dodatkowo na monarchistów i liberałów). Pod koniec 1944 roku, gdy Niemcy rozpoczęli ewakuację Grecji, największym potencjałem militarnym dysponowało zbrojne ugrupowanie lewicy zwane Grecką Ludową Armią Wyzwoleńczą (grec. Ellinikós Laïkós Apeleftherotikós Stratós, ELAS). Formalnie było ono skrzydłem wojskowym Narodowego Frontu Wyzwolenia (grec. Ethniko Apeleftherotiko Metopo, EAM). Aby zrozumieć późniejsze wydarzenia, należy cofnąć się do genezy EAM. Owa obejmująca stosunkowo szerokie kręgi społeczne lewicowa organizacja powstała 27 IX 1941 r. z inicjatywy Komunistycznej Partii Grecji (grec. Kommounistikó Kómma Elládas, KKE). W jej skład weszli również socjaliści (Socjalistyczna Partia Grecji, grec. Socianistico Komma Elládas, SKE), członkowie Ludowego Związku na rzecz Demokracji (ELD) oraz lewicowi agrariusze. Najsilniejszymi strukturami organizacyjnymi oraz najwierniejszymi kadrami dysponowała jednak KKE, która zdominowała EAM. Jeszcze podczas okupacji ELAS walczyła z innymi, monarchistycznymi i liberalnymi organizacjami konspiracyjnymi, wychodząc z owych zmagań zwycięsko. Zbrojnej konfrontacji czasowo kres położyło zawarte pod auspicjami brytyjskimi porozumienie z Caserty (Włochy), podpisane 26 IX 1944 r., ale wydaje się, że dla lewicy było ono jedynie sposobem zyskania na czasie, oraz kompromisem umożliwiającym dalsze otrzymywanie pomocy od aliantów zachodnich[1].

Po wycofaniu się Niemców, napięcie między EAM/ELAS a prawicą (zarówno monarchistami, jak i zorientowanymi na Zachód republikanami i liberałami) zaczęło szybko wzrastać. 1 XII 1944 r., w związku z kontrowersjami dotyczącymi rozbrojenia ELAS i tworzenia armii narodowej, z rządu jedności premie-

Emblemat Greckiej Armii Demokratycznej.

Partyzanci Greckiej Armii Demokratycznej.

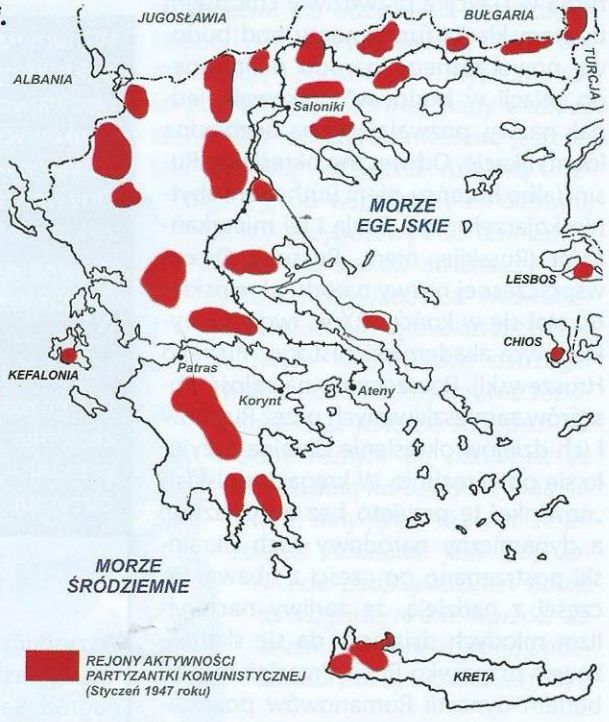

Rejony aktywności partyzantki komunistycznej. Styczeń 1947.

ra George Papandreou ustąpili wszyscy ministrowie desygnowani przez EAM. Demonstracje zwolenników lewicy zorganizowane 3 grudnia zakończyły się starciami z siłami bezpieczeństwa – określanymi mianem „wydarzeń grudniowych". Walki objęły Ateny, a obie strony wykazały się bezwzględnością i okrucieństwem. „Czerwony terror" zastosowany wówczas przez komunistów skłonił umiarkowane ugrupowania, takie jak SKE i ELD do opuszczenia EAM, który stał się tworem fasadowym partii komunistycznej. Dalszą eskalację przerwało tzw. porozumienie z Varkizy, zawarte 15 II 1945 roku. I ono jednak okazało się zaledwie taktycznym rozejmem, gdyż obie strony parły do konfrontacji, a rozpętany przez rząd „biały terror", wymierzony w rzeczywistych i wyimaginowanych uczestników „wydarzeń grudniowych" przysparzał zwolenników komunistom. W grudniu 1946 r. w Grecji wybuchła wojna domowa. W jej trakcie stronę rządową wspierali intensywnie Brytyjczycy, a następnie – zgodnie z logiką doktryny Trumana – Amerykanie[2], zaś „czerwonych" powstańców (ich siły zbrojne ostatecznie przyjęły nazwę Demokratyczna Armia Grecji, grec. Dimikratikos Stratós Elládas, DSE) blok komunistyczny. Trzeba jednak przyznać, że Związek Sowiecki pochłonięty konsolidacją swojej strefy wpływów w Europie Środkowej (i pozbawiony bezpośredniej granicy z Grecją), poświęcał toczącym się tam zmaganiom relatywnie niewiele uwagi. Główny ciężar wspomożenia partyzantki greckiej spadł na barki państw bałkańskich i „nowych" sojuszników sowieckiego imperium, w tym Polski[3].

Bierut, Tito i „sprawa grecka"

Według zachowanych dokumentów problem polskiego udziału w pomocy dla greckiego, komunistycznego ruchu partyzanckiego pojawił się po raz pierwszy latem 1947 r. w trakcie nieoficjalnych rozmów przeprowadzonych przez Bolesława Bieruta (spędzającego urlop w Jugosławii) i Josifa Broz Tito[4]. Pierwsze szczegółowe ustalenia poczynione zostały przez szefa Zarządu II Sztabu Generalnego (wywiad wojskowy) Wacława Komara, w czasie jego wizyty w Dubrowniku i spotkania z Tito i Aleksandarem Rankovicem (odpowiedzialnym z ramienia Komunistycznej Partii Jugosławii za pomoc dla partyzantki greckiej). Strona jugosłowiańska określiła wówczas swoje potrzeby obejmujące: sprzęt radiotechniczny, materiały wybuchowe i zapalarki elektryczne, miny i granaty ręczne (produkcji niemieckiej, włoskiej lub innych państw zachodnich), materiał na mundury, bieliznę, buty. Po powrocie do Warszawy Komar przedstawił wyniki rozmów kierownictwu polskiemu, które zdecydowało o przygotowaniu pierwszej partii pomocy – miała być wysłana transportem lotniczym.

Pierwszy samolot z polską pomocą dla partyzantki greckiej dotarł do Belgradu na początku września 1947 roku. Wówczas poczyniono również ustalenia dotyczące dalszych transportów. Towary o dużej masie miały być przewożone transportem kolejowym, a ich odbiorcą stała się fikcyjna firma jugosłowiańska. Rolę spedytora powierzono polskiemu „Hartwigowi", którego pracownicy (z wyjątkiem dyrektora) nie znali rzeczywistego charaktery ekspediowanych towarów. Dla ładunków niebezpiecznych (głównie materiały wybuchowe) wybrano transport lotniczy. Do połowy roku 1948 wysłano do Jugosławii kilkadziesiąt transportów lotniczych (wykorzystywano samoloty ze składu specjalnego pułku rządowego) i kolejowych (dokładne dane o zawartości poszczególnych transportów nie są znane). Udzielanie pomocy przez Polskę komunistycznej partyzantce greckiej skomplikowało się po potępiającej Jugosławię rezolucji Biura Informacyjnego Partii Komunistycznych i Robotniczych z 28 VI 1948 roku. Podjęte wówczas decyzje (potępienie Tito i KPJ za „oportunizm i prawicowo-nacjonalistyczne odchylenie") wykluczały możliwość dalszego korzystania z pośrednictwa Belgradu.

Konflikt w Grecji był okrutną wojną domową. Strona rządowa dokonywała masowych przesiedleń ludności wiejskiej, chcąc pozbawić partyzantkę wsparcia. Komuniści stosowali powszechny pobór rekruta (w tym również kobiet) do swoich szeregów.

Aleksandar Rankovic (trzeci z lewej, stoi za Tito) odpowiadał z ramienia JPK za koordynowanie pomocy dla partyzantki greckiej, do czasu rozłamu w bloku komunistycznym w 1948 roku. Znali się oni osobiście z Wacławem Komarem z Moskwy („stolicy Kominternu"), choć występowali wówczas pod innymi nazwiskami.

Przez Albanię

W kierownictwie polskim narodziła się wówczas koncepcja użycia transportu morskiego do przewozu pomocy materiałowej do albańskiego portu Durres. Początkowo zamierzano użyć statku (statków) polskiego, obsadzonego przez załogę złożoną z obywateli radzieckich, ale ostatecznie, po odrzuceniu przez Moskwę powyższej propozycji, zdecydowano o obsadzeniu jednostek załogami polskimi. W połowie października 1948 roku odbyło się spotkanie przedstawicieli partii komunistycznych, na którym podjęto decyzje dotyczące rozmiarów pomocy i sposobów jej dostarczenia. Wzięli w nim udział członkowie partii greckiej, czechosłowackiej, rumuńskiej, węgierskiej i polskiej. Ustalono wówczas, że łączny rozmiar dostaw przygotowanych przez cztery kraje komunistyczne, winien wystarczyć do wystawienia oddziałów partyzanckich o liczebności 50 tysięcy ludzi[5].

Strona polska odpowiedzialna była za magazynowanie własnego oraz nadsyłanego z Czechosłowacji i Węgier sprzętu na terenie kraju, jego załadunek na statki w porcie w Gdańsku, organizację transportu morskiego do Durres. Ponadto Polska zabezpieczała również swoim tonażem (statkami) przewóz materiałów pędnych i smarów z portów rumuńskich do Albanii. Pierwszy statek („Stalowa Wola") z całookrętowym ładunkiem dla partyzantki greckiej wyszedł z Gdańska w połowie grudnia 1948 roku. Na jego pokładzie, prócz załogi etatowej, znajdowała się grupa funkcjonariuszy Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego oraz Zarządu II Sztabu Generalnego (m.in. radiotelegrafiści utrzymujący utajnioną łączność z Warszawą). Statek, po wyładunku, opuścił wody albańskie pod koniec grudnia.

Łącznie w rejsach do Albanii, z ładunkami przeznaczonymi dla greckiego, zbrojnego ruchu komunistycznego, uczestniczyło pięć polskich statków. Cztery z nich: motorowiec „Stalowa Wola" (budowa 1924, Niemcy nośność 4 600 ton), parowiec „Kościuszko" (budowa 1915, Wielka Brytania, nośność 4 062 tony), dwa parowce: „Bałtyk" (budowa 1941, Wielka Brytania, nośność 10 400 ton) i „Wisła" (budowa 1928, Wielka Brytania, nośność 5 070 ton) przewoziły ładunki z Gdańska do Durres, piąty – parowy zbiornikowiec „Karpaty" (budowa 1927, Niemcy, nośność 12 tys. ton) – transportował materiały pędne z Konstancy do Durres[6]. Ponieważ Durres nie dysponowało infrastrukturą przeładunkową o możliwościach dostatecznych do przyjęcia tak dużej liczby ładunków, w porcie tym, już w czasie trwania opisywanej akcji, zainstalowano dźwigi dostarczone przez Czechosłowację.

Prócz transportu morskiego, na początku 1949 r. powrócono – z inicjatywy przedstawicieli komunistów greckich w Polsce – do koncepcji zorganizowania mostu powietrznego, który umożliwić miał szybkie reagowanie na potrzeby zgłaszane przez kierownictwo ruchu partyzanckiego. Z uwagi na zerwanie stosunków bloku komunistycznego z Jugosławią, miał on być jednak utrzymywany w relacji Warszawa-Tirana (zgodę na przeloty nad terytorium Jugosławii uzyskali komuniści greccy w toku dwustronnych rozmów z Belgradem). W pierwszym locie uczestniczył polski organizator akcji gen. Komar. Odwiedził on wówczas znajdujące się pod kontrolą partyzantów obszary północnej Grecji i przeprowadził rozmowy o dalszej pomocy z dowódcą ruchu partyzanckiego, sekretarzem Komunistycznej Partii Grecji Nikosem Zachariadisem[7]. Strona grecka przedstawiła wówczas szereg sugestii dotyczących m.in.: ewakuacji ciężko rannych partyzantów do Polski, skierowanie do Grecji kilku polskich ekip lekarskich, zwłaszcza polowych czołówek chirurgicznych, zorganizowania w Polsce szkoły oficerskiej wojsk partyzanckich (ok. 350 słuchaczy), kursów dla pilotów (przeszkolenie na samoloty niemieckie, ok. 50 słuchaczy), przeprowadzenia szkolenia dowódców grup dywersyjnych (około 50 osób)[8].

Pomoc medyczna i szkoleniowa

Po powrocie do Polski potrzeby greckie zostały przedstawione kierownictwu partii i państwa, które ustosunkowało się do nich pozytywnie. W pierwszej kolejności przystąpiono do organizowania szpitala dla partyzantów greckich na 1500-2000 łóżek. Został on umiesz-

Parowiec pasażerski „Kościuszko" (jeden z przedwojennych „klejnotów królowej Dagmary) odegrał ważną rolę we wsparciu greckiej partyzantki komunistycznej.

W transporcie materiałów wojennych do Albanii uczestniczył również motorowiec „Stalowa Wola".

Symbole zdelegalizowanej partii komunistycznej pojawiały się na ulicach greckich miast jeszcze długo po zakończeniu wojny domowej. Obecnie KKE kierowana przez Aleka Papariga jest liczącą się siłą na scenie politycznej.

czony w poniemieckim kompleksie koszarowym i dawnej bazie wodnosamolotów w Dziwnowie (wyspa Wolin). W tych samych koszarach postanowiono zorganizować szkołę oficerską. O lokalizacji obu obiektów zdecydował fakt, że była to w owym czasie okolica prawie bezludna, co umożliwiło utajnienie całego przedsięwzięcia. Równolegle do Albanii skierowano dwie czołówki chirurgiczne. Do transportu ok. 1000 rannych przygotowano statek „Kościuszko". Opuścił on Gdańsk w pierwszych dniach lipca 1949 r., i wrócił z rannymi 25 lipca[9]. W trakcie podchodzenia na nabrzeża, pilot wprowadził statek na płyciznę i konieczna była pomoc holowników. Wobec braku jednostek polskich tej klasy organizatorzy akcji zwrócili się o pomoc do lokalnego dowództwa marynarki sowieckiej, które skierowało do pomocy „Kościuszce" dwa holowniki. Rozładunek odbywał się w Świnoujściu z zachowaniem skrytości. Do przewozu pacjentów wykorzystano pojazdy okolicznych jednostek wojskowych[10]. Po wyokrętowaniu rannych statek kontynuował rejs do Gdańska. W następnych miesiącach do szpitala przybywały kolejne, lecz z reguły już mniej liczne grupy rannych. Prócz „Kościuszki" przewoziły ich dwa statki rumuńskie: „Transilvania" (budowa 1938, Kopenhaga, nośność 6672 tony) i „Carolina" (wg zachowanych relacji na obu z nich znajdował się nieliczny, polski personel medyczny), a co najmniej w jednym przypadku rannych i chorych przewoził inny polski statek, parowiec „Białystok" (budowa 1942, Stany Zjednoczone, nośność 10 300 ton; jednostkę, podobnie jak wcześniej „Kościuszkę", doraźnie zaadaptowano do wykonywania zadań jednostki sanitarno-ewakuacyjnej). W kilku przypadkach pasażerów wyokrętowano w Gdańsku, skąd do Dziwnowa przewieziono ich koleją. Z następnymi transportami rannych przybywały również dzieci, które umieszczano w specjalnym domu opieki oraz uchodźcy cywilni. Cywilów osiedlano w wybranych miejscowościach Polski, m.in. duże skupiska uchodźców greckich znajdowały się w Gdańsku i Zgorzelcu.

Z ozdrowieńców rekrutowali się pierwsi słuchacze szkoły oficerskiej, pilotów i dywersji. Z uwagi na niemożność przeprowadzenia selekcji kandydatów w Dziwnowie, skoszarowano ich w Wędrzynie. Zorganizowano cztery pododdziały, w tym kobiecy. Nadzór nad zgrupowaniem w Wędrzynie sprawował Wydział Zagraniczny KC PZPR wraz z przedstawicielem Komunistycznej Partii Grecji, który opiniował kandydatów do dalszego szkolenia wojskowego. Wiosną 1950 r. pierwsza grupa wyselekcjonowanych w Wędrzynie słuchaczy, została ponownie przetransportowana do Dziwnowa, gdzie zorganizowano z nich trzy kompanie szkolne o stanie ok. 350 ludzi. Zajęcia prowadzone były w języku polskim (do nauki języka przykładano dużą rolę, zatrudniono siedmiu cywilnych nauczycieli, w charakterze tłumaczy wykorzystywano też kilku greckich chłopców, którzy opanowali język polski w czasie pobytu w dziecięcym domu opieki) i rosyjskim, według specjalnie opracowanego programu. Słuchacze nosili polskie mundury, obowiązywał ich surowy zakaz kontaktów z ludnością cywilną. Obiekt (budynki szkoły i szpital) chroniony był przez wydzielony wojskowy pododdział wartowniczy oraz funkcjonariuszy Departamentu Ochrony Rządu.

Szkoła lotnicza zorganizowana została na Bielanach w Warszawie, w oparciu o jedną z eskadr Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Szkolenie przechodziło tam około 25 ludzi. Dysponowała ona dwoma radzieckimi samolotami Po-2 i dwoma poniemieckimi Fi-156 Storch (zdobyczne samoloty tego typu dostarczone zostały wcześniej przez Polskę partyzantom greckim). Zasadniczy wysiłek szkoleniowy położony był na wykonywanie nocnych ataków z lotu ślizgowego (sposób typowy dla sowieckich Po-2 w czasie II wojny światowej). Zajęcia praktyczne, w tym bombardowania i ostrzał celów naziemnych, prowadzone były na poligonie lotniczym w Dęblinie.

Szkoła dywersji mieściła się w przejętym przez wojsko dawnym majątku ziemskim w Komorowie. Zorganizowano tam dwie grupy słuchaczy (w odróżnieniu od szkoły oficerskiej nie byli to ozdrowieńcy, lecz osoby przybyłe bezpośrednio z Grecji, wyznaczone przez KC KP Grecji) po około 25 osób. Kadrę instruktorską tworzyli funkcjonariusze VII Departamentu Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. W oparciu o dotychczas zarchiwizowane dokumenty polskie nie można dokładnie odtworzyć ogólnej liczny osób narodowości greckiej, które przeszły różne formy szkolenia

REKLAMA

Wacław Komar (właść. Mendel Kossoj) był postacią niezwykle barwną, nawet jak na pełną turbulencji pierwszą połowę poprzedniego stulecia. Urodził się 4 V 1909 roku. Działał w lewicowej organizacji żydowskiej o charakterze para-skautowym Haszomer Hacair, a od 1925 w ruchu komunistycznym. Był zaangażowany w zabójstwa tajnych współpracowników polskiej policji politycznej. Od VI 1927 r. do VII 1933 r. przebywał w Związku Sowieckim biorąc m.in. udział w kursach dywersji. Między XII 1936 a II 1939 walczył w Hiszpanii (w 1946 r. za swe iberyjskie zasługi bojowe odznaczony został Krzyżem Złotym Orderu Virtuti Militari). Po ataku Niemiec na Belgię, Holandię i Francję w 1940 wstąpił do Polskich Sił Zbrojnych. W kwietniu 1940 r. dostał się do niewoli niemieckiej, gdzie przebywał do kwietnia 1945 roku. Po wyjściu z niewoli pozostał we Francji, gdzie w czerwcu 1945 r. objął stanowisko z-cy szefa tamtejszej Polskiej Misji Wojskowej (reprezentującej rząd wyłoniony z „lubelskiego" PKWN-u). Po powrocie do kraju 19 XII 1945 r. zastąpił na stanowisku szefa Oddziału II Sztabu Generalnego „ludowego" WP płk. Gieorgija Domeradzkiego. Jednocześnie 20 VI 1947 r. został naczelnikiem Wydziału II Samodzielnego (wywiadu) MBP oraz 17 VII 1947 r. dyr. Departamentu VII MBP (wywiad). W ten sposób połączył funkcje szefa wywiadu wojskowego i cywilnego. Oprócz „akcji greckiej" nadzorował m.in., wraz z Ostapem Dłuskim (właść. Adolf Langer) sprawującym funkcję kierownika wydziału zagranicznego KC PPR oraz Grzegorzem/Herszem Smolarem (członek Centralnego Komitetu Żydów Polskich) szkolenie ochotników żydowskich (obóz w Bolkowie), którzy zadeklarowali wolę przyłączenia się do Hagany w Palestynie. 5 VI 1950 r. został odwołany ze stanowiska dyr. Departamentu VII MBP, następnie ze stanowiska szefa Oddziału II Sztabu Generalnego WP. W lipcu 1951 roku został Głównym Kwatermistrzem Wojska Polskiego. 11 XI 1952 r. został aresztowany, co było rezultatem walk frakcyjnych w PZPR. W trakcie śledztwa był torturowany. Wyszedł z więzienia w grudniu 1954 roku. W roku 1956 został dowódcą Wojsk Wewnętrznych, przygotowując podczas „polskiego października" podległe oddziały do przeciwstawienia się spodziewanej interwencji sowieckiej. W sierpniu 1957 r. objął dowództwo Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego, a w czerwcu 1960 powołano go na stanowisko dyrektora generalnego w MSW. Z resortu odszedł w roku 1968, w związku z żydowskim pochodzeniem. Zmarł 26 stycznia 1972 roku.

Wacław Komar był niewątpliwie wybitną postacią „międzynarodowego ruchu robotniczego", a przy tym, w odróżnieniu od wielu innych „ideowych towarzyszy", utalentowanym organizatorem.

wojskowego w Polsce (szacunki wskazują, że mogło ich być ok. 700-1000), ani też dalszych losów tej stosunkowo licznej grupy przeszkolonej kadry partyzanckiej. Sądzić można, że wątpliwości te mogłoby w pewnym stopniu wyjaśnić zestawienie materiałów polskich z danymi uzyskanymi w archiwach greckich. Jest to potencjalnie bardzo obiecujący kierunek dalszych badań.

Wygaszenie współpracy

Po zakończeniu wojny domowej w Grecji i stłumieniu komunistycznej partyzantki, dalsze funkcjonowanie ośrodków szkoleniowych na terenie Polski stało się bezprzedmiotowe. W porozumieniu z przedstawicielami KP Grecji podjęto decyzję o ich rozwiązaniu, co przeprowadzono na przełomie roku 1950 i 1951. Całość dokumentacji dotyczącej ich funkcjonowania znalazła się wówczas w archiwum II Oddziału Sztabu Generalnego Wojska Polskiego, w archiwum Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego oraz archiwum Wydziału Zagranicznego KC PZPR. Problemem wykraczającym poza ramy niniejszego opracowania są dalsze losy uchodźców greckich. Praktycznie wszyscy oni pozostali w Polsce, tworząc zwarte grupy posiadające własne, aktywnie działające stowarzyszenia społeczno-kulturalne. Część uchodźców otrzymała obywatelstwo i asymilowała się, większość jednak zachowała odrębność narodową i w połowie lat 70. powróciła do ojczyzny.

Przypisy:

[1] W. S. Churchill, „Druga wojna światowa", t. VI „Triumf i tragedia", Gdańsk 1996, s. 294-295

[2] Amerykanie zaczęli odgrywać rolę głównego zachodniego alianta Grecji wiosną 1947 roku. „Najnowsza historia świata 1945-1995", tom. 1, Kraków 1997, s. 105-106

[3] Należy podkreślić, że podczas wojny w szeregach ELAS znalazło się około 1000 Polaków, głównie dezerterów z Wehrmachtu przymusowo wcielonych do służby w niemieckich siłach zbrojnych. Por. S. Okęcki, „Z dziejów polsko-greckiego braterstwa broni" [w:], „Wojskowy Przegląd Historyczny", nr 1/1971 1, s. 40-59; K. Vasilis, „Polacy w partyzantce ELAS, »Dimokratis«, the 19 th of May 1965", (tłumaczenie tekstu greckiego).

[4] „Sprawozdanie generała Komara z »akcji greckiej«" (z kom. A. Garlickiego), „Polityka" nr 44/1990

[5] Z uwagi na duże potrzeby w zakresie uzbrojenia i sprzętu w dyspozycji organizatorów akcji znalazła się całość zdobycznego (głównie niemieckiego) sprzętu wojskowego, znajdująca się w magazynach i składach MON, MSW i MBP.

[6] J. Miciński, „Księga statków polskich 1918-1945", tom 2, Gdańsk 1997, s. 317-318

[7] Nadmienić można, że w czasie owej wizyty okazało się, że Komar i Zachariadis znają się osobiście z Moskwy, gdzie poznali się w latach 30. Obaj nie wiedzieli jednak, kto kryje się za nazwiskami używanymi przez nich w chwili spotkania.

[8] „Sprawozdanie generała Komara...", *op. cit.*

[9] W owym czasie na terenie Albanii znajdowały się trzy duże szpitale greckie: w Korca, El-Basni, Suk (Skijaku). Droga ewakuacji rannych biegła z Gór Grammos, gdzie w szpitalach polowych udzielano pierwszej pomocy, przez trzy wymienione szpitale do Durres.

[10] W. Barcikowski, „Konwój" cz.1, [w:] „Morze i Ziemie", 20-26 III 1985 roku. Por. ponadto W. Barcikowski, „Szpital Grecki na Wyspie Wolin (wspomnienia z lat 1949-51)", Szczecin 1989

Literatura:

1. B. Szaynok, „Stosunki polsko-izraelskie 1948-1967", [w:] E. Rudnik (red.) „Państwo Izrael. Analiza politologiczno-prawna", Warszawa 206, s. 101-112;

2. B. Szaynok, „Żydowscy żołnierze z Bolkowa" [w:] „Odra", nr 9/1999, s. 22-26;

3. W. Dominik, „Wybrańcy i ochotnicy" [w:] „Komandos", nr 7-8/2004, s. 22-29;

4. A. Grabski, „Działalność komunistów wśród Żydów w Polsce (1944-1949)", Warszawa 2004.

Krzysztof Kubiak

Komandor porucznik rezerwy, dr. hab. prof. Dolnośląskiej Szkoły Wyższej we Wrocławiu. Pasjonują go wojny i konflikty zbrojne po II wojnie światowej, ale niekiedy – zwłaszcza w odniesieniu do zmagań morskich – ryzykuje również penetrowanie innych obszarów.

Tropem tajemnic kostrzyńskiego węzła kolejowego

TEKST: TOMASZ RZECZYCKI
ZDJĘCIA WSPÓŁCZESNE: AUTOR

Jest takie miejsce w Polsce, z którego, po pierwsze, bliżej jest do Rosji niż do Warszawy, po drugie, pociągiem można szybciej dojechać do Paryża niż do Krakowa, i wreszcie po trzecie – główna stacja kolejowa nazywana była Dworcem Świebodzkim. Gdzie ono jest? To położony u ujścia Warty Kostrzyn nad Odrą. Tam właśnie znajduje się niecodzienny obiekt – jeden z dwu czynnych w Polsce dwupoziomowy dworzec kolejowy.

W rezultacie burzliwych walk o kostrzyńską twierdzę, toczonych zimą 1945 roku, miasto zupełnie zmieniło oblicze. Po II wojnie światowej jego nowe centrum skupiło się właśnie przy stacji PKP. I to nie byle jakiej... Kostrzyński dworzec stanowi ewenement pod względem inżynierskim, ale nie jest jedynym tego rodzaju obiektem w Polsce. Tak samo zbudowano stację Kępno, gdzie krzyżuje się poprowadzona górą linia z Poznania do Tarnowskich Gór oraz dołem trasa Tarnowskie Góry-Krzepice-Wieruszów-Oleśnica. Podobny układ dwupoziomowego skrzyżowania linii kolejowych, miał miejsce w przeszłości na stacji kolejowej Bytom Bobrek. Górą przebiegała linia z Bytomia w stronę Gliwic i Pyskowic, natomiast prostopadle do niej, dołem, linia z Bytomia Karbia do Rudy Śląskiej Chebzia. Co ciekawe, po I wojnie światowej, gdy na górnym peronie w Bytomiu Bobrku zatrzymywały się niemieckie pociągi z Beuthen do Gleiwitz, pod spodem przejeżdżały tranzytem, bez zatrzymywania się, polskie pociągi z Tarnowskich Gór do Chebzia. Kilka kilometrów stamtąd znajdowało się jeszcze jedno podobne dwupoziomowe, bezkolizyjne skrzyżowanie szlaków kolejowych. Otóż pod peronami przystanku pasażerskiego Bytom Karb, na linii normalnotorowej Bytom-Tarnowskie Góry przebiega linia Górnośląskich Kolei Wąskotorowych, również z Bytomia do Tarnowskich Gór. Tyle że na wąskotorówce pod wiaduktem nie było nigdy przystanku.

Tory przez twierdzę

Zostawmy jednak tamte miejsca, a przenieśmy się do byłej stolicy Nowej Marchii, czyli do miasta noszącego w czasach niemieckich nazwę Cüstrin, następnie Küstrin, potem Kostrzyn, a od kilku lat Kostrzyn nad Odrą. Kolej zawitała tu 12 X 1857 r. wraz z uruchomieniem linii kolejowej z Krzyża przez Witnicę, Kostrzyn nad Odrą i Lubusz do Frankfurtu nad Odrą. Właśnie taki był pierwotny przebieg linii zwanej Koleją Wschodnią, czy też Ostbahnem. Ostatni odcinek tej trasy, położony po niemieckiej stronie, został w jakiś czas po dokonanym w 1990 r. zjednoczeniu Niemiec rozebrany. Aby łatwiej prześledzić dzieje kostrzyńskiego węzła kolejowego, musimy przypomnieć sobie, jak wyglądał ówczesny układ urbanistyczny miasta. Miasto miało strukturę paciorkową, można je umownie podzielić na cztery części. Podążając ze wschodu na zachód linią Ostbahnu, najpierw przejeżdżało się przez Krótkie Przedmieście, pełniące od 1945 r. funkcję centrum miasta, dalej pociąg sunął mostem nad rzeką Wartą. Tutaj, w widłach Warty i Odry znajdowało się w obrębie kostrzyńskiej twierdzy Stare Miasto z Rynkiem i ratuszem, zniszczone podczas szturmu czerwonoarmistów i potem niemal zupełnie rozebrane. Leżało ono na prawym brzegu Odry, oddzielone od Warty mokradłami. Z drugiej strony głównego nurtu Odry, na wyspie odrzańskiej, znajdowały się koszary, po raz ostatni wykorzystywane pod koniec XX wieku przez Armię Radziecką stacjonującą początkowo w NRD, a potem w RFN. Wyspę odrzańską od stałego lądu oddziela kanał Odry, za którym zbudowano Długie Przedmieście. Rozczłonkowane miasto posiadało 4 przystanki kolejowe, 2 po obecnej stronie polskiej, 2 po niemieckiej. Trzy

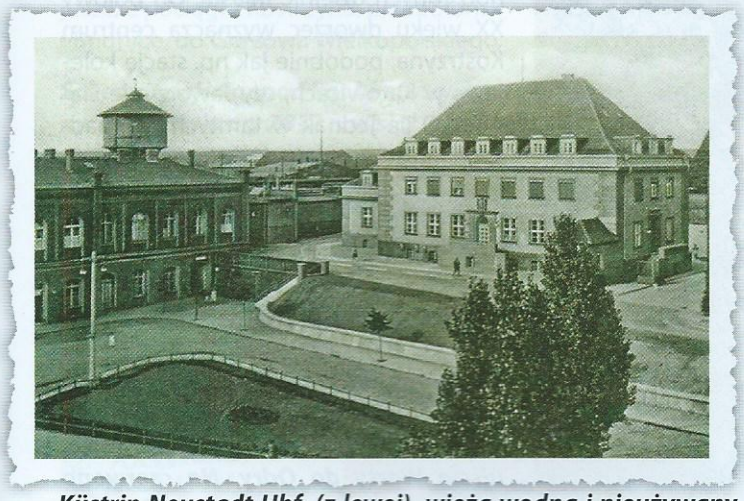

Küstrin Neustadt Hbf. (z lewej), wieża wodna i nieużywany od kilku lat budynek byłego technikum.

Wiadukt nad ul. Niepodległości na linii z Kostrzyna do Berlina. Poza parowozownią wszystkie pozostałe budynki widoczne na ilustracji przestały istnieć, wskutek walk toczonych o miasto zimą 1945 roku.

z nich były węzłami kolejowymi. Obecnię po jednym z przystanków nie ma już prawie śladu, drugi jest nieczynny, jedynie na dwóch, noszących nazwy Kostrzyn oraz Küstrin-Kietz, zatrzymują się pociągi. Piąty przystanek nigdy nie został uruchomiony, chociaż zbudowano już krawędź peronową. Brzmi zagadkowo? No to spróbujmy zagłębić się w historię…

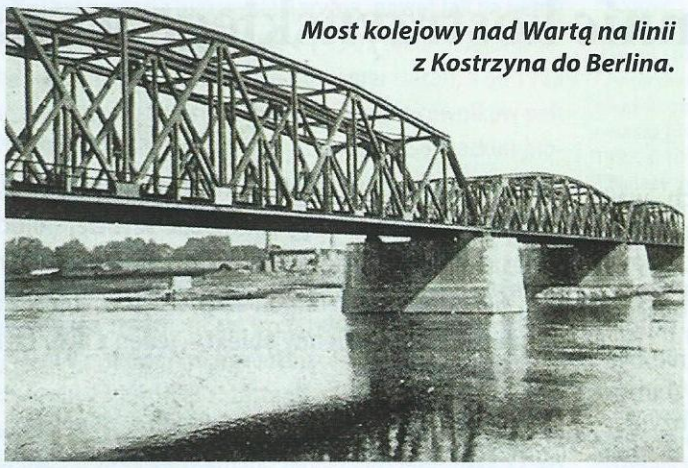

Most kolejowy nad Wartą na linii z Kostrzyna do Berlina.

Gdy w 1857 r. uruchomiono Ostbahn, była to jednotorowa linia. Ale przyczółki i filary mostów nad Wartą i Odrą przystosowano do położenia drugiego toru, co nastąpiło w 1864 roku. Pierwsza kostrzyńska stacja kolejowa otwarta została w oddaleniu od głównych skupisk ludności, na wyspie odrzańskiej, gdzie specjalnie podwyższono poziom gruntu. Dlaczego pociągi nie zatrzymywały się na Starym Mieście? Pewnie dlatego, że tor kolejowy przecinał tam czynną wtedy fortyfikację, a poza tym było za mało miejsca. Odcinek toru w obrębie twierdzy liczył jakieś 200 metrów, a ówczesne składy pociągów zestawione z parowozu i łańcuszka wagonów potrzebowały dłuższego peronu. Było to zresztą swoiste kuriozum, aby budowaną linię kolejową poprowadzić przecinając mury fortyfikacji czynnej twierdzy – na szczęście nie przez jej środek. Rozwiązania takiego nie zastosowano wszak w przypadku twierdzy kędzierzyńskiej albo nyskiej. Nawet później, gdy twierdza straciła swą pierwotną funkcję, nigdy nie zdecydowano się na budowę peronu na Starym Mieście. Mieszkańcy Starego Miasto aby dotrzeć na pociąg, musieli korzystać z tramwaju. Tramwajem dało się dojechać do dwóch innych kostrzyńskich dworców.

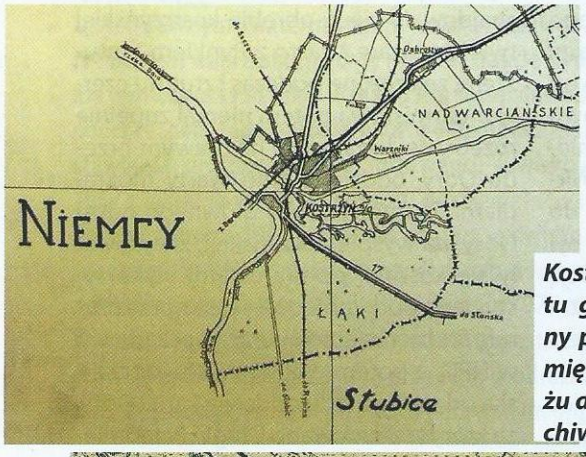

Kostrzyn na mapie komunikacyjnej powiatu gorzowskiego. Zwraca uwagę zaznaczony przystanek kolejowy przy granicy miasta między Kostrzynem a Dąbroszynem, w pobliżu dawnego poligonu wojskowego. Ze zb. Archiwum Państwowego w Katowicach.

Na Długim Przedmieściu powstał dworzec kolejowy noszący teraz nazwę Küstrin-Kietz. Po zbudowaniu odgałęzienia do Berlina, była to stacja węzłowa, skąd można było pojechać pociągami w trzech kierunkach: do Berlina, Frankfurtu nad Odrą i do Krzyża. Dawne Długie Przedmieście, to obecnie miejscowość Küstrin-Kietz należąca do gminy Küstriner Vorland, będąca spokojną wsią na wschodnich rubieżach Niemiec.

Umiejscowiliśmy już dwa kostrzyńskie dworce, teraz pora na trzeci, najbardziej okazały i fascynujący swym niezwykłym kształtem i konstrukcją. Mowa o dworcu na Krótkim Przedmieściu, zwanym później Nowym Miastem, czyli w powojennym śródmieściu Kostrzyna nad Odrą. Niegdyś była to tylko jedna z równorzędnych dzielnic miasta. Od połowy XX wieku dworzec wyznacza centrum Kostrzyna, podobnie jak np. stacje kolejowe w Katowicach, czy Jaworzynie Śląskiej. O ile jednak w tamtych przypadkach miasto wyrosło wokół stacji, tu było nieco inaczej. Stacja została zbudowana z boku, a dopiero po II wojnie światowej centrum przeniosło się w jej rejon. Dworzec budowano tu wiele lat. Inicjatywa wyszła ze strony prywatnej spółki noszą-

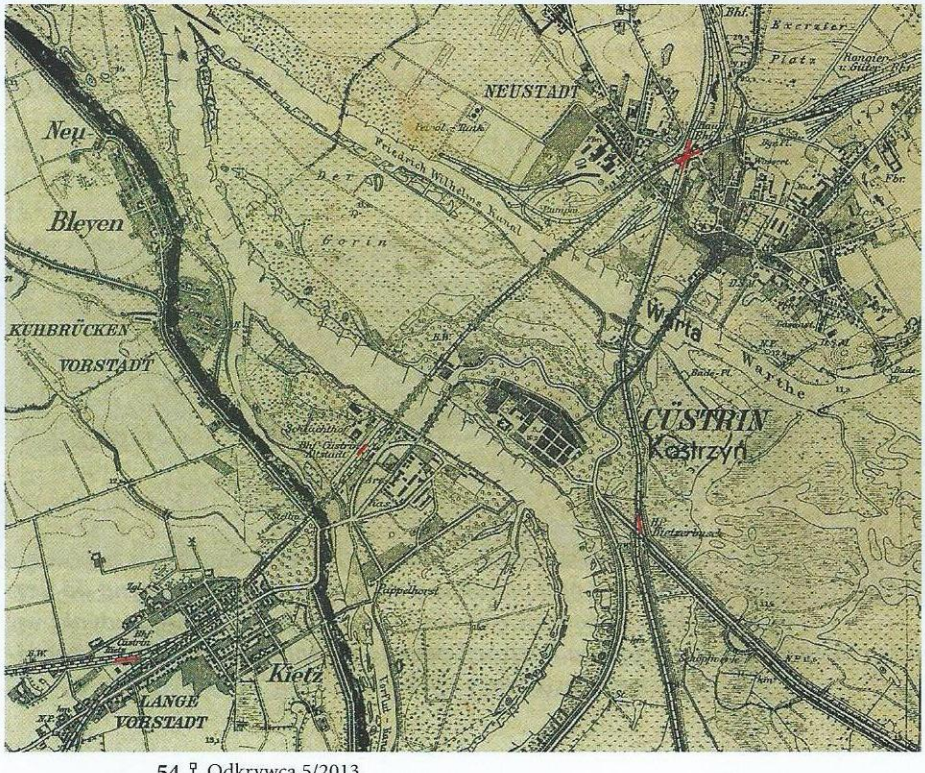

Fragment polskiej mapy z 1946 r., wykonanej na podkładzie mapy niemieckiej z 1905 r., przedstawiającej rejon ujścia Warty do Odry. Na czerwono zaznaczono cztery kostrzyńskie przystanki kolejowe.

cej nazwę Kolej Wrocławsko-Świebodzicka (niem. Breslau-Freiburger Eisenbahn), budującej linię kolejową z Wrocławia przez Nową Sól i Kostrzyn nad Odrą do Szczecina. Linia ta popularnie nazywana jest Nadodrzanką. Budowniczowie prywatnej linii postanowili w Kostrzynie poprowadzić ją pod trasą istniejącej już Kolei Wschodniej. Wymagało to wykonania przekopu we wzgórzu i wielu innych robót ziemnych, a także wzniesienia dwupoziomowego dworca kolejowego. Początkowo zarządcy Kolei Wschodniej, przebiegającej górą, mieli obiekcje co do zatrzymywania swych pociągów na tym dworcu. W końcu jednak dworzec został w 1876 r. oddany do użytku. Obecnie na górnym poziomie istnieją perony oznaczone numerami 1 i 2, z których odjeżdżają pociągi w stronę Krzyża Wielkopolskiego i do Berlina. Pod koniec XX wieku odjeżdżały jeszcze w dwóch innych kierunkach – do Frankfurtu nad Odrą (obecnie linia rozebrana) oraz w drugą stronę, do Stargardu Szczecińskiego przez Dębno i Myślibórz (dzisiaj linia towarowa, dojazd z Kostrzyna możliwy tylko do Barnówka).

Dworzec Świebodzki

Na dolnym poziomie eksploatowane są trzy perony o numerach: 3, 4 oraz 5. Jeden ze ślepych torów przy peronie trzecim określany jest jako peron 3a. W kierunku północnym odjeżdżają stąd pociągi do Szczecina, a w południowym w stronę Wrocławia. Choć tak naprawdę, to do Zielonej Góry, bo ostatni bezpośredni pociąg osobowy Przewozów Regionalnych z Kostrzyna do Wrocławia odjechał 30 IV 2012 r. o godzinie 4:45 rano. Z dolnych peronów odjeżdżały jeszcze pociągi z Kostrzyna, przez Słońsk i Rudnicę, do Gorzowa Wielkopolskiego, ale linia ta została na początku XXI wieku rozebrana. W miejscu, gdzie od Nadodrzanki odgałęziała się jednotorowa linia do Rudnicy istniał przystanek pasażerski Chyżyno. Przystanek położony w polu, a właściwie pomiędzy mokradłami i rozlewiskami Warty, był najbliższym miejscem, w którym wsiąść do pociągu mogli mieszkańcy Starego Miasta. Po transformacji ustrojowej z 1990 r. perony zostały zlikwidowane i nie ma prawie żadnego śladu po tym przystanku. Ostał się jedynie krótki, może kilkunastometrowy odcinek toru odchodzącego od Nadodrzanki. Szkoda, bo obecnie byłby to dogodny punkt wypadowy, zarówno do pobliskiej siedziby Parku Narodowego Ujście Warty, jak i do ruin kostrzyńskiej twierdzy.

Wróćmy na Krótkie Przedmieście, do dwupoziomowego dworca. W czasach niemieckich, przez krótki czas, nazywano go Freiburger Bahnhof, co można przetłumaczyć jako Dworzec Świebodzicki, czy też archaizując – poprzez analogię do nieczynnej stacji czołowej we Wrocławiu – jako Dworzec Świebodzki. Także położony na północ od niego dworzec towarowy przy Nadodrzance, jeszcze przed II wojną światową określany był jako Freiburger Bhf. Nazwa dla współczesnych myląca, bo może sugerować, iż z dworca w Kostrzynie istniały bezpośrednie połączenia kolejowe do Świebodzic. A i owszem było takie, bodajże raz w historii, po 2008 r., gdy jeden jedyny raz w letnim sezonie wakacyjnym kursował pociąg ze Świnoujścia przez Kostrzyn, Nową Sól, Wrocław i dalej przez Świebodzice do Szklarskiej Poręby Górnej.

Dla pełnego obrazu kostrzyńskiego węzła warto podać, gdzie miał się znajdować piąty przystanek kolejowy. Po 1990 r. planowano go utworzyć przy linii do Szczecina, w rejonie północnego krańca stacji towarowej, przy skrzyżowaniu linii kolejowej z ul. Narutowicza. Dosłownie tuż obok znajduje się kostrzyński Nowy Szpital. Uważne oko wypatrzy nawet zbudowaną tam, na południe od przejazdu kolejowego, betonową krawędź peronową przy torze przebiegającym najbliżej szpitala. W lokalnej kostrzyńskiej prasie z lat 90. znaleźć można nawet informację, że nowy przystanek zostanie uruchomiony już niebawem. Nie został…

W 2004 r. rozważano pomysł utworzenia w tamtym miejscu prowizorycznego przystanku kolejowego z peronami. Powodem był letni festiwal muzyczny, tzw. Przystanek Woodstock, organizowany przez Fundację WOŚP na rozległych polach dawnego poligonu żołnierskiego. Planowano, aby do tego miejsca dojeżdżały pociągi zwożące tysiące fanów Przystanku. Po przeliczeniu kosztów uznano, że byłoby to rozwiązanie zbyt drogie. Od tamtej pory letni festiwal muzyczny odbywa się co roku, a kostrzyński dworzec w ciągu kilku dni przeżywa prawdziwe oblężenie. Przewozy Regionalne w 2011 r. przewiozły na tę imprezę pociągami rozkładowymi i nadzwyczajnymi około 60 tys. pasażerów, a w 2012 r. około 70 tysięcy.

Dwupoziomowy dworzec nosi obecnie nazwę Kostrzyn, podczas gdy miasto – Kostrzyn nad Odrą. Podobna sytuacja rozbieżności nazewniczej występuje również w położonym kilkaset kilometrów na wschód miasteczku Kostrzyn, gdzie stacja nazywa się Kostrzyn Wielkopolski. Dworzec w Kostrzynie nad Odrą nie pasuje architekturą do Osiedla Mieszka I i Osiedla Słowiańskiego – zbiorowisk czteropiętrowych bloków z wiel-

Schemat dojścia spod kas biletowych na poszczególne perony, jaki do wiosny 2012 r. wisiał w holu dworca.

Zawiłe przejście pod peronami górnymi. Tędy prowadzi droga z budynku dworca m.in. do peronu piątego.

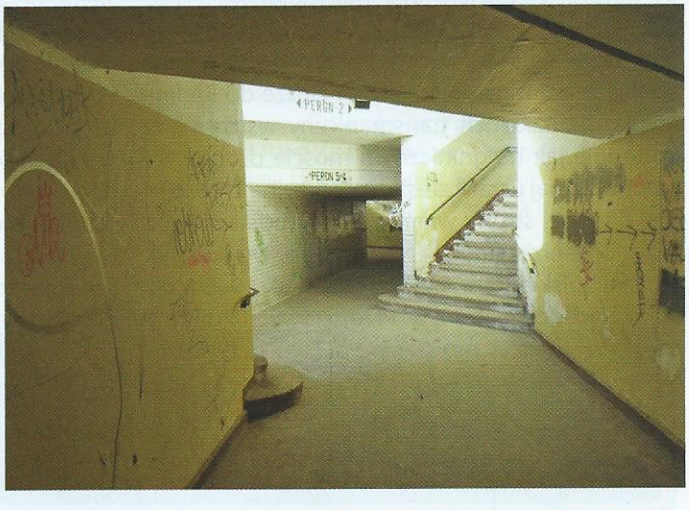

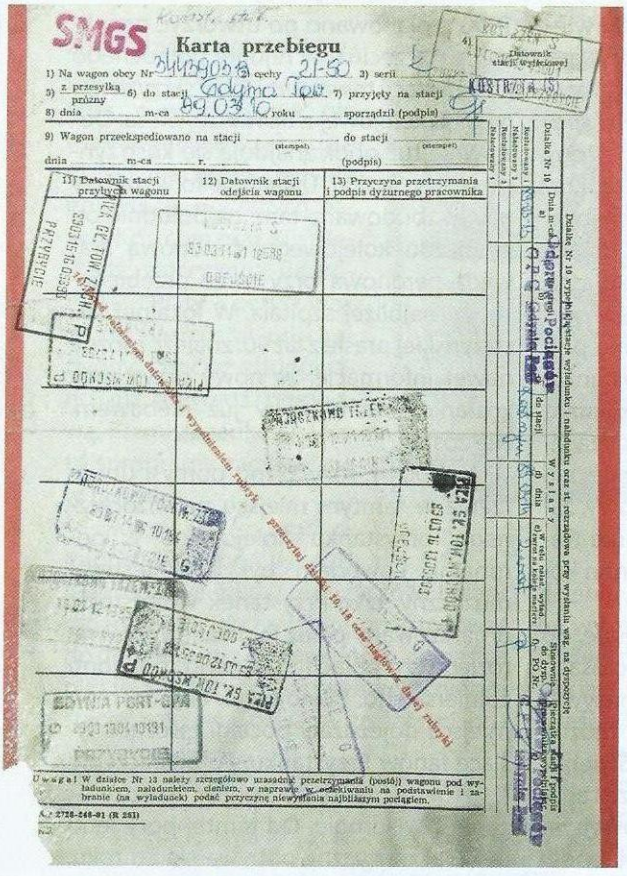
SMGS Karta przebiegu

Jedna z wielu kart przebiegu pociągów spoczywających w magazynie Muzeum Twierdzy Kostrzyn.

kiej płyty przylegających od południowo-zachodniej strony do stacji kolejowej. Rozległy budynek dworca jest też najokazalszą budowlą w centrum miasta, jaka przetrwała szturm Armii Czerwonej w 1945 r., jeśli nie liczyć odległych koszarowców stojących na wschodnich peryferiach śródmieścia przy ul. Wyszyńskiego. Może to zaskakiwać, skoro huta żelaza, wytwórnia mączki kartoflanej, fabryka mercedesa, browar czy fabryka celulozy zostały doszczętnie zniszczone. Dworzec przetrwał, gdyż właśnie w jego rejonie czerwonoarmiści stosunkowo szybko przełamali opór niemieckich obrońców twierdzy. Naturalnie budynek został uszkodzony i konieczne były prace naprawcze.

Tuż po II wojnie światowej to właśnie wokół dworca kolejowego ogniskowało się życie w ruinach miasta. Jak podawał „Kurier Wielkopolski" w lipcu 1948 r., w Kostrzynie (tak nazywano wtedy miasto) mieszkało 875 mieszkańców, z czego niemal 90% stanowili kolejarze. Przez pewien czas po wojnie kursowały jeszcze pociągi pasażerskie przez mosty na Warcie i Odrze do Berlina, szybko jednak ruch transgraniczny wstrzymano, podobnie jak na granicznym moście drogowym. Trudno dzisiaj ustalić zresztą precyzyjną chronologię. Z jednej strony wiemy, że na podstawie rozkazu organizacyjnego Naczelnego Dowództwa Wojska Polskiego nr 0153/org. z 21 IX 1946 r. porządkującego służbę tzw. Przejściowych Punktów Kontrolnych (czyli mówiąc po polsku, przejść granicznych), postanowiono, że w Kostrzynie PPK będzie pełnić służbę zarówno na stacji kolejowej, jak i na drodze. Tymczasem dwa miesiące wcześniej prasa podawała, że z chwilą otwarcia mostu drogowego przez Odrę w Słubicach, co nastąpiło 11 VII 1946 r., to właśnie tam skierowano cały ruch transgraniczny, zamykając kostrzyńskie przejście graniczne. W każdym razie ruch pociągów towarowych z Polski na stronę niemiecką był prowadzony. W 1955 r. kostrzyński most kolejowy na Odrze był jednym z 13 strategicznych mostów kolejowych w Polsce przecinających granicę państwową. Był ogrodzony płotem z drutu kolczastego i ochraniany całą dobę przez trzech żołnierzy WOP z Granicznej Placówki Kontrolnej w Kostrzynie. Niezależnie od tego, pracujący na dworcu żołnierze WOP przez pierwsze lata po wojnie kontrolowali dokumenty pasażerów przyjeżdżających do Kostrzyna wychwytując tych, którzy nie mieli przepustki uprawniającej do pobytu w strefie nadgranicznej. Dlatego co sprytniejsi wysiadali z pociągów jadących od strony Krzyża w Dąbroszynie, na ostatniej stacyjce przed Kostrzynem, skąd do miast było nieco ponad 5 kilometrów na piechotę.

Przejście jak labirynt

Fakt istnienia dwupoziomowej stacji kolejowej pociągał za sobą rozmaite komplikacje. Zbudowano przy niej dwie parowozownie, jedną przy dolnych torach Nadodrzanki, drugą przy górnym szlaku Kolei Wschodniej. Bezkolizyjne skrzyżowanie tych dwu linii kolejowych stwarzało komfortową sytuację tylko w razie przejazdów z północy na południe i ze wschodu na zachód. Bezpośredni przejazd z Kolei Wschodniej na Nadodrzankę możliwy był wyłącznie w przypadku pociągów zdążających od strony Berlina i Frankfurtu nad Odrą w stronę Szczecina, dzięki torowi łącznikowemu. Inne warianty wymagały uciążliwych manewrów, przestawiania lokomotyw i zmiany kierunku jazdy. Współcześnie istnieje jeszcze łącznica umożliwiająca bezpośredni przejazd pociągom jadącym od strony Szczecina w kierunku Krzyża, jak również inna łącznica ułatwiająca przejazd od strony Szczecina w kierunku Berlina, z ominięciem górnych peronów.

W praktyce, na początku XXI wieku, manewry pociągów pasażerskich wykonywane są sporadycznie. Zazwyczaj dotyczy to sytuacji, gdy zamknięty jest most kolejowy na Odrze, między Słubicami a Frankfurtem nad Odrą. Wtedy dalekobieżne pociągi międzynarodowe jadące od Poznania, w Rzepinie skręcają do Kostrzyna, tutaj przetaczane są z dolnych torów na górne, i dalej kontynuują podróż do Berlina. W rozkładzie jazdy 2008/2009 był też pociąg z Krakowa przez Krzyż i Kostrzyn do Berlina, który sporadycznie jeździł objazdem przez Rzepin – gdy z powodu robót niemożliwy był przejazd z Kostrzyna na stronę niemiecką. W takich sytuacjach skład ten dwukrotnie przejeżdżał przez stację Kostrzyn, zatrzymując się najpierw przy górnych peronach, a po przetoczeniu na dolnych. Prawdziwy labirynt czekał jednak podróżnego w Kostrzynie, który po zakupieniu biletu w kasie, musiał udać się na peron piąty. Z holu kasowego należało wyjść w prawo po schodach do pieszego ciągu, będącego czymś w rodzaju tunelu umieszczonego równolegle do peronów dolnych, a biegnącego pod peronami górnymi nr 1 i 2. Po przejściu pod górnymi peronami tunel skręcał w lewo, następnie trzeba było pokonać ciąg schodów wiodących do góry i wyjść na kładkę prowadzącą ponad peronami dolnymi (nr 3, 4 i 5) na ich zachodnią stronę. Po dojściu do skarpy, należało wykonać skręt w lewo o 180 stopni i zejść po schodach wprost na peron piąty. Brzmi to trochę jak instrukcja dotarcia do ukrytego skarbu. W holu dworca wywieszony był nawet, do wiosny 2012 r., schemat ze strzałkami pokazujący którędy należy iść, aby dojść do poszczególnych peronów.

Po 1990 r. wznowiono ruch pociągów pasażerskich do Niemiec, przystosowując do obsługi paszportowej podróżnych peron 1. Początkowo

z Kostrzyna jeździły pociągi do Frankfurtu i Berlina Lichtenberga, potem zostały tylko te drugie. Obecnie odjeżdżają co godzinę od 5 rano do 21. W pozostałych kierunkach, a więc do Krzyża, Szczecina i Zielonej Góry, jest tylko kilka pociągów w ciągu doby. Nic więc dziwnego, że z Kostrzyna do Paryża można wyruszyć praktycznie co godzinę, a podróż koleją do stolicy Francji trwa krócej (około 11 godzin), niż do Kielc, nie mówiąc już o dotarciu do Zakopanego czy do Rzeszowa. W grudniu 2007 r. kolejne państwa europejskie, w tym i Polska zostały włączone do strefy szengeńskiej, co oznaczało rezygnację z kontroli granicznych, m.in. na granicy Polski z Niemcami. Symbolicznie zniknęli więc funkcjonariusze Straży Granicznej kontrolujący na pierwszym peronie dowody osobiste i paszporty osób udających się z Kostrzyna do RFN. Przed głównym wejściem do kostrzyńskiego dworca znajduje się łuk odgałęzienia drogi, wykorzystywany przez taksówkarzy, a za nim skwer. Do ostatniej dekady XX wieku na skwerze tym istniał żelbetowy schron, który został zlikwidowany i nie ma po nim śladu. W jego miejscu utworzono funkcjonujące krótko kaskady wodne, które po 2007 r. zasypano glebą zamieniając je na tarasowe kwietniki. Z biegiem lat dworzec stawał się coraz mniej kolejowy. W holu, naprzeciw kas, funkcjonowała kwiaciarnia, kiosk z gazetami i napojami, obok stał bankomat. Restauracja dworcowa dawno została zamknięta, podobnie jak poczekalnia. Funkcję poczekalni przejął więc skromny hol z dwoma okienkami kasowymi. Co znajdowało się w przepastnych pomieszczeniach na pierwszym i drugim piętrze? Tego pasażerowie mogli się tylko domyślać. Na parterze za to w jednym z maluteńkich pomieszczeń wielkości punktu ksero, z wyjściem od strony ulicy, znajdowała się kasa biletowa PKS Myślibórz, czynna tylko kilka dni na początku każdego miesiąca. Gdzieś tak do 2007 r. na dachu kostrzyńskiego dworca działał duży zegar elektroniczny, widoczny od strony wschodniej. Gdy się zepsuł, przez dłuższy czas świeciła tylko kropka rozdzielająca godziny od minut. Potem nawet kropka zgasła. W 2010 r. zamknięte zostało okienko informacji kolejowej. Jeszcze w 2012 r. kasy biletowe czynne były przez całą dobę, co było komfortem nieznanym na dworcach w Gliwicach, czy Zielonej Górze, a informacje o odjazdach pociągów wygłaszane były przez megafony w dzień i w nocy. Ponieważ od 21 I 2013 r. kasa biletowa czynna jest już tylko od 6:30 do 18:30, to zapowiedzi pociągów z megafonów wygłaszane są wyłącznie od 6:30 do 18:20.

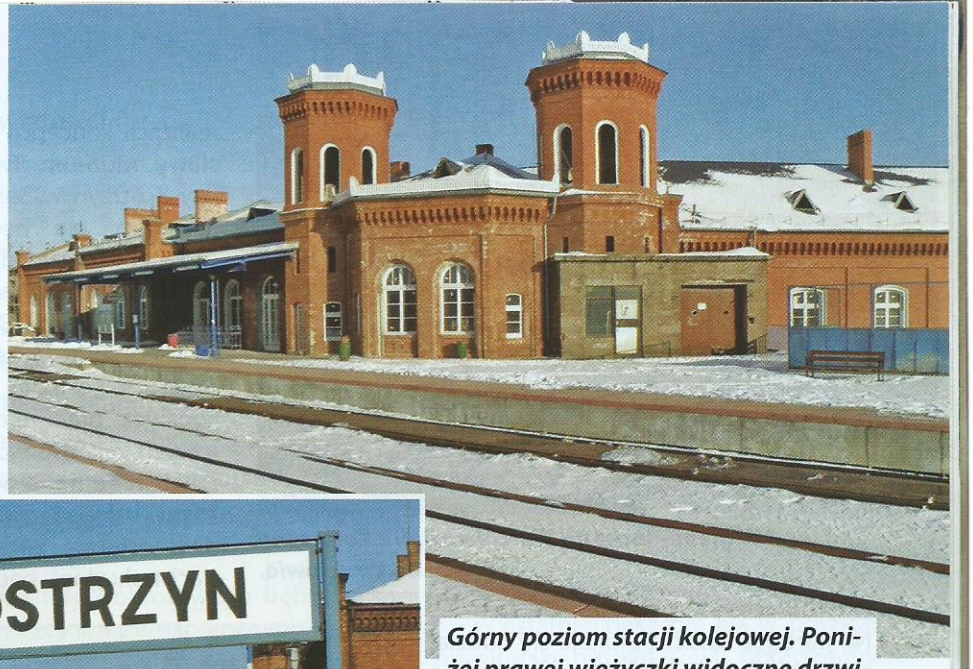

Górny poziom stacji kolejowej. Poniżej prawej wieżyczki widoczne drzwi do dawnego szybu windy towarowej na peronie pierwszym.

Peron trzeci, dolny. W głębi pociąg relacji Kostrzyn-Berlin Lichtenberg na peronie górnym.

Po II wojnie światowej właścicielem dworca stały się Polskie Koleje Państwowe. Po dokonanym w 2000 r. podziale PKP na spółki, gospodarzem obiektu jest PKP S.A. Oddział Gospodarowania Nieruchomościami w Poznaniu. Ta ostatnia firma przystąpiła do remontu kostrzyńskiego dworca, który rozpoczął się 27 II 2012 r. Tego dnia zamknięto wejście do holu, wnętrze budynku stało się niedostępne dla podróżnych, a kasy biletowe przeniesiono stamtąd do zespołu dwu kontenerów ustawionych przy budynku od strony postoju taksówek. Przetarg na remont dworca wygrało Wrocławskie Przedsiębiorstwo Budownictwa Przemysłowego Nr 2 WROBIS S.A., a zakończenie robót zaplanowano na 28 VI 2013 r. Po remoncie w południowym skrzydle dworca ma się znaleźć Miejska Bibliotek Publiczna, która obecnie mieści się kilkaset metrów od dworca w budynku dawnego Muzeum

REKLAMA

KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA „HiSCO" S.C.

Książki, czasopisma i filmy o tematyce:

- poszukiwania zaginionych skarbów
- fortyfikacje, zamki, twierdze i ich podziemia
- nowa broń III Rzeszy, tajne badania naukowe
- podziemne fabryki, kwatery Hitlera
- eksploracja, survival, militaria, archeologia itp.

Mapy topograficzne – Dolny Śląsk!

- mapy archiwalne i współczesne
- skale map: 1: 10 000 / 25 000 / 50 000 / 100 000

Wykaz wydawnictw: **http://hisco.w.interia.pl** albo po otrzymaniu zaadresowanej koperty zwrotnej
„HiSCO" S.C., ul. Kościuszki 39/7i, 50-011 WROCŁAW
tel. 71 / 344-65-93
e-mail: hisco@interia.pl
Nawiążemy współpracę z wydawcami oraz odbiorcami hurtowymi.

W głębi – most na Warcie na linii z Kostrzyna do Wrocławia.

Przyrodniczego przy ul. Dworcowej. Na parterze dworca ulokuje się oddział dla dzieci i dla dorosłych, natomiast na pierwszym piętrze znajdą się biura i sala wykładowa.

Karabin ukryty w podłodze

Na początku remontu przystąpiono do prac rozbiórkowych wewnątrz obiektu. Ekipa robotników dokonała przy tej okazji niespodziewanych odkryć. W jednym z pomieszczeń odnaleziony został w podłodze, wśród ścinków gazet użytych do ocieplenia, zardzewiały destrukt niemieckiej broni palnej. Trafił do Muzeum Twierdzy Kostrzyn, które posiada w swym magazynie jeszcze kilka innych tego typu okazów. Destrukty te mają być wyeksponowane na wystawie, jaką kostrzyńskie Muzeum planuje uruchomić w lipcu 2013 r. w kazamatach Bastionu Filip na Starym Mieście. Destrukt broni to nie jedyne znalezisko pozyskane do magazynu Muzeum z remontowanego dworca. Przekazano tam też płytę parapetową zrobioną z łupku dachówkowego, kamienne stopnie schodów z wykonanymi w technice mozaiki napisami *„1.11.1950"* oraz *„PKP"*, a także dwie szyny kolejowe, służące jako wzmocnienie stropu w dworcu w jednym z pomieszczeń nad pierwszym piętrem. Na szynach widoczny jest napis *„1907"*, oznaczający rok produkcji. Oprócz tego Muzeum Twierdzy Kostrzyn otrzymało trzy worki kolejowych listów przewozowych ze schyłku XX wieku. Przypuszczalnie ich wartość opałowa niewiele się różni od kwoty, jakie można by za nie otrzymać w punkcie skupu makulatury. Ze względu na ograniczenia finansowe, w przygotowywanej obecnie do realizacji koncepcji wystawy Muzeum Twierdzy Kostrzyn w Bastionie Filip, nie będzie osobnego działu dotyczącego kostrzyńskiego kolejnictwa. Dzięki staraniom Muzeum Twierdzy Kostrzyn wykonawca prac remontowych zakonserwował zachowane na fasadzie kostrzyńskiego dworca dwa ostatnie zaczepy sieci trakcyjnej, będące pozostałością po liniach tramwajowych istniejących w mieście do stycznia 1945 roku. Jeden z zaczepów posiada nawet porcelanowy izolator. Zaczepy zostały oczyszczone, zabezpieczone antykorozyjnie i po pomalowaniu na czarno, pozostawione na dotychczasowym miejscu – czyli na murze dworca od strony ul. Dworcowej. Natomiast o absurd ociera się sposób, w jaki projektanci postanowili postąpić z zabytkową windą towarową, umożliwiającą niegdyś transport z dolnego peronu 3 na górny peron 1. Winda przeznaczona została do likwidacji. Ponieważ nie udało się nią zainteresować żadnego z muzeów kolejnictwa czy transportu, wiosną 2012 r. trafiła do złomnicy. Szyb windowy przeznaczono do likwidacji, w jego miejscu mają powstać m.in. pomieszczenia dla pracowników Przewozów Regionalnych. Nowa winda pasażerska, zgodnie z projektem, ma funkcjonować dosłownie kilka metrów od starego szybu windowego, co wiąże się z koniecznością przebicia stropów pod jedną z dwu wieżyczek wieńczących budynek dworca od strony peronu pierwszego. Trzeba też wykonać dwa nowe wejścia do windy. Dwuskrzydłowe drzwi do szybu po windzie towarowej na górnym peronie mają zostać zlikwidowane. Jedyną pamiątką po nieistniejącej już windzie, mają być takie same zabytkowe drzwi z bulajami znajdujące się na dolnym peronie, jeśli rzecz jasna inwestor zgodzi się je zachować, gdyż projekt przebudowy dworca dopuszcza taką możliwość. Jaki jest sens likwidowania istniejącego szybu windowego po to, by kilka metrów obok tworzyć drugi? To na chłopski rozum trudno zrozumieć. Tłumaczyć to można tylko względami przyszłej wygody.

W tym miejscu znajdował się przystanek Chyżyno, położony najbliżej Starego Miasta.

Tomasz Rzeczycki

Niegdyś poeta i satyryk. Obecnie publicysta i pisarz. Wnikliwy badacz dziejów zagospodarowania polskich Sudetów oraz historii podziemnych tras turystycznych istniejących na terenie naszego kraju. Autor książki „Góry Polskie" (2004) oraz „Podziemne trasy turystyczne Polski" cz. I i II. (2012). Współpracownik „Odkrywcy" od 2008 roku.

Taki destrukt broni spoczywał przez dziesięciolecia ukryty w podłodze jednego z dworcowych pomieszczeń.

Pistolety i rewolwery w armiach I wojny światowej (cz.1)

Kieszonkowa artyleria Kaisera

TEKST: PIOTR GALIK

Krótka broń palna towarzyszyła konfliktom zbrojnym już od XVI wieku. Podręczne, miniaturowe wersje piszczeli, samopału czy rusznicy, jak wówczas nazywano wczesne rodzaje prochowego oręża strzeleckiego, przydatne szczególnie w wojskach konnych, zyskały nazwę pistol (pistolet). Termin ten wywodzi się – zdaniem części badaczy – od czeskiego słowa píšťala (piszczałka), sugerującego niewielki kaliber i długość lufy. Inni brontoznawcy sugerują, że chodzi raczej o wyroby z włoskiego miasta Pistoia, znaczącego ośrodka wczesnego rusznikarstwa europejskiego. Niezależnie od etymologii, stosunkowo lekka, krótka i dzięki temu poręczna wersja broni ognistej szybko zyskała uznanie i rozpowszechniła się w Europie i poza nią.

Zanim nadeszła nowa era

Przez całe wieki pistolety – mimo stopniowo doskonalonej konstrukcji zamka (lontowego, kołowego, skałkowego czy kapiszonowego) – pozostawały bronią jednostrzałową, wymagającą dość kłopotliwego i czasochłonnego przygotowania do kolejnego odpalenia. Dlatego też od czasu do czasu pojawiały się konstrukcje hybrydowe, łączące w jednym orężu pistolet i broń białą (sztylet, toporek, szpadę…), co miało zapewnić większą skuteczność bojową takiego wynalazku. Zresztą nawet całkiem klasyczny dawny pistolet pozwalał, dzięki swojej budowie i ukształtowaniu, na posłużenie się nim po oddaniu wystrzału jako rodzajem maczugi. Próby opracowania pistoletów wielolufowych (tzw. pieprzniczek – pepperbox), podejmowane zwłaszcza w XVIII i XIX w., nie przyniosły skutecznego rozwiązania problemu małej szybkostrzelności broni, gdyż znaczna masa i komplikacja konstrukcji oraz ryzyko niekontrolowanego samozapłonu sąsiadujących ładunków utrudniały jej bojową eksploatację. Kompromis pomiędzy wymogami bezpieczeństwa strzelca, a siłą rażenia pocisku był trudny do uzyskania, tak więc twórcy broni wielolufowej mogli postawić albo na większą ilość luf kosztem zmniejszenia ich kalibru, albo przy zachowaniu większej siły rażenia – zredukować liczbę luf. Żadne z tych rozwiązań nie okazało się dostatecznie udane, by stanowić nowy standard konstrukcyjny broni strzeleckiej.

Wynalazek rewolweru, a właściwie udoskonalenie wspomnianej wcześniej koncepcji, polegające na użyciu jednej lufy i obrotowego bębna z kilkoma komorami nabojowymi, przyczynił się do znacznej popularyzacji krótkiej broni palnej w połowie wieku XIX. O ile poprzednio kawalerzysta dysponował podczas walki na mały dystans jednym lub dwoma pistoletami, czyli mógł oddać najwyżej dwa strzały bez potrzeby przeładowania broni, to dzięki rewolwerowi jego siła ognia uległa kilkakrotnemu zwiększeniu. Podczas amerykańskiej wojny domowej (1861-1865) para rewolwerów należała do standardowego uzbrojenia jazdy obu walczących stron. Upowszechnienie się amunicji zespolonej, z integralną spłonką, znakomicie ułatwiającej i przyspieszającej ładowanie broni, przyczyniło się w drugiej połowie XIX w. do wyparcia w wielu armiach klasycznych pistoletów przez broń bębenkową. Jej dominację przerwała jednak prawdziwa rewolucja w dziejach broni palnej, jaką był wynalazek pistoletu automatycznego (samopowtarzalnego).

Niemiecki regulaminowy rewolwer w wersji wcześniejszej M1879, z dłuższą lufą oraz wariant zmodyfikowany w roku 1883.

Rewolwer czy pistolet?

W ostatniej dekadzie XIX w. powstał nowatorski pistolet C-93, opracowany przez Hugo Borchardta. Ta broń o futurystycznym wyglądzie i skomplikowanym systemie samoczynnego przeładowania po wystrzale (wzorowanym na mechanizmach karabinów maszynowych projektu Hirama Maxima), zasilana była z pudełkowego, wymiennego magazynka, wsuwanego do komory ulokowanej w rękojeści pistoletu. C-93 wymagał specyficznej, firmowej amunicji 7,65×25 opracowanej z myślą o wymogach mechanizmu zamkowego (ładunek miotający nie mógł być zbyt duży, co negatywnie wpływało na balistykę i siłę rażenia pocisku). Z punktu widzenia późniejszej ewolucji broni

Niemiecki artylerzysta z Reichsrevolverem M1879, październik 1917 r.

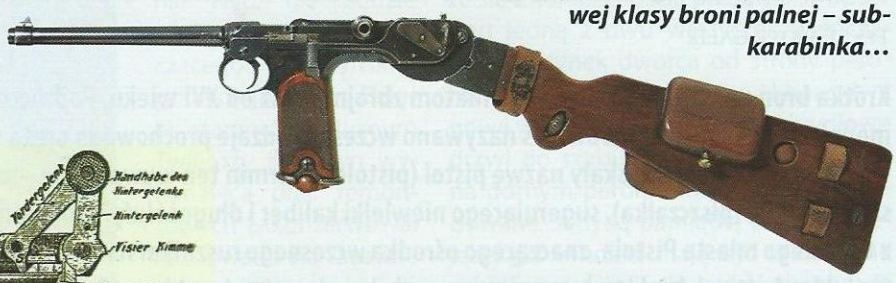

Pistolet C-93 Borchardta. Widoczna jest złożona konstrukcja zamka tej nowatorskiej broni. Obok C-93 w wersji „taktycznej" z dołączoną kolbą jako swoista antycypacja nowej klasy broni palnej – subkarabinka...

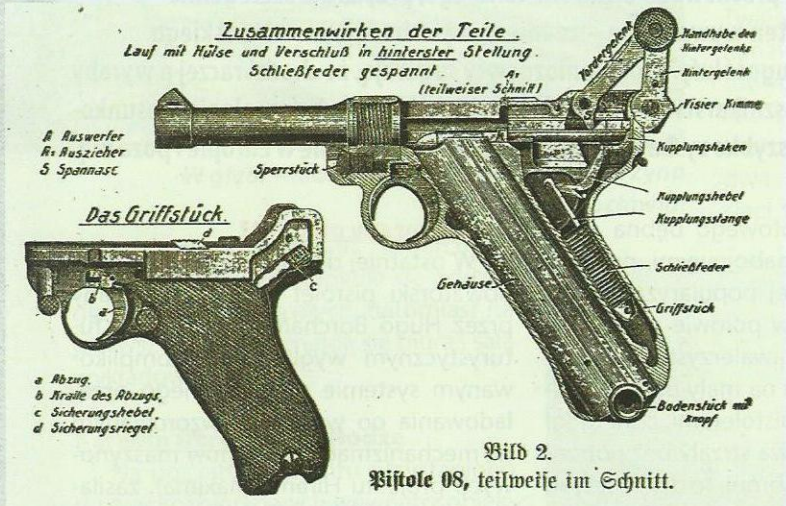

Bild 2.
Pistole 08, teilweise im Schnitt.

Schemat konstrukcyjny ikonicznego pistoletu armii niemieckiej – P08, czyli Parabellum. Obok wersja z długą lufą, dostawną kolbą oraz bębnowym magazynkiem czterokrotnie zwiększającym zasób amunicji w porównaniu ze standardowym „pudełkiem" na osiem ładunków. Taktyczne akcesoria „długiego Lugera" pasowały także do wersji podstawowej pistoletu.

krótkiej, pistolet Borchardta miał właściwie same wady – był zbyt ciężki (ok. 1,3 kg), zbyt długi (35,2 cm), wymagał bardzo starannej i czasochłonnej produkcji, co oznaczało wysokie koszty wyrobu. Jednocześnie był pierwszym udanym modelem nowoczesnego pistoletu, produkowanego seryjnie (ok. 3 tys. sztuk), zapoczątkowując trwającą aż do naszych czasów epokę w dziejach broni palnej. W ślady Borchardta poszli inni konstruktorzy, którzy opracowali wiele wariantów konstrukcyjnych pistoletów samopowtarzalnych. Jedynie nieliczne z wielu pionierskich typów przyjęto do uzbrojenia armii, które w roku 1914 wyruszyły na fronty Wielkiej Wojny. W porównaniu z rewolwerami, pistolety samopowtarzalne charakteryzowały się zwykle mniejszą masą, większą łatwością załadowania oraz prostszą, a przez to mniej wrażliwą na awarie, konstrukcją. Potrzebowały jednak staranniejszej konserwacji, gdyż mechaniczne zanieczyszczenia łatwo powodowały zacięcia, a przede wszystkim ustępowały rewolwerom w szybkości przygotowania do strzału. Wymagały bowiem zazwyczaj przeładowania i odbezpieczenia, jako że mechaniczne zabezpieczenie przed przypadkowym wystrzałem oraz pusta komora nabojowa chroniły użytkownika przed groźbą niekontrolowanego odpalenia pocisku. Rewolwer, zwłaszcza o konstrukcji pozwalającej na napinanie kurka ruchem języka spustowego (tzw. mechanizm podwójnej akcji), pozostawał gotowy do natychmiastowego strzału, a jednocześnie w pełni zabezpieczony przed przypadkowym odpałem. Poza tym wprowadzenie nowego rodzaju broni zawsze wiąże się z kosztami, a często także z problemami logistycznymi. Tak więc w niektórych państwach siły zbrojne pozostawiły w uzbrojeniu wojsk bębenkowce, opierając się w mniejszym czy większym stopniu modzie na „cudowne automaty".

Nie tylko „Parabellum"

Jednym z kontynuatorów myśli konstruktorskiej Borchardta, był Austriak pracujący w Niemczech, Georg Johann Luger, który w roku 1898 opracował uproszczony i zmniejszony model pistoletu samopowtarzalnego, dostosowanego do zmodyfikowanej amunicji kalibru 7,65 mm. Pistolet trafił do produkcji w zakładach DWM w Karlsruhe, ale pierwszym nabywcą instytucjonalnym okazała się nie armia niemiecka, lecz szwajcarska. Broń znana była pod chwytliwą nazwą Parabellum, nawiązującą do antycznej maksymy *si vis pacem para bellum* („chcesz pokoju, szykuj wojnę"). W roku 1906 Georg Luger zaprojektował ulepszony model swojego pistoletu, wraz z nowym nabojem kalibru 9 mm. Naboje Lugera, znane jako 9×19 Para, wciąż pozostają standardowym typem amunicji w wielu krajach świata, także w Polsce. Poprawiona wersja Parabellum została przyjęta do uzbrojenia armii niemieckiej jako Pistole P08, zastępując przestarzały Reichsrevolver M1879. Potrzeby mobilizacyjne sprawiły jednak, że archaiczny już wówczas, pokaźny bębenkowiec (długość broni wynosiła 345 mm, masa 1,3 kg), strzelający czarnoprochowymi nabojami kalibru 10,6 mm×25R (6 naboi w bębnie) i wymagający ręcznego napinania kurka pozostał w uzbrojeniu w czasie Wielkiej Wojny. Tymczasem pistolet Lugera, pomimo odziedziczonego po C-93 „grzechu pierworodnego" – wrażliwej na zanieczyszczenia i wady amunicji konstrukcji zamka – stał się kultowym orężem, a pozostawał regulaminowym uzbrojeniem niemieckich żołnierzy aż do końca drugiej wojny światowej (produkcję zakończono w 1942 r. po wykonaniu ok. 2 mln sztuk tej broni!), a w nie-

Na przełomie epok. Podoficer z Feld-Artillerie-Regiment König Karl 1 (Württembergisches Nr 13) upamiętnia swój udział w walkach w Belgii w 1914 roku. Obok futerału z nowoczesnym Lugerem widoczna jest szabla, ukłon w stronę starannie pielęgnowanej tradycji...

Broń w gotowości! Oficer, doświadczony frontowiec, dźwiga swojego Mausera w konfiguracji taktycznej.

Wielki (także dosłownie) rywal P08, pistolet Mauser C96 z futerało-kolbą ułatwiającą strzelanie na dalszy dystans (celownik broni wyskalowany był – raczej optymistycznie – do 1000 metrów...). Ten akurat egzemplarz, oznaczony wielką czerwoną dziewiątką na rękojeści, dostosowany jest do amunicji 9 mm Para. Poniżej Mausera widoczna jest łódka z nabojami, gotowa do załadowania integralnego magazynka.

których krajach nawet dłużej. Oprócz standardowej, kontraktowej odmiany o lufie długości 102 mm, znacznym uznaniem cieszyła się wersja znana jako Lange Pistole lub Artillerie-08 z lufą wydłużoną do 200 mm. Ta właśnie odmiana, przeznaczona do użytku w oddziałach artyleryjskich, z powodzeniem stosowana była w pierwszowojennych oddziałach szturmowych, zwłaszcza w połączeniu z bębnowym magazynkiem na 32 naboje i drewnianą, dołączaną kolbą. Podobne zastosowanie znalazł inny z wczesnych pistoletów automatycznych, Mauser C96. Broń ta, opracowana przez braci Feederle, konstruktorów z fabryki Paula Mausera, wykorzystywała odmienną niż w pistoletach Borchardta i Lugera koncepcję układu i mechaniki zamka. Inaczej rozwiązano także zasilanie amunicją, wzorując się na metodzie ładowania karabinów. Naboje spięte specjalną metalową szyną (łódką) należało wsuwać do komory nabojowej po otwarciu zamka. C96 mieścił w wariancie podstawowym 10 nabojów (istniały też wersje z 6 i 20 nabojami) kalibru 7,63×25, będących udaną modyfikacją naboju Borchardta. Integralny, stały magazynek minimalizował możliwość zanieczyszczenia mechanizmów broni, co w połączeniu z niezawodną, prostszą konstrukcją zamka zapewniało Mauserowi znaczną bezawaryjność, cechę bezcenną w warunkach wojennych. Długa lufa (140 mm) i stosunkowo silny nabój oraz zwiększająca celność dołączana kolba, pełniąca także rolę futerału sprawiły, że broń ta na międzynarodowym rynku skutecznie konkurowała z Lugerem P08, zdobywając wiele zamówień zagranicznych. Mauser „Broomhandle" („trzonek miotły", aluzja do kształtu chwytu) stał się ulubioną bronią osobistą Winstona Churchilla w czasach, gdy przyszły premier Zjednoczonego Królestwa zaczynał swoją militarną karierę, służąc w kawalerii podczas kampanii w Sudanie. Pistolet ten był też ulubionym pistoletem bolszewickich komisarzy, z racji imponujących rozmiarów zyskując status widocznej oznaki władzy w „bezklasowym" społeczeństwie sowieckim. Ogółem wyprodukowano około miliona sztuk Mauserów, nie licząc „pirackich kopii", wytwarzanych bez wykupienia licencji w Chinach i Hiszpanii, także w wersjach dostosowanych do innych nabojów. W Niemczech C96 pozostawał jednak w cieniu rywala, a swoistym znakiem dominacji Lugera była wyprodukowana w latach 1916-1917 seria ok. 150 tys. pistoletów Mausera dostosowanych do amunicji P08.

Jak się nie ma co się lubi...

Oprócz „pierwszoligowych" konstrukcji w niemieckich siłach zbrojnych podczas Wielkiej Wojny używano także wielu innych typów pistoletów, oferowanych przez mniejsze wytwórnie, a opracowanych głównie z myślą o rynku cywilnym oraz funkcjonariuszach policji. Wśród tych mniej popularnych (a trzeba przyznać, że zazwyczaj i mniej udanych) konstrukcji wymienić można m.in. FL Selbstlader Langenhan, prawdopodobnie jeden z najgorszych pistoletów wszechczasów. Oparty na koncepcji konstrukcyjnej Browninga i przystosowany do amunicji .32 ACP

Fatalny Selbstlader FN Langenhan, na fotografii ukazującej podzespoły broni widoczna feralna śrubka mocująca zamek, ukryte zagrożenie dla użytkownika tego pistoletu.

Małe jest piękne? Pistolety Dreyse M1907 i Mauser M1914 nie zachwycały właściwościami balistycznymi, ale mniej obciążały pas podczas urlopu czy rekonwalescencji na tyłach...

(7,65 mm) Langenhan cechował się fatalną wadą konstrukcyjną: mechanizm blokujący ruch zamka łatwo ulegał uszkodzeniu (był zabezpieczony jedynie zwyczajną śrubą, podatną na pęknięcia pod wpływem obciążeń związanych z siłami powstającymi podczas odpalenia). W efekcie podczas prowadzenia ognia zamek mógł zostać wyrzucony z wielką siłą w stronę strzelca. Mimo częstych wypadków około 50 000 sztuk tej zawodnej i kłopotliwej broni trafiło w ręce niemieckich żołnierzy, lecz doświadczeni frontowcy unikali jej jak ognia. Znacznie lepszym pistoletem okazał się Dreyse Model 1907, opracowany przez Louisa Schmeissera, a nazwany na cześć konstruktora pierwszej seryjnie produkowanej pruskiej iglicówki odtylcowej, Nikolausa von Dreyse. Pistolet o dość skromnych rozmiarach (długość całkowita 160 mm, długość lufy 93 mm), odwzorowujący wczesne konstrukcje Browninga, strzelał amunicją amerykańskiego „kieszonkowego" standardu .32 ACP (7,65×17), a magazynek mieścił 7 naboi. Już w roku 1912 powstała wersja pistoletu, dostosowana do standardowych nabojów Lugera (9×19). Z racji niezbyt imponujących cech balistyki pistolet ten znalazł zastosowanie raczej w oddziałach tyłowych oraz wśród oficerów, zwłaszcza jako broń boczna podczas służby pozafrontowej. Podobnie wykorzystywano niewielkie (długość całkowita 153 mm, długość lufy 87 mm) pistolety Mauser M1914, których seryjną produkcję (ponad 280 tys. sztuk) rozpoczęto już po wybuchu wojny. Broń ta, jak i poprzednie „mutacje" klasycznego Browninga wymagała amunicji standardu .32 ACP, a magazynek mieścił 8 naboi. Największą wadą tego typu okazał się niepewny bezpiecznik nastawny, który łatwo można było przestawić mimowolnie podczas wkładania broni do futerału.

Oprócz opisanych najbardziej typowych rodzajów krótkiej broni palnej, w użyciu pozostawało wiele innych pistoletów i rewolwerów. Praktyka frontowa wyraźnie wskazywała, że posiadanie teoretycznie nielegalnego uzbrojenia osobistego może oznaczać różnicę pomiędzy życiem i śmiercią. Dlatego też, chociaż regulaminy wyraźnie określały, komu przysługuje prawo do używania krótkiej broni palnej, wiele tysięcy „kieszonkowych armatek" pozostawało w dyspozycji teoretycznie nieuprawnionych do tego żołnierzy, a dowódcy z powodów praktycznych nieraz przymykali oko na ten przejaw nieposzanowania przepisów. Wielu oficerów posiadało zresztą także prywatnie nabyte egzemplarze różnorodnych broni krótkich, zachowując „artyleryjskiego Lugera" na potrzeby bojowe, a na tyłach nosząc lżejsze i mniejsze pistolety, których marne parametry balistyczne nie były w tych okolicznościach wadą dyskwalifikującą.

Literatura, ilustracje:
1. I. Hogg, „Broń strzelecka. Przewodnik encyklopedyczny", Poznań 2000
2. F. Myatt, „Pistols and revolvers", London 1980 (edycja polska 1993)
3. J. Lugs, „Handfeuerwaffen", Band 1-2, Prag 1982
4. „Military Illustrated", roczniki 1992-2010

REKLAMA

Niemiecka, bierna obrona przeciwlotnicza w okupowanej Warszawie (cz. 2)

TEKST: JAKUB JAKUBOWSKI
ZDJĘCIA, INFOGRAFIKA: JAKUB JAKUBOWSKI, ZB. AUTORA

Zbiorniki przeciwpożarowe oraz ukrycia w formie szczelin przeciwlotniczych powstały w wielu miejscach obok siebie, jak np. na Placu Powstańców Warszawy; Placu Wilsona; Placu Trzech Krzyży; Placu Inwalidów, Placu Narutowicza; u zbiegu Al. Jerozolimskich i Nowego Światu; Al. Niepodległości czy na terenie Ogrodu Pomologicznego. Szczeliny i zbiorniki (bez sąsiedztwa zbiorników i na odwrót) powstały też m.in. na terenie Parku Ujazdowskiego; Dreszera; Pl. Piłsudskiego; Pl. Dąbrowskiego; Pl. Krasińskich; Pl. Wileńskim; ulicy Goszczyńskiego; Targowisku Kercelak; Rynku Nowego Miasta, czy na dziedzińcach pałaców Prymasowskiego oraz Namiestnikowskiego (Prezydenckiego). Podczas Powstania Warszawskiego woda w zbiornikach przeciwpożarowych służyła mieszkańcom zarówno do gaszenia pożarów, jak i w celach spożywczych, natomiast szczeliny spełniały funkcje ukryć, dając schronienie przed niemieckimi bombardowaniami. Czasami wykorzystywano je również jako zbiorowe mogiły, czego przykładem może być rów na placyku przed Domem pod Orłami, u zbiegu ulic Zgoda i Jasnej.

Tuż po wyzwoleniu Warszawy i rozpoczęciu odbudowy miasta, większość rowów, jak i zbiorników, została rozebrana, bardzo często w czynie społecznym, np. obiekty przy Pl. Unii Lubelskiej, Spacerowej, Skwerze Szewczenki, czy Pl. Małachowskiego. Do dzisiaj na terenie Warszawy zachowały się nieliczne takie schrony oraz baseny przeciwpożarowe. Zgrupowanie rowów-szczelin przeciwlotniczych stanowiła część terenu Powiśla, między Ludną a Łazienkami Królewskimi, podczas okupacji stanowiąca dzielnicę niemiecką – na tym terenie było osiem takich rowów. Większość z nich zbudowano na planie litery „S". Do niedawna jeszcze można było je zobaczyć na rogu Łazienkowskiej i Myśliwieckiej (Am Sportplatz / Stadionstrasse) i przy Łazienkowskiej. Obecnie zachował się tylko na zbiegu Myśliwieckiej i Łazienkowskiej (teren 3. Programu Polskiego Radia), ten przy Łazienkowskiej, a dokładniej przy dawnym basenie Legii, został zburzony. Obiekt ten był jedynie częściowo zachowany. Tak jak wszystkie podobne szczeliny posiadał dwa wejścia, które wraz z częścią korytarzy zasypano w okresie powojennym. Wybudowany był (jak i bliźniaczy, zachowany schron na terenie Radia) na planie łamanej litery „C" z betonowych prefabrykowanych elementów, o przekroju korytarza w postaci odwróconej litery „U". Miał po trzy otwory wentylacyjne w stropie, dwa przy połączeniu korytarzy i jeden w toalecie. Pozostały również żelazne uchwyty pod ławki. Obiekt został rozebrany niejako „hurtem" przy budowie Stadionu Legii. Na tym terenie znajdziemy także następny obiekt, znajdujący się na boisku między Zespołem Szkół na Górnośląskiej a Liceum Batorego, lecz nie jest znany jego stan wewnętrzny.

Kolejny zachowany schron znajduje się na terenie Gimnazjum nr 43 przy Emilii Plater. Ma łamany kształt, po dwa wejścia wykonane z cegły z jednym ciągiem schodów (obecnie zamurowane) oraz trzy korytarze. Stan wewnętrzny tego obiektu nie jest znany. Następny znajduje się ul. Puławskiej, przy Dolnej, na trawniku pełniącym rolę boiska, gdzie widoczny jest betonowy strop. Szczelina ta posiadała typowy układ – dwa wejścia z przelotnią i trzy korytarze. Obiekt został zasypany na początku lat 90. XX wieku.

Skupiskiem zachowanych szczelin przeciwlotniczych są tereny kolejowe od ul. Towarowej do Stacji Postojowej Warszawa-Szczęśliwice. Dwa obiekty zachowały się na terenie dawnych bocznic i magazynów przy Kolejowej, pierwszy, wybudowany na planie litery „S", posiada po dwa przedsionki, wejścia nakryte stropem z jednym ciągiem schodów oraz korytarz o długości 8,30 metrów z otworem wentylacyjnym w stropie. Obiekt wybudowany jest ze zbrojonego betonu o „jajowatym" przekroju korytarza. Następny obiekt, usytuowany około 300 metrów dalej, pozostał nieukończony. Z analizy zdjęć lotniczych wynika, iż miał mieć kształt litery „L", a wykonany i zachowany jest jedynie ceglany fragment korytarza.

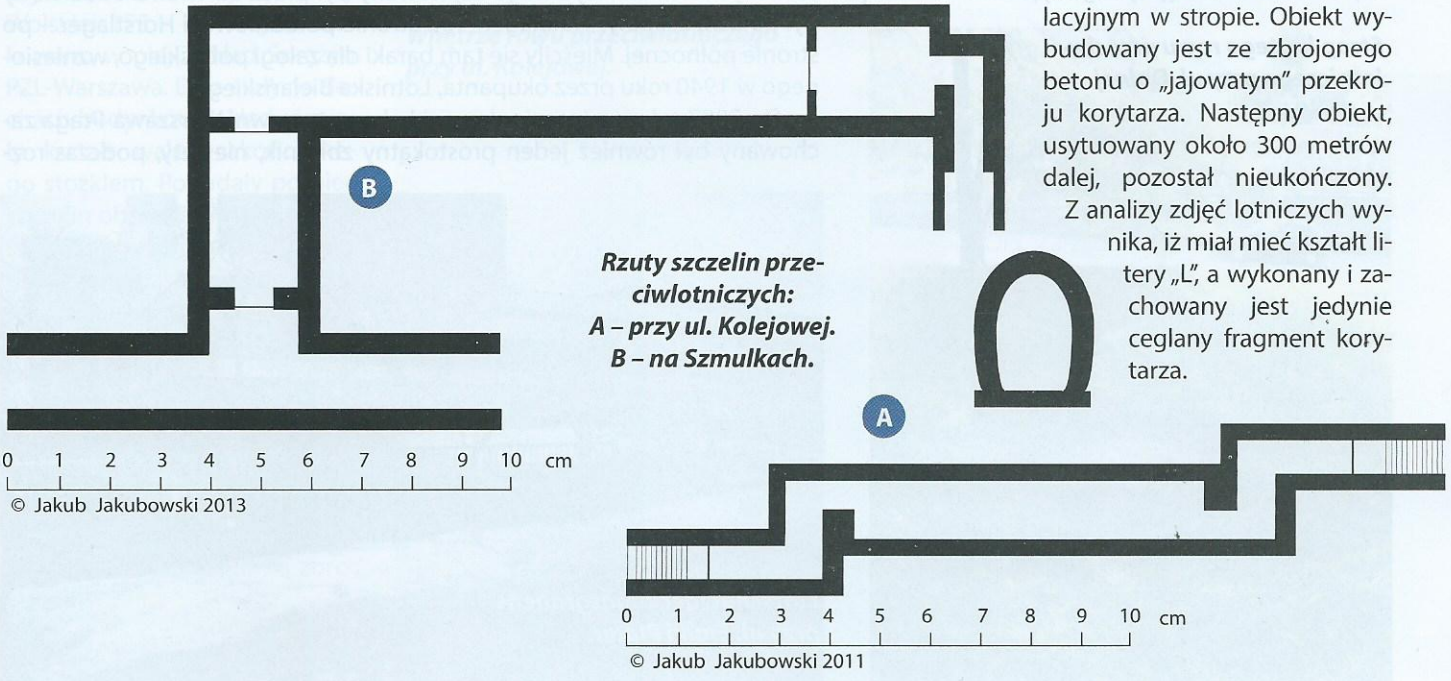

Rzuty szczelin przeciwlotniczych:
A – przy ul. Kolejowej.
B – na Szmulkach.

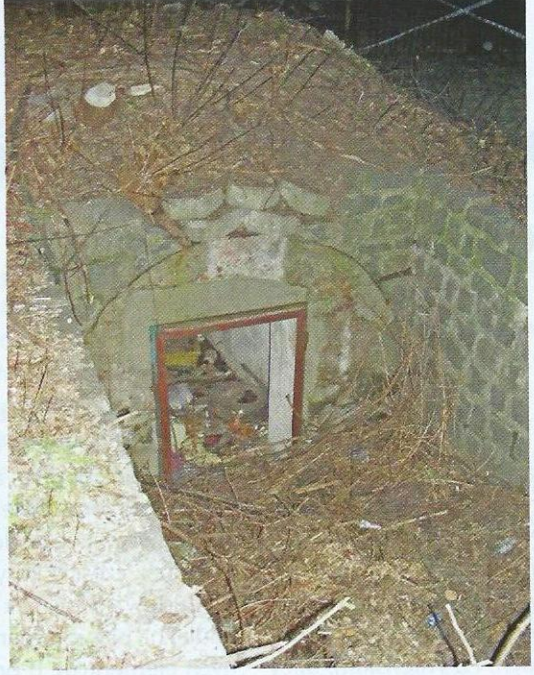

Wykonane po wojnie wejście do rowu przeciwlotniczego znajdującego się przy ul. Łazienkowskiej.

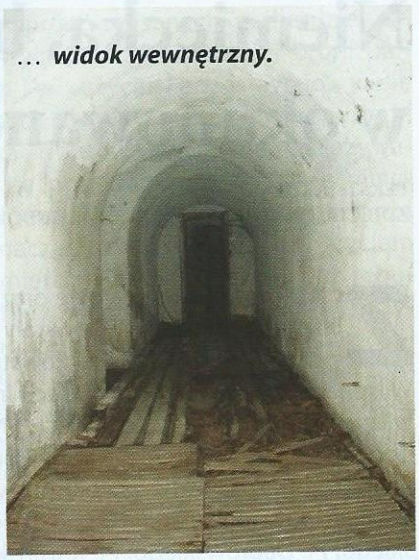

... widok wewnętrzny.

Jednym z największym schronów na tym obszarze była szczelina na terenach Dworca Zachodniego przy ulicy Tunelowej. Wybudowano ją z cegły, i posiadała po dwa nakryte betonowym stropem wejścia, korytarz główny oraz boczne pomieszczenia. Obiekt został rozebrany we wrześniu 2009 roku. W okolicach Dworca Zachodniego zachowały się również dwa inne ukrycia przeciwlotnicze. Pierwsze w kształcie litery „L", o przekroju korytarza w formie odwróconej litery „U", posiada po dwa ceglane wejścia. Drugie, z jednym korytarzem, również w kształcie odwróconej litery „U", oraz dwoma wejściami z jednym ciągiem schodów. Wstęp do schronu jest utrudniony, bowiem zagracone wnętrze stanowi „lokum" dla bezdomnych.

Ostatnia zachowana na tym terenie kolejowym szczelina usytuowana jest w przedłużeniu ulicy Potrzebnej, na zapleczu stacji postojowej Szczęśliwice. Wybudowana jest na planie litery „L" (jak obiekt z Kolejowej), warto zaznaczyć, że obiekt nie został ukończony. Jest ceglany, posiada jedno wejście w formie przelotni z dwojgiem ciągów schodów, nakrytych betonowym stropem, oraz wyjście awaryjne w formie małego korytarza ze stalową drabiną klamrową. Po prawej stronie Wisły, na Warszawskich Szmulkach, na wysokości ulicy Boruty między nasypami kolejowymi, stoi identyczny obiekt, jak ten z zaplecza stacji postojowej Szczęśliwice. W przeciwieństwie do opisanego wyżej, został wykończony. Ponadto posiada otwory do podłączenia piecyka. Warto wspomnieć, iż następny tego typu schron stanąć miał w okolicach stacji Warszawa-Praga, lecz do września 1944 r. wykonano jedynie wykop ziemny.

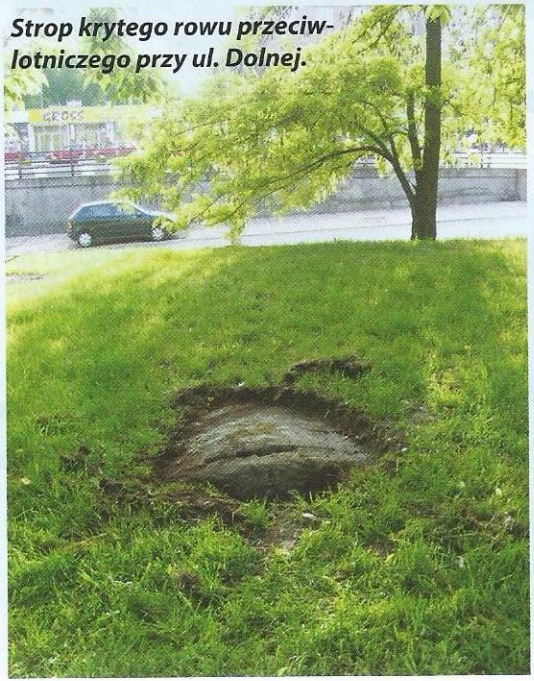

Strop krytego rowu przeciwlotniczego przy ul. Dolnej.

Zbiorniki przeciwpożarowe wykonane były ze zbrojonego betonu i podłączone do sieci wodociągowej. Budowano je na bazie prostokąta bądź kwadratu. Do dziś na terenie miasta zachowanych jest kilka takich obiektów. Pierwszy na terenie Stacji Postojowej Warszawa-Szczęśliwice – na bazie prostokąta. Kolejny, przy ulicy Armatniej – również na planie prostokąta – jest on zasypany, ale nad powierzchnią ziemi wystaje betonowy „wieniec" basenu. Trzeci basen znajduje się na Osiedlu Kolejowym z lat 20. XX wieku. Także prostokątny i także zasypany, widoczne są tylko jego betonowe obrzeża. Ślady basenu – w postaci dwóch klombów – widoczne są również na dziedzińcu szpitala na ulicy Goszczyńskiego, podczas okupacji obiekt był szpitalem niemieckim. Następny znajduje się na terenie koszar przy ulicy 11-Listopada. Ma plan prostokąta i do dzisiaj wypełniony jest wodą. Na tym rozległym terenie koszarowym, ograniczonym dzisiejszymi ulicami: Jagiellońską, Ratuszową, 11. Listopada, Starzyńskiego, były trzy takie zbiorniki. Podczas okupacji teren koszar zajmowały m.in. Landschutz Battalion 202; Z.E.L 31. Schwerlest, który dostarczał części zamienne do samochodów na front wschodni; Gleiskettenlager – magazyn gąsienic i łańcuchów przeciwpoślizgowych. Kolejny zachowany zbiornik ppoż. znajduje się w lasku Bielańskim. Ma plan kwadratu i jest częściowo zasypany. Sam lasek Bielański razem z pobliskimi zabudowaniami Centralnego Instytutu Wychowania Fizycznego zajmowany był przez Luftwaffe. Podzielony był na dwa zespoły: Waldlager – po stronie południowej i Horstlager – po stronie północnej. Mieściły się tam baraki dla załogi pobliskiego, wzniesionego w 1940 roku przez okupanta, Lotniska Bielańskiego.

Do 2007 roku na terenie dawnej Lokomotywowni Warszawa-Praga zachowany był również jeden prostokątny zbiornik, niestety, podczas roz-

Luftschutzdeckungsgrabens przy ul. Emilli Plater.

Kryte rowy przeciwlotnicze na Szmulki – widok na wejście...

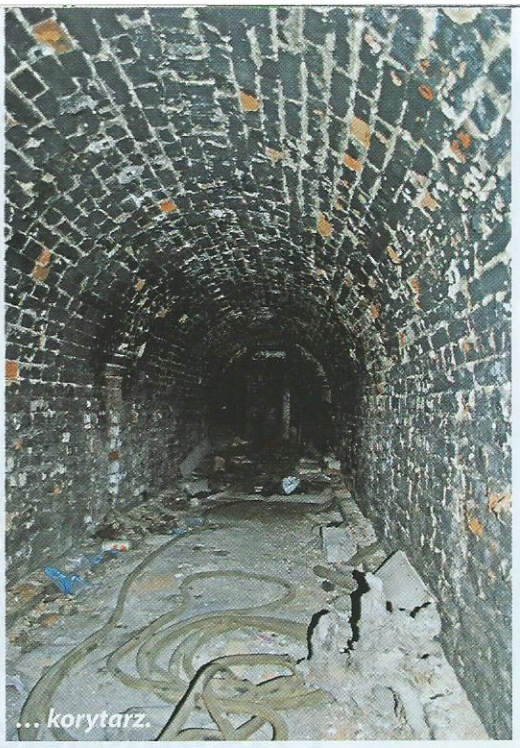

...korytarz.

biórki zabudowań Lokomotywowni został zasypany gruzem. W sumie na tym terenie oraz zakładów kolejowych znajdowały się cztery takie zbiorniki. W samym budynku Lokomotywowni zlokalizowano pomieszczenie przeciwlotnicze, z istniejącymi od strony zewnętrznej dwiema osłonami okna piwnicznego, z zachowaną stalową klapą, które stanowiły wyjście awaryjne z tego pomieszczenia.

Jak już wspomniałem, na terenie miasta budowane były również studnie dla celów obrony przeciwlotniczej. Studnie były obiektami wybudowanymi ze zbrojonego betonu na bazie koła. Z powodu przysypania ziemią, bardzo często wystawały ponad powierzchnię ulicy tworząc swoiste kopce. Warto tutaj zaznaczyć, iż te obiekty, ostatnim czasem, błędnie identyfikowane są jako schrony (!). Studnie powstały m.in. koło Placu Marszałka Piłsudskiego – obecnie w tym miejscu wznosi się gmach Metropolitan. Inne, miały być umiejscowione m.in. na dziedzińcu ówczesnych koszar Flakkasserne, czy przy koszarach SS na ul. Rakowieckiej. Do sierpnia 1944 roku nie zostały jednak wybudowane. Prace zakończono na etapie wykopu ziemnego i części prac betoniarskich. Kolejne studnie znajdowały się w okolicach lotniska na Okęciu (ponadto na samym terenie lotniska, jak i w licznych zajętych przez Niemców zakładach wybudowano też 6-7 zbiorników przeciwpożarowych). Do dzisiaj zachowane są dwa przykłady takich studni. Pierwsza znajduje się na dziedzińcu III Liceum Ogólnokształcącego, przy ulicy Rogalińskiej druga w okolicy Fortu Zbarż.

Ostatnimi obiektami związanymi z bierną obroną przeciwlotniczą są schrony dla wartowników, chroniące przed odłamkami oraz podmuchem, powstałymi w wyniku ewentualnego ataku lotniczego. Do 2007 roku zespół trzech takich obiektów znajdował się w zabudowaniach dawnej fabryki „Dobrolin" przy ulicy Wolskiej 153 – po wojnie ulokowano w niej Zakład Sprężyn PZL-Warszawa. Dwa stały na dachach budynków zakładu i miały kształt walca zakończonego stożkiem. Posiadały po pięć szczelin obserwacyjnych, a wejście osłonięte było półokrągłą przelotnią, którą zakrywały po dwie szczeliny obserwacyjne. Trzeci obiekt stał na poddaszu kolejnego obiektu i również miał kształt walca, z lekko zaokrąglonym stropodachem oraz wejście z przelotnią, lecz posiadał tylko cztery szczeliny obserwacyjne. Wszystkie te obiekty wybudowano ze zbrojonego betonu, a następnie pokryto je gładzią cementową. Kolejny, a zarazem prawdopodobnie jedyny zachowany taki obiekt na terenie Warszawy, stoi, a raczej leży, na terenie Gazowni przy ulicy Kasprzaka. Jest to prefabrykowany schron typu Splitterschutzzellen, potocznie nazywany Einmannbunker. Obiekt wykonany ze zbrojonego betonu, o walcowatej konstrukcji z zaokrąglonym stropodachem, posiada trzy szczeliny obserwacyjne. Wejście do obiektu, ze stalową futryną, jest lekko wysunięte poza jego oś.

Obiekty opisane w artykule stanowią prawdziwe unikaty w Warszawie, mieście tak zrujnowanym w wyniku działań wojennych, i zasługują na zachowanie. Niestety, brak jakiegokolwiek zainteresowania tymi obiektami ze strony służb konserwatorskich lub muzeów powoduje, iż popadają w niepamięć i stają się „ofiarami" rozbiórek towarzyszących różnorakim inwestycjom, a czasem ustępują miejsca chwastom.

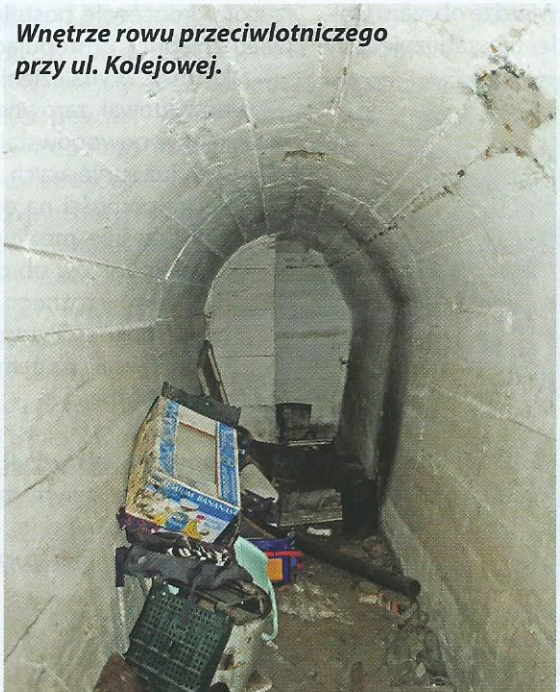

Wnętrze rowu przeciwlotniczego przy ul. Kolejowej.

Wybrane źródła:

1. Archiwum Państwowe m. st. Warszawy: Dowódca SS i Policji; Komisaryczny Burmistrz m. Warszawy; Stadthauptmannschaft Warschau; Zbiór Rękopisów; Wskazówki dla personelu OPL Zarządu Miejskiego w m. Warszawie, Warszawa 1943.
2. Amtlicher Anzeiger für das Generalgouvernement; Mitteilungsblatt der Stadt Warschau; Nowy Kurier Warszawski 1943-1944; Bestimmungen für den Bau von LS. – Deckungsgraben, Berlin 1943.

Jakub Jakubowski

Varsavianista, miłośnik fortyfikacji.

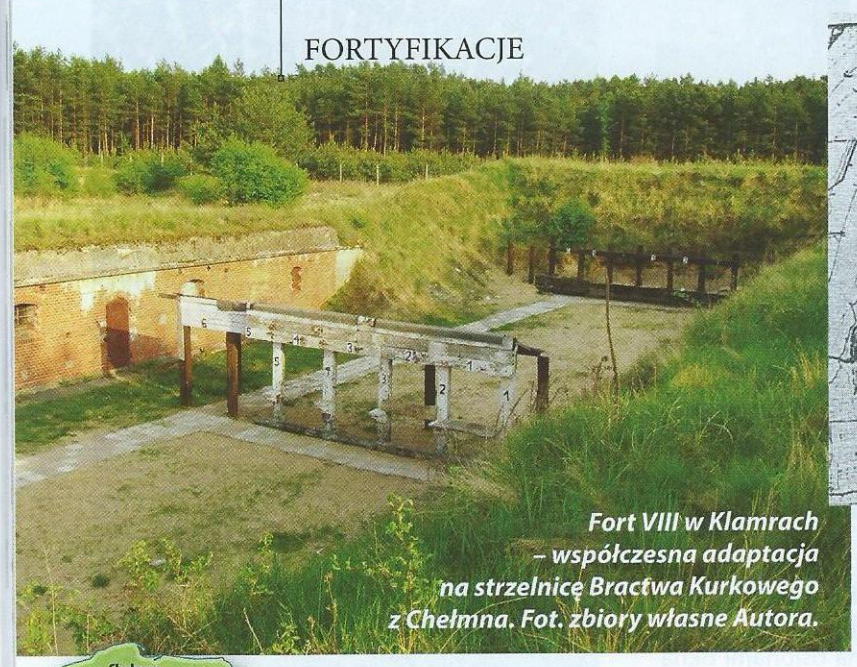

Fort VIII w Klamrach – współczesna adaptacja na strzelnicę Bractwa Kurkowego z Chełmna. Fot. zbiory własne Autora.

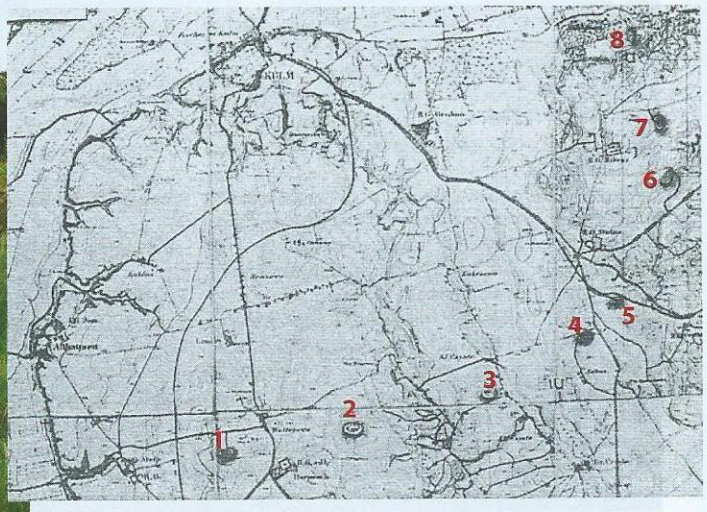

Przedmoście Chełmno. Stan z 28 II 1903 r. Cyframi (1-8) oznaczono lokalizację fortów piechoty. Archiwum-spuścizna dr. Krzysztofa Biskupa.

Przedmoście Chełmno – zapomniana twierdza

TEKST: PAWEŁ NASTROŻNY

Ziemia Chełmińska to niezwykle urokliwa kraina, licznie odwiedzana przez turystów chcących odkrywać jej piękno. Sporą część zachwytu, którym się ją darzy, zawdzięcza swojej historii. Wśród wielu fascynujących pozostałości kultury materialnej i duchowej, licznych, niemniej atrakcyjnych zabytków, zwiedzający mogą natrafić na szlaku swojej wędrówki na wiele motywów o charakterze militarnym. Najbardziej reprezentacyjne są zwłaszcza dwie twierdze: grudziądzka i chełmińska. O ile w przypadku pierwszej z wymienionych powoli zaczyna być słychać echo zainteresowania godne jej wielkości, wartości i znaczenia dziejowego, o tyle o drugiej, znacznie mniejszej, choć wcale nie mniej interesującej, niewielu słyszało. O jej istnieniu nie wiedzą nawet (!) niektórzy rodowici Chełmnianie. Czym więc była owa tajemnicza (bo zapomniana) twierdza?

Zarys nieznanej historii

Początki prac związanych z planami ufortyfikowania okolic Chełmna sięgają końca XIX wieku. Istniejące i wówczas wciąż rozbudowywane bądź modernizowane twierdze obszaru Dolnej Wisły, a więc m.in. Toruń i Grudziądz, nie zabezpieczały w sposób wystarczający całej linii tego fragmentu rzeki. Luka w pobliżu Chełmna, której nie wypełniał nawet zasięg artylerii dalekonośnej z północnego-wschodu i południa, czyli od strony istniejących już założeń obronnych, miała zostać zgodnie z decyzjami Sztabu Generalnego Cesarstwa Niemieckiego wypełniona kolejną „porcją cegieł i betonu". W latach 1901-1914 powstała ostatnia pozycja umocniona w strefie Dolnej Wisły – Przedmoście Chełmno. Próżno jej szukać w samym mieście. Charakter fortyfikacji tego stosunkowo młodego założenia powodował silne rozrzucenie poszczególnych dzieł obronnych. Tworzyły one półpierścieniową linię forteczną, otaczającą Chełmno po prawej stronie rzeki. Samo miasto nie posiadało żadnych nowożytnych umocnień, jednak to ono stanowiło centrum, gdyż właśnie tam postanowiono zlokalizować przeprawę przez Wisłę. Miała ona strategiczne znaczenie i wymagała zabezpieczenia w postaci nowobudowanych fortyfikacji.

Przełom XIX i XX wieku był bardzo burzliwym okresem w dziejach architektury obronnej. Wprawdzie już dawno zarzucono koncepcję postulującą wznoszenie ześrodkowanych twierdz, jednak postępujący rozwój techniczny środków walki (m.in. wynalezienie granatów kruszących – 1883 r.), powodował zarówno nieustanne modyfikowanie projektów nowopowstających warowni, jak i modernizację tych już istniejących. Celem było osiągnięcie maksymalnej odporności na ostrzał artyleryjski przy zachowaniu jednocześnie możliwie najlepszego układu i rozmieszczenia punktów obronnych – wówczas bardzo popularnych fortów różnego rodzaju. Czasami jednak zwyczajny brak środków finansowych, bądź względy strategiczne, nie pozwalały na pełną realizację wzniosłych planów pruskich inżynierów.

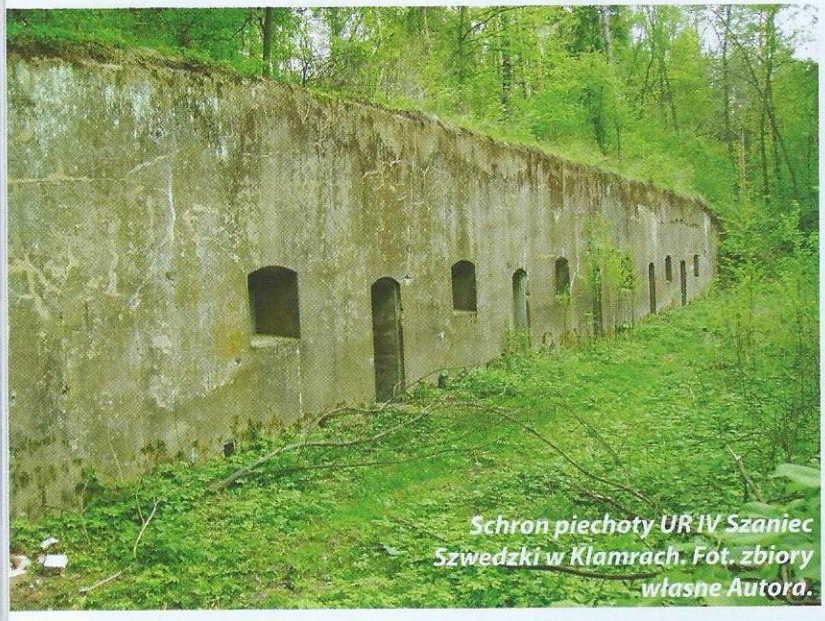

Schron piechoty UR IV Szaniec Szwedzki w Klamrach. Fot. zbiory własne Autora.

Stare z nowym, czyli połączenie cegły, betonu i żelbetu

Podstawowym dziełem obronnym, które zbudowano na chełmińskiej pozycji, był punkt oporu piechoty, zwany w literaturze fortem piechoty. Nazwa ta, choć

nieprecyzyjna, oddaje jednak dobrze jego istotę. Centrum fortyfikacji tworzył schron przeznaczony dla załogi wielkości kompanii (w dwóch przypadkach – dla siły równej dwóm plutonom). Wewnątrz panowały dość surowe warunki, a znajdujące się tam wyposażenie zapewniało zaspokojenie podstawowych żołnierskich potrzeb. W jego skrzydłach urządzono kuchnię i latrynę, natomiast większość pozostałych izb stanowiły sale przeznaczone do pobytu dzienno-nocnego. Wyposażono je w proste drewniane ławy, odgrywające jednocześnie rolę wieloosobowych prycz. Pod sklepieniem zainstalowano półki, na których żołnierze przechowywali swoje oporządzenie. Karabiny umieszczano z reguły na drewnianych stojakach. Warunki pobytu poprawiało nieco zastosowanie piecyków, które nieznacznie podwyższały temperaturę panującą wewnątrz pomieszczeń.

Konstrukcja całego obiektu była betonowo-ceglana, grubość ścian dochodziła do 2 m, a strop wykonano w dwóch warstwach: dolnej – żelbetowej i górnej, wzniesionej z litego betonu. Schron był otoczony owalnym, lekko spłaszczonym wałem ziemnym, na którym usytuowano stanowiska obronne piechoty. Uzbrojenie osobiste żołnierzy stanowiło w tym wypadku jedyną siłę defensywną fortu. Plany wyposażenia niektórych obiektów w ciężkie karabiny maszynowe, ówcześnie zaczynające odgrywać niepoślednią rolę, pozostały niezrealizowane. W wał wbudowane były jedna lub dwie wartownie, mieszczące kilkunastu żołnierzy. Ich architektura była analogiczna do budowy schronu głównego. Obronę czynną piechoty wspierały także zabezpieczenia bierne, które poza wałem stanowiła kilkumetrowej szerokości sieć z drutu kolczastego, rozpięta na dnie fosy otaczającej cały fort. Popularne były także krzewy kłujące, głównie tarnina, dodatkowo utrudniające bezpośredni dostęp do fortyfikacji. Wbrew pozorom tak zabezpieczony obiekt był trudny do zdobycia. Zniszczenie zapór biernych wymagało solidnego przygotowania artyleryjskiego, a bezpośredni szturm mógł mieć opłakane konsekwencje dla atakujących. Według pomiarów norm zużycia amunicji na niszczenie elementów umocnień, wykonanie wyrwy w zaporze z drutu kolczastego o głębokości 5-10 m i szerokości 20 m, wymagało wystrzelenia 300 pocisków przez baterię czterech dział kal. 10 cm, na odległości 3 km od celu. Przy większych odległościach ilość ta jeszcze rosła.

Wokół Chełmna wzniesiono osiem fortów piechoty. Odległości pomiędzy nimi wahały się od ok. 500 do 2200 metrów. Przestrzenie pomiędzy obiektami wymagały więc dodatkowych zabezpieczeń. W miejscach tych powstały w sumie cztery schrony piechoty typu UR (Untertretraum). Posiadały one wielkość i zasadnicze elementy konstrukcyjne podobne do schronów występujących w fortach piechoty. Ściany i sklepienia wznoszono z litego betonu. Cechą, która już na pierwszy rzut oka odróżniała je od schronów fortecznych, był brak jakichkolwiek ozdób architektonicznych. Słabością przedmościa chełmińskiego było zdecydowanie niedostateczne wyposażenie artyleryjskie. Zbudowano tylko dwie z pięciu zaplanowanych stałych baterii artylerii (w skład każdej z nich wchodziło 6 dział): nr 3 Małe Czyste i nr 4 Stolno. Obie przeznaczono dla armat kal. 12 cm. Stałą baterię stanowił wał ziemny ze stanowiskami dział, schron dla załogi oraz schron amunicyjny, cofnięty i silnie zagłębiony w terenie. Warto w tym miejscu wspomnieć, że oryginalne nazewnictwo pruskich obiektów obronnych budowanych na początku ubiegłego stulecia, pochodziło od nazw topograficznych (głównie nazw wsi, choć nie tylko), a nie od imion zasłużonych w historii wielkich mistrzów krzyżackich czy generałów, jak miało to miejsce jeszcze w drugiej połowie XIX wieku (np. w niedalekim Toruniu).

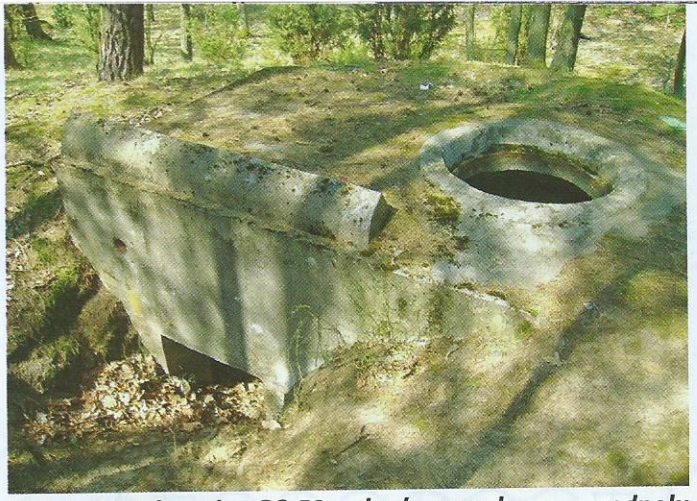

Jeden ze schronów RS-58c zbudowanych na przedpolu Chełmna. Fot. zbiory własne Autora.

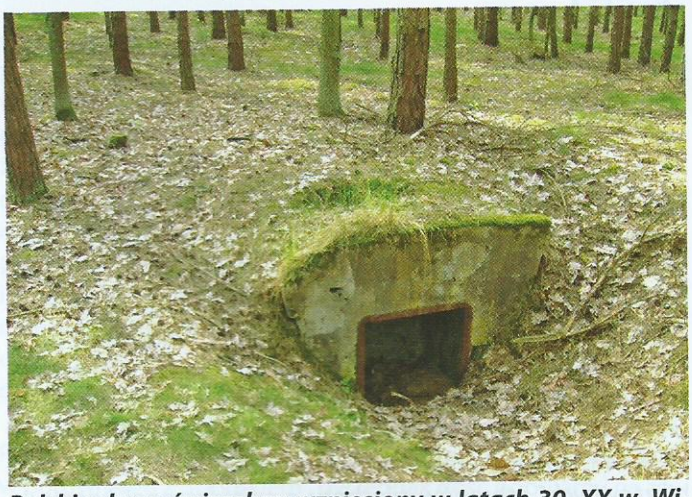

Polski schron ćwiczebny wzniesiony w latach 30. XX w. Widoczny w części zasypany rów dobiegowy. Fot. zbiory własne Autora.

W skład zaplecza twierdzy wchodziły również liczne obiekty pełniące głównie funkcję magazynów i warsztatów. Składnica sprzętu służącego do organizacji przeprawy wiślanej znajdowała się pomiędzy wsią Nowe Dobra a Chełmnem. Dwie wozownie, czyli miejsca przechowywania sprzętu artyleryjskiego, znajdowały się w Starogrodzie i Stolnie. Obok ostatniej usytuowano także budynek mieszkalny dla podoficerów wraz ze stajnią oraz magazyn sprzętu przeciwpożarowego. Ważnym elementem zaplecza była składnica amunicyjna w Stolnie, położona w pobliżu szosy Grudziądz-Toruń. Składała się z siedmiu prochowni i warsztatu amunicyjnego. Również w samym Chełmnie mieściły się obiekty i instytucje wojskowe związane z twierdzą. Należały do nich m.in.: komendantura, urząd Fortyfikacja Chełmno (nadzorujący od 1903 r. budowę fortyfikacji) oraz zarząd składnicy artyleryjskiej w Stolnie. Ważnym i często niedocenianym faktem było podniesienie przedmościa chełmińskiego do rangi twierdzy, co miało miejsce w czerwcu 1910 roku. Wcześniej, w 1904 r. sformułowano konkretne zadanie, które postawiono umocnieniom pod Chełmnem: *„mają zabezpieczyć bezpieczne przekroczenie Wisły przez własne siły i przeszkodzić w przejściu nieprzyjacielowi"* (Dumbsky, s. 150).

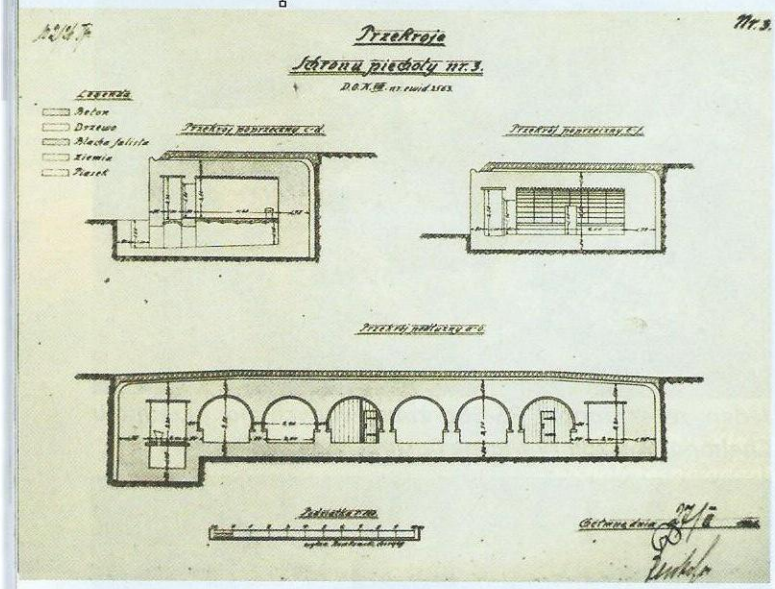

Przekroje schronu piechoty IR 3, inwentaryzacja z 1926 r. Archiwum-spuścizna dr. Krzysztofa Biskupa.

Fortyfikacje pod miastem włączono więc oficjalnie do tzw. Linii Dolnej Wisły, czyli ufortyfikowanej pozycji, pełniącej bardzo ważną funkcję w systemie militarnym wschodniej części Cesarstwa Niemieckiego. Ostatecznie stworzyły ją cztery twierdze (od południa): Twierdza Toruń, Twierdza Chełmno, Twierdza Grudziądz, Twierdza Malbork oraz umocnione przyczółki mostowe: w Fordonie, Kwidzynie i Tczewie. Wobec niestabilnej sytuacji politycznej, na wypadek konfliktu zbrojnego przygotowano projekty rozbudowy fortyfikacji przedmościa. W 1914 r. podjęto prace nad wzniesieniem sześciu tzw. „mobilizacyjnych" schronów piechoty o uproszczonej konstrukcji. Wkomponowano je w zasadniczą linię obronną. Wykonane z betonu obiekty mogły pomieścić ok. kilkudziesięciu do stu żołnierzy. Ich cechą charakterystyczną były sklepienia w kształcie kolistej kolebki, które od spodu wzmacniano blachą falistą, dobrze chroniącą załogę przed ewentualnymi odłamkami stropu, mogącymi zagrozić bezpieczeństwu podczas nieprzyjacielskiego ostrzału artyleryjskiego. Schrony nie posiadały żadnej możliwości obrony własnej (w postaci kaponier lub strzelnic do prowadzenia ognia na wprost), a piechota w czasie walki zajmowała przygotowane zawczasu pozycje polowe w pobliżu fortyfikacji.

Drugą grupą obiektów, które wzniesiono w ramach mobilizacji, było 10 schronów amunicyjnych. Składały się z dwóch części: jednokomorowej dla ładunków i zapalników oraz dwukomorowej, w której przechowywano pociski do dział. Dla lepszego zabezpieczenia ulokowano je na tyłach zasadniczej linii fortyfikacji. Dowództwu Twierdzy Chełmno podlegały również dwie z dziewięciu samodzielnych baterii Linii Dolnej Wisły, których wzniesienie zakładano już w rozporządzeniach sztabowych z 1900 roku. Usytuowane na lewym brzegu Wisły baterie w Topolnie (6 dział kal. 12 cm) i Świeciu-Wiągu (6 dział kal. 10 cm), miały istotne znaczenie dla obrony skrzydeł twierdzy chełmińskiej. Wykonanie stanowisk dla armat pozostawiono na okres mobilizacyjny, wzniesiono tylko składnice sprzętu artyleryjskiego oraz schrony amunicyjne.

Czasy Wielkiej Wojny

W momencie wybuchu I wojny światowej w twierdzy rozpoczęto pośpieszne prace ziemne, związane z przygotowaniem pozycji artyleryjskich i strzeleckich na głównej linii umocnień. Komendantem miasta i twierdzy został gen. mjr Bünau. Rozpoczął funkcjonowanie również lazaret, czyli szpital forteczny. Jeden z jego lekarzy, Polak, Aleksander Majkowski w swoim pamiętniku zapisał: *„W samym mieście widzi się niewielu żołnierzy. Stoją na zewnątrz przy fortach, przy których, jak się dowiedziałem od chłopów, wciąż jeszcze wre gorączkowa praca"* (Majkowski, s. 140).

Siłę artyleryjską jaką dysponowała Twierdza Chełmno w momencie wybuchu wojny stanowiło: 5 baterii armat kal. 12 cm (30 dział), 4 baterie ciężkich haubic polowych (16 dział) i cztery armaty kal. 9 cm (łącznie 50 dział). Zasadnicza część załogi twierdzy chełmińskiej brała udział w bitwie pod Tannenbergiem w sierpniu 1914 roku. W okresie tym w mieście pozostały głównie pododdziały zapasowe i formacje pospolitego ruszenia.

Fortyfikacje „Linii Dolnej Wisły" nie zostały objęte działaniami wojennymi. Jednak fakt ich istnienia znacznie ograniczył możliwość wykonywania swobodnych manewrów przez wojska rosyjskie, które nie mogły dokonać marszu w dół Wisły, ani okrążyć i zniszczyć armię niemiecką operującą w Prusach Wschodnich. Wmieszanie się Rosjan w bezpośrednie walki na Warmii i Mazurach doprowadziło do klęski pod Tannenbergiem, co ostatecznie oddaliło front od twierdz nad Dolną Wisłą, w tym Chełmna.

Miasto i twierdza w rękach polskich – okres międzywojenny

Po odzyskaniu przez Rzeczpospolitą niepodległości w 1918 r. Chełmno na swój powrót w granice Polski musiało poczekać aż do 22 I 1920 roku. Burzliwy okres poprzedzający to wydarzenie naznaczony był niepokojami społecznymi i rozruchami, w większości wywoływanymi przez Niemców, którzy w swoim mniemaniu stanowili jakoby „odwieczną" władzę na terenie Pomorza, w tym na Ziemi Chełmińskiej. Istotną kwestią było przejęcie zwłaszcza wielu obiektów militarnych: kompleksów koszarowych oraz fortyfikacji. Wbrew postanowieniom zostały one przez żołnierzy niemieckich celowo zniszczone, tak, aby nie stanowiły w momencie przejęcia realnej wartości bojowo-użytkowej. Jeszcze wcześniej dokonywano regularnych wywózek wszelkiego wyposażenia, a zwłaszcza uzbrojenia twierdzy. W takim stanie twierdzę przejęło Wojsko Polskie. Pierwszym dowódcą mianowano płk. Mariana Żegotę-Januszajtisa.

Krótko po przejęciu miasta fortyfikacje chełmińskie miały odegrać rolę bojową (po raz pierwszy w polskich rękach) podczas wojny polsko-sowieckiej. W sierpniu 1920 r. pośpiesznie przygotowywano je do obrony, na ile było to możliwe, po dewastacjach dokonanych przez Niemców. Część dolnego biegu Wisły podzielono na cztery pododcinki, z których chełmiński nosił miano „Przedmoście Chełmno", a jego dowódcą został gen. Juliusz Bijak. Załoga, którą obsadzono forty piechoty była niewystarczająca. Ludności cywilnej odbierano wszelką broń, także myśliwską, w którą następnie uzbrojono formacje samoobrony, utworzone z ok. 2000 cywilów. Dla większości jednak nie starczyło broni palnej, wobec czego część z nich wyposażono w broń drzewcową, a nawet... kosy! Ze względu na korzystny wynik bitwy pod Brodnicą stoczonej 18 VIII 1920 r., widmo bolszewickiego natarcia na Twierdzę Chełmno zostało oddalo-

ne. W czasie pobieżnych przygotowań zdążono wykonać także pomocnicze fortyfikacje polowe w formie rowów strzeleckich i zapór z drutu kolczastego oraz 32 kilometry przeszkody zrobionej z pali drewnianych. W późniejszym czasie rozebrano te doraźne środki obronne.

W okresie międzywojennym wielokrotnie zmieniała się forma wojskowej administracji zarządzającej umocnieniami. Jej podstawowe zadanie pozostawało jednak niezmienne i była nim doraźna naprawa i konserwacja dzieł obronnych. Wielu zamierzonych prac jednak nie wykonano z powodu braku funduszy. Zarówno w latach 20., jak i 30. XX wieku pojawiło się wiele koncepcji strategicznego wykorzystania systemu fortyfikacji Dolnej Wisły, w tym Chełmna. Jeden z pomysłów zakładał nawet rozbudowę linii obronnej poprzez wzniesienie schronów na lewym brzegu rzeki. Ostatecznie, praktycznie żadnego z pomysłów nie udało się zrealizować. Jedynymi elementami architektury obronnej zbudowanymi w okresie międzywojennym, były niewielkie ćwiczebne schrony wzniesione w pobliżu Fortu VIII we wsi Klamry. Stanowiły one część poligonu chełmińskiego garnizonu. Do dziś brak bardziej szczegółowych informacji dotyczących ich wykorzystania. Część z nich nosi jeszcze współcześnie dobrze widoczne napisy uchylające rąbka tajemnicy. Informują one o budowniczych schronów, np.: *„PLUT. PION. 66 PP. V/1932"*. Oznacza to, że wykonawcą obiektów był pluton pionierów 66. pułku piechoty, stacjonującego w okresie międzywojennym w Chełmnie. Większość schronów połączona była siecią rowów ziemnych, na wielu odcinkach dobrze widoczną do dzisiaj.

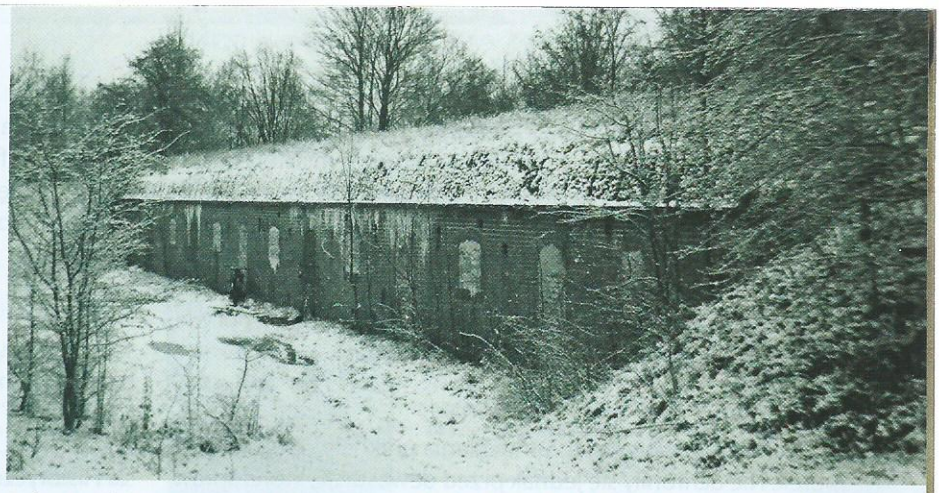

Schron główny Fortu IV Nałęcz Wschód. Stan w latach 80. XX w. Fot. zbiory własne Autora.

II wojna światowa

Fortyfikacje nie zostały we wrześniu obsadzone przez polskich żołnierzy. Pozycje oddziałów stacjonujących w Chełmnie przed wojną (66. Kaszubski Pułk Piechoty, 8. Pułk Strzelców Konnych) zostały wyznaczone daleko od miasta, zgodnie z centralnym planem obrony Armii „Pomorze". Na Wiśle funkcjonowały jednak przeprawy, początkowo polskie, a od 4 września – niemieckie. Następnego dnia Chełmno zostało z marszu zajęte przez niemiecką 32. Dywizję Piechoty. Podczas okupacji do fortyfikacji nie przywiązywano dużej wagi. Doraźnie wykorzystywano je jako magazyny. Niewielkie zainteresowanie ich użytkowaniem wynikało z położenia umocnień: dość daleko od ośrodka miejskiego, praktycznie na polach wokół wsi. Inna funkcja przypadła za to fortowi w Klamrach. Już w październiku 1939 r., podczas szeroko zakrojonej eksterminacji mieszkańców powiatu, jego pomieszczenia służyły do przetrzymywania ludności oczekującej na egzekucję w pobliskim lesie…

Z biegiem czasu sytuacja na frontach wojny zmieniła się. Po niemieckiej klęsce pod Stalingradem Rosjanie rozwijali impet natarcia ze wschodu, szybko posuwając się w kierunku Berlina. Wiele dawnych twierdz i rejonów umocnionych postanowiono wykorzystać ponownie. Taką rolę miał też odegrać chełmiński półpierścień forteczny. Jednak ze względu na uwarunkowania wojenne, związane ze zmianą ówczesnego sposobu prowadzenia walki, odchodzono od silnie uzbrojonych, dużych schronów na rzecz niewielkich obiektów bojowych, łatwych do zamaskowania i trudnych do zniszczenia przez ogień nieprzyjacielskiej artylerii. Właśnie w ten sposób postanowiono wzmocnić pozycję pod Chełmnem. W strategicznie wybranych punktach w drugiej połowie 1944 r. rozpoczęto budowę niezwykle popularnych i tanich schronów typu Ringstand 58c, zwanych „Tobrukami". Były one niewielkie, a dwuosobowa załoga miała do dyspozycji karabin maszynowy (MG-34 lub MG-42), który zamocowany był na obrotowej podstawie, przez co można było prowadzić ogień we wszystkich kierunkach. W razie potrzeby istniała możliwość instalacji zamiast broni: lunety nożycowej, reflektora, lekkiego granatnika, a nawet niewielkiego miotacza ognia. Nieznana pozostaje dokładna liczba tych obiektów, do dziś rozpoznano 26 takich schronów.

Na pozycji pod Chełmnem zbudowano także jeden schron RS-69a. Na ziemiach polskich wznoszono go dużo rzadziej w porównaniu z „Tobrukiem", był jednak dość popularny na zachodzie Europy. Na jego uzbrojenie składały się: średni moździerz (granatnik) kal. 8 cm oraz karabin maszynowy. Na głównej linii obrony pojawiły się także trzy schrony bierne typu Regelbau 668. Mieściły załogę w liczbie 6-9 żołnierzy. Obiekty nie posiadały żadnych walorów bojowych. Były stosunkowo zaawansowane technicznie, posiadały więc drzwi pancerne, śluzy gazowe, filtrowentylator, a nawet zapasowe wyjście. Ich zaletą była uniwersalność. Dzięki możliwości zainstalowania peryskopu oraz radiostacji, nierzadko wykorzystywano je jako stanowisko dowodzenia niewielkich pododcinków obrony.

Przy wykorzystaniu pracy miejscowej ludności przestrzenie pomiędzy fortyfikacjami wypełniły rowy strzeleckie i komunikacyjne oraz polowe stanowiska broni maszynowej i artylerii. Wykopano również wielokilometrowy rów przeciwpancerny, który miał stawić czoło radzieckim czołgom. Do żadnych poważnych

Jedna z dwóch wartowni Fortu VI Stolno. Fot. zbiory własne Autora.

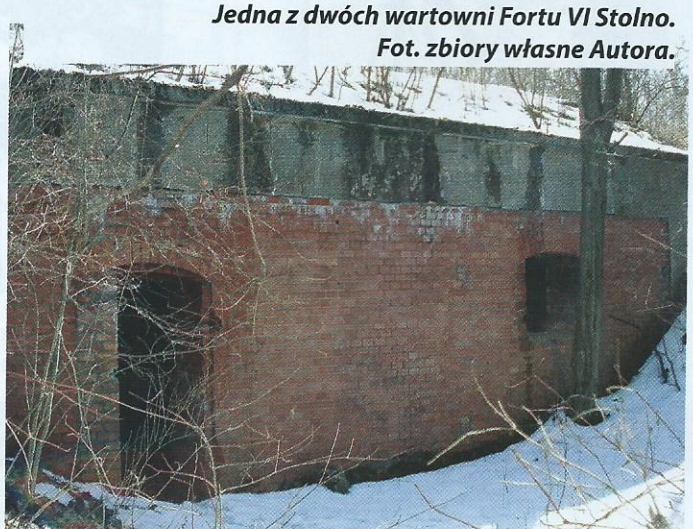

działań pod Chełmnem jednak nie doszło. Obsadę umocnień wycofano, załoga niemiecka opuściła nawet samo miasto, znacząc drogę swojej ucieczki wzniecanymi pożarami (podpalono m.in. browar, budynki lazaretu i koszarowego kasyna). Wieczorem 27 stycznia w Chełmnie pojawiły się pierwsze czołówki pancerne 70. Armii 2. Frontu Białoruskiego, które wyzwoliły miasto spod niemieckiej okupacji. Tak zakończyła się trwająca niespełna pół wieku bojowa historia fortyfikacji Twierdzy Chełmno.

A po wojnie?

W latach powojennych umocnienia uniknęły celowych rozbiórek. Nie uchroniły się jednak przed dewastacją, której sprawcami byli głównie złodzieje złomu. Powodem tego był brak zainteresowania obiektami, ich historią i konserwacją. Dopiero w 1980 r. zespół umocnień dawnej twierdzy chełmińskiej włączono do rejestru zabytków. W ciągu minionego półwiecza fortyfikacje odgrywały rozmaite role. Użytkowano je w celach gospodarczo-produkcyjnych, zwłaszcza hodowli drobiu czy boczniaków. Fort II we wsi Dorposz przez pewien czas pełnił funkcję bazy myśliwskiej. Z kolei dwa dawne umocnienia służyły jako mogilniki, zlikwidowane pod koniec XX wieku. Nieliczne obiekty do lat 90. ubiegłego stulecia użytkowało wojsko, obecnie niektóre są dzierżawione i przeznaczono je do różnych celów, np. w części Fortu VII w Rybieńcu urządzono strzelnicę sportową. Odgłosy wystrzałów z broni czarnoprochowej niekiedy dobiegają z Fortu VIII w Klamrach, który z kolei stanowi siedzibę strzelnicy Bractwa Kurkowego. Mniejsze obiekty, jak schrony piechoty, dzięki staraniom Towarzystwa Przyjaciół Dolnej Wisły przystosowano jako zimowiska dla nietoperzy.

Twierdza Chełmno zasługuje na poznanie jej historii, a poszczególne fortyfikacje czekają na swoich odkrywców. Warto więc poświęcić dzień lub dwa na przygodę bezpośredniego dotknięcia przeszłości zamkniętej pod solidnym betonowym stropem.

Literatura:
1. W. Bąk, „Twierdza Chełmno – zarys dziejów", [w:] „Ochrona zabytków architektury obronnej", red. J. Furtak, Warszawa 2002, s. 9-26.
2. K. Biskup, „Pruskie fortyfikacje Chełmna 1900-1919", [w:] „Zapiski Historyczne", 1999, z. 2, s. 69-91.
3. T. Budzyński, R. Gonia, „Twierdza Chełmno. Pierścień fortyfikacji. Przewodnik turystyczny", Stolno 2008.
4. W. Dumbsky, „Die deutschen Festungen von 1871 bis 1914: Strategische Bedeutung und technische Entwicklung", Frankfurt am Main 1987.
5. T. v. Ehrhardt, „Die Brückenkopfbefestigungen der Weichselline", Westpreussens Jahrbuch, 1969, s. 71-75.
6. A. Majkowski, „Pamiętnik z wojny europejskiej 1914", Wejherowo-Pelplin 2000.
7. P. Nastrożny, „Fortyfikacje Chełmna w latach 1900-2010", Toruń 2012 (maszynopis w Archiwum Uniwersytetu Mikołaja Kopernika).

Paweł Nastrożny
Z wykształcenia i z zamiłowania historyk. W kręgu jego zainteresowań badawczych znajdują się umocnienia pruskie i niemieckie z XIX i XX wieku, a także rozwój polskiej sztuki fortyfikacyjnej w okresie międzywojennym. Pełni funkcję stałego recenzenta dziennika internetowego Historia.org.pl.

REKLAMA

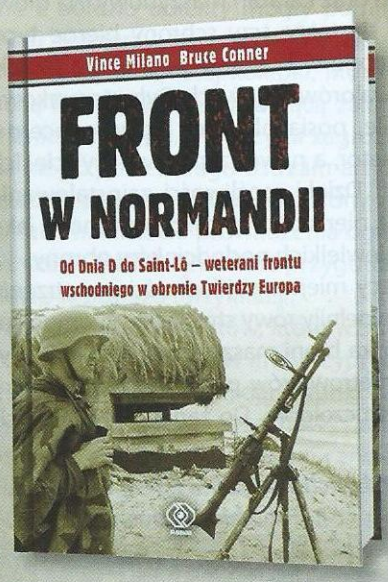

Książka rzuca nowe światło na pierwsze tygodnie największej inwazji morskiej w historii.
W książce zebrano mnóstwo niezwykle ciekawych wspomnień niemieckich weteranów, wzbogaconych ponad 200 zdjęciami – większość nie była nigdy publikowana.

REBIS

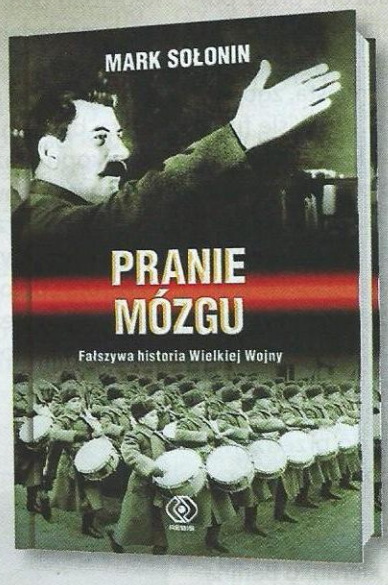

Najnowsza książka Sołonina poświęcona obalaniu mitów i demaskowaniu kłamstw dotyczących Wielkiej Wojny Ojczyźnianej.
Autor analizuje liczne wymysły z epoki radzieckiej i czasów współczesnych i ukazuje obraz wydarzeń, który wyłania się z dostępnych, rzetelnych źródeł.

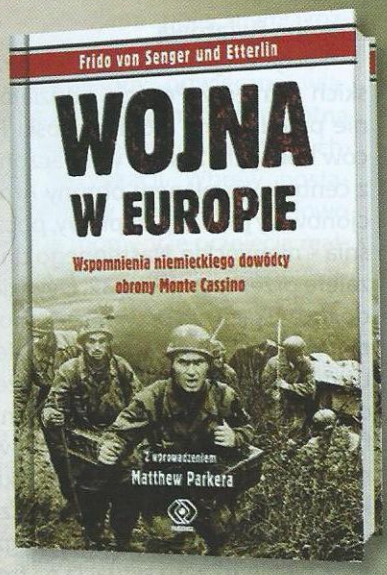

Bezcenne dla pasjonatów historii i militariów wspomnienia dowódcy obrony Monte Cassino.
Von Senger barwnie opisuje swoje losy na frontach II wojny światowej, ocenia przyczyny klęski III Rzeszy i przedstawia rzadko prezentowany niemiecki punkt widzenia na kampanię włoską.

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o. www.rebis.com.pl

Odkryj z nami historię na nowo

odk księgarnia odkrywcy

Przemysław Dominas „Kolej w prowincji poznańskiej i śląskiej", opr. twarda, str. 336, wyd. Księży Młyn. Cena: 89,90 zł

Publikacja ukazuje funkcjonowanie kolei w prowincjach poznańskiej i śląskiej od momentu jej powstania do roku 1914 r. Omówiono tutaj nieznane szerzej problemy administracyjne, zjawiska społeczne oraz architektoniczno-inżynieryjne wpływające na funkcjonowanie kolei w okresie jej najintensywniejszego rozwoju. Istotą tej pracy jest zbadanie przemian, jakie niosło ze sobą pojawienie się kolei, przez pryzmat osób, które przyczyniły się do jej powstania, dynamicznego rozwoju i sprawnego funkcjonowania. Reguły panujące podczas budowy kolei, ukazano przez zestawienie dwóch różniących się prowincji. Dzięki temu możliwe stało się wydobycie złożoności problemu zarządzania tak olbrzymim i wciąż rosnącym organizmem, jakim jest kolej, przedstawienie ewolucji i postępu myśli architektonicznej i inżynieryjnej oraz postaw społecznych wobec kolei.

Marian Mikołajczuk, Piotr Michalski „36 Specjalny Pułk Lotnictwa Transportowego", opr. twarda, str. 214, wyd. GRETZA. Cena: 76 zł

Praca przedstawia historię i dokonania 36. Specjalnego Pułku Lotnictwa Transportowego. Jednostka ta powstała w lutym 1945 r. i od początku była odpowiedzialna za loty krajowe i zagraniczne najważniejszych osób w państwie. W książce opisano rozwój i działalność pułku w poszczególnych dekadach. Nie brakuje tutaj tabel i wykazów z danymi technicznymi. Zamieszczono również wiele unikatowych zdjęć maszyn i członków jednostki oraz fotografii upamiętniających ważne wydarzenia w dziejach pułku. W publikacji opisano też wypadki i tragedie maszyn 36. Pułku, na czele z katastrofą Tu-154M pod Smoleńskiem 10 IV 2010 roku. Do książki dołączonych jest również kilka pocztówek ukazujących śmigłowce będące w użyciu omawianej jednostki.

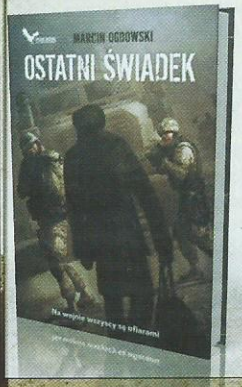

Marcin Ogdowski „Ostatni świadek", opr. miękka, str. 288, wyd. Ender. Cena: 34,90 zł

Powieść Marcina Ogdowskiego jest książką przełomową. Po raz pierwszy w historii wojny w Afganistanie, nazywanej najtrudniejszą „misją stabilizacyjną w dziejach polskiego wojska" czytelnik ma szansę przekonać się, jak bardzo jego wizja wojny – wykreowana przez prasę, radio i telewizję – różni się od rzeczywistości. W książce fikcję stanowią bowiem tylko wydarzenia. Problemy wojskowych, kłamstwa polityków i manipulacje dziennikarzy są, niestety, prawdziwe. I co gorsza, tak samo zabójcze, jak podkładane przez talibów bomby.

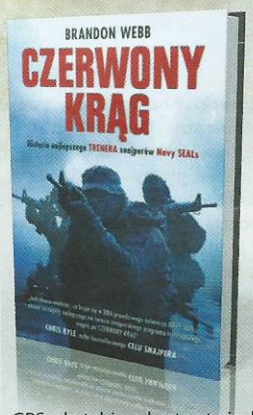

Brandon Webb „Czerwony krąg", opr. miękka, str. 464, wyd. Znak. Cena: 39,90 zł

Brandon Webb to żywa legenda amerykańskich sił zbrojnych. W swojej książce opowiada o tajnikach morderczego szkolenia, które zaczyna się po zaliczeniu Hell Week. Webb jako żołnierz trafił do Afganistanu, gdzie miał okazję sprawdzić się w ekstremalnych warunkach. W tej książce opowiada o opracowanych po 11 września nowych założeniach strategicznych armii USA, wielodniowych operacjach w mroźnych jaskiniach Afganistanu, potędze bliskiego wsparcia lotnictwa, nalotach sterowanych za pomocą sygnału GPS, ale także o braterstwie, które każe do końca walczyć o życie kolegi z plutonu. Jako szkoleniowiec, korzystając ze swoich doświadczeń, Webb stworzył najbardziej wymagający i zarazem najskuteczniejszy na świecie program treningowy dla przyszłych snajperów, takich jak Marcus Lutrell, czy Chris Kyle.

Henryk Zdzisław Figura „Służba wojskowa i praca na rzecz obronności w latach 1918-1939", opr. miękka, str. 232, wyd. Imax. Cena: 38,20 zł

Autor podjął próbę przedstawienia i interpretacji aktów prawnych regulujących służbę wojskową oraz pracę na rzecz obronności w II RP. W pierwszym rozdziale omówił zagadnienia związane stricte z służbą wojskową, m.in.: służbę popisowych i poborowych, służbę w rezerwie, służbę w obronie krajowej i w pospolitym ruszeniu. Rozdział drugi dotyczy obowiązku pracy na rzecz obrony państwa. W trzeciej części opisane zostały okoliczności uprawniające do ulg i zwolnień oraz powodujące wyłączenia i wykluczenia z służby wojskowej. Czwarty rozdział przedstawia sytuacje, w których służbę wojskową odraczano. W ostatnim rozdziale zaprezentowano, jak w ciągu 21 lat funkcjonowania II RP, ewoluowała kwestia odpowiedzialności karnej za uchybienia służby wojskowej lub obowiązkowi pracy na rzecz obrony.

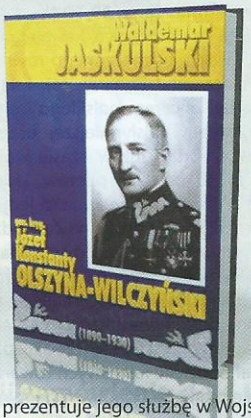

Waldemar Jaskulski „Generał brygady Józef Konstanty Olszyna-Wilczyński", opr. miękka, str. 440, nakładem autora. Cena: 69,90 zł

Unikatowa biografia gen. bryg. Józefa Konstantego Olszyny-Wilczyńskiego. Choć nigdy nie dołączył on do najbliższego grona współpracowników Józefa Piłsudskiego, był postacią wybitną i zasłużoną w walce o niepodległość. W dzisiejszych czasach niesłusznie nie wspomina się o nim zbyt często. Autor przestawił kolejne etapy życia, działalności i kariery wojskowej tej postaci. W pierwszym czterech rozdziałach opisał dzieciństwo i młodość Wilczyńskiego. Rozdział piąty prezentuje jego służbę w Wojsku Polskim w latach 1922-1927. W ostatnim merytorycznym rozdziale ukazano karierę Wilczyńskiego już jako generała w latach 1927-1939, a także okoliczności jego śmierci i kontrowersje, jakie powstały wokół tego wydarzenia. 22 IX 1939 r. Olszyna-Wilczyński wraz z kpt. Mieczysławem Strzemeskim zostali zatrzymani przez Sowietów i bestialsko zamordowani.

Znajdź nas na

www.odk.pl

Przyjdź
na ul. Narutowicza 46 w Łodzi

Odkryj z nami historię na nowo

odk księgarnia odkrywcy

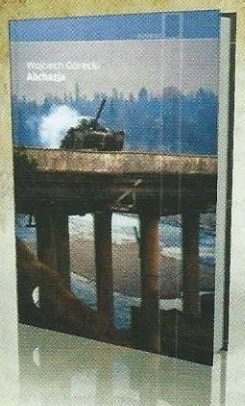

Wojciech Górecki „Abchazja", opr. twarda, str. 184, wyd. Czarne. Cena: 39,70 zł

Abchazja ma swoje terytorium, granice i obywateli, prezydenta, premiera, parlament i armię. Centralna Komisja Wyborcza organizuje wybory, a poczta emituje znaczki. Wojciech Górecki jest jedną z nielicznych osób, które miały okazję obserwować, jak w ciągu 20 lat rodzi się, rozwija i chyli ku upadkowi abchaskie parapaństwo o spornych granicach i niejasnym statusie. Polska nie uznaje Abchazji, uważając ją za część Gruzji. Tego samego zdania jest reszta świata – z wyjątkiem Rosji, Nikaragui, Wenezueli, Nauru, Vanuatu i Tuvalu. Uznanie Abchazji i coraz liczniejszych państw o podobnej genealogii zrodziłoby dziesiątki nowych konfliktów i wywróciło do góry nogami międzynarodowy ład… „Abchazja" zamyka kaukaski tryptyk autora, rozpoczęty „Planetą Kaukaz" i „Toastem za przodków".

Michał Kroczek „Raum Tunskirch Działania wojenne nad górną Odrą w 1945 roku", opr. miękka, str. 126, wyd. Oficyna Halegg. Cena: 28 zł

W książce podjęto próbę opisania działań wojennych w ramach frontu wschodniego w ostatnich miesiącach II wojny światowej na terenie obecnego powiatu raciborskiego i sąsiednich, ze szczególnym uwzględnieniem obszaru tzw. Raum Tunskirch. Była to nazwa, którą dowództwo niemieckie nadało rejonowi Tworkowa (głównemu punktowi orientacyjnemu na linii frontu), od lewego brzegu Odry do przedpola Krzanowic. W opracowaniu zawarte zostały opisy składów oraz działań poszczególnych oddziałów niemieckich i radzieckich oparte na zachowanych meldunkach, wspomnieniach żołnierzy biorących udział w walkach na opisywanym terenie oraz naocznych świadków. Cennym uzupełnieniem pracy są mapki sytuacyjne, na których przedstawiono przebieg frontu i ruchy wojsk oraz dokumentacja fotograficzna miejsc związanych z działaniami wojennymi.

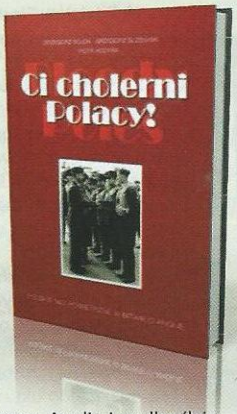

Grzegorz Sojda, Grzegorz Śliżewski, Piotr Hodyra „Ci cholerni Poalcy!", opr. twarda, str. 720, wyd. GRETZA. Cena: 120 zł

„Ci cholerni Polacy!" – to uwaga, jaką w kierunku polskich lotników rzucił brytyjski sierżant nie mogąc z nimi dogadać się w najprostszych sprawach. Po dłuższym czasie sformułowanie to przestało mieć charakter pejoratywny, a stało się synonimem waleczności i zaciętości w walce. Autorzy tej publikacji przypominają zasługi polskich lotników, którzy przyczynili się do odwrócenia losów wojny na Zachodzie. W pracy nad tą monumentalną publikacją sięgnięto do oryginalnych dokumentów, często wcześniej nieznanych. Zapiski sporządzane na bieżąco tam, gdzie rozgrywały się podniebne wydarzenia latem 1940 roku, oddają fascynujący obraz Bitwy o Anglię i podkreślają rolę, jaką odegrali w niej polscy lotnicy.

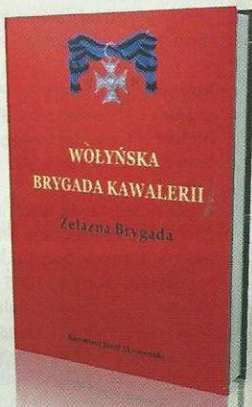

Kazimierz Józef Skrzesiński „Wołyńska Brygada Kawalerii", opr. twarda, str. 438, wyd. Eko-Dom. Cena: 56 zł

Książka ta jest pierwszym powojennym opracowaniem w całości omawiającym wszelkie aspekty z dziedziny „barwy i broni" pułków wchodzących w skład Wołyńskiej Brygady Kawalerii – „Żelaznej Brygady". Publikacja dostarcza wielu informacji o ich rodowodach, sztandarach, znakach pułkowych, umundurowaniu, uzbrojeniu i koniach. Zawiera też kalendarium oraz rozszerzony opis ważniejszych bitew, stoczonym przez tę brygadę. W książce znajduje się również Ordre de Bataille wraz z obsadą personalną całej Wołyńskiej BK na dzień 31 VIII 1939 r. z zaznaczonymi wykruszeniami w trakcie działań bojowych, a także życiorys dowódcy Wołyńskiej BK gen. Juliana Pobóg-Filipowicza. W pracy umieszczono także barwną wkładkę z ilustracjami, liczącą ponad 20 stron.

Piotr Sikora „Jeden z niewielu. Paweł Niemiec myśliwiec z Cieszyna", opr. miękka, str. 378, wyd. Finna. Cena: 39,30 zł

Biografia pilota Pawła Niemca, kawalera Orderu Virtuti Militari, odznaczonego również Krzyżem Walecznych. Bohater tej książki przed wojną był oficerem polskiego lotnictwa i instruktorem najsłynniejszej uczelni lotniczej, Szkoły Orląt. Już w czasie wojny był jednym z 145 polskich pilotów, którzy wzięli udział w Bitwie o Anglię. Jako jedyny oficer Polskich Sił Powietrznych na Zachodzie dowodził aż czterema różnymi dywizjonami myśliwskimi. Po wojnie przeżył ogromne rozczarowanie „nową" Polską. Jego majątek został zagrabiony przez komunistów, mąż jego siostry zginął w Katyniu, a on sam nie akceptował wszechobecnego kłamstwa i nie chciał podzielić losu swych towarzyszy broni więzionych przez UB. Pozostał na emigracji – osiadł w Argentynie, gdzie zmarł w 1985 roku.

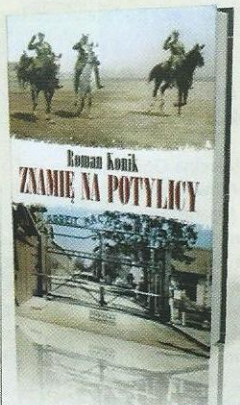

Roman Konik „Znamię na potylicy", opr. miękka, str. 464, wyd. Zysk i S-ka. Cena: 35,90 zł

Opowieść o Witoldzie Pileckim, bohaterze wojny polsko-bolszewickiej i II wojny światowej. Po klęsce Września zajął się on rozbudową siatki konspiracyjnej, której celem było zwalczanie niemieckich sił w Warszawie. We wrześniu 1940 roku dobrowolnie udał się do KL Auschwitz, stając się jego pierwszym kronikarzem, organizując tam strukturę konspiracyjną i ratując od śmierci ogromną liczbę współwięźniów. Po zakończeniu wojny Witold Pilecki nie zastał ojczyzny takiej, o jakiej marzył i o jaką walczył. Przez komunistyczne władze został oskarżony o szpiegostwo, stanął przed sądem i został stracony w 1948 roku. Mimo, że władze PRL robiły wszystko, by wymazać jego imię, legenda Pileckiego przetrwała, czego jednym ze świadectw jest ta książka.

Książki można zamawiać na stronie Księgarni www.odk.pl, telefonicznie 42 631 10 97, 42 630 71 41 (pon.-pt. godz. 10-18) lub 42 634 89 93 (24 h – automat) lub e-mailem na adres: zamowienia@odk.pl

kolekcja ODKRYWCY

13,-

MAPA „MIĘDZYRZECKI REJON UMOCNIONY. ODCINEK CENTRALNY"
Wydanie zawiera, poza dokładną mapą topograficzną rejonu od Lubrzy do Chyciny, dwujęzyczny (polski i niemiecki) opis stałych budowli obronnych centralnego odcinka FF OWB a także opis wartych obejrzenia pobliskich miejscowości.

36,-

Niezwykle elegancki pendrive USB o pojemności 4 GB. Czarny, skórzany zatrzask ochrania łącze. Duży, chromowany uchwyt ułatwia przypięcie pendriva do kluczy lub innego przedmiotu. Smycz w komplecie.

20,-

METALOWY KUBEK
termiczny z uchem. Przykrywka z otworem do picia, środek metalowy. Pojemność 400 ml. Kolory: niebieski i czerwony.

PŁASZCZ PRZECIWDESZCZOWY
Z zatrzaskami i kapturem. Dwustronny (możliwość wywrócenia na drugą stronę) żółto/granatowy. Z miękkiej nieprzemakalnej tkaniny gumowej; klejone, płaskie szwy. Napisy w kolorach żółtym i granatowym. Rozmiar XL, XXL

50,-

6,-

ORYGINALNA SMYCZ „ODKRYWCY"
Długość 47 cm; mocowanie do telefonu komórkowego plus karabińczyk.

35,50

„VADEMECUM CZYSZCZENIA I KONSERWACJI MONET"
Pierwsza tak wyczerpująca temat pozycja na rynku polskim. Bogato ilustrowana ukazuje wiele praktycznych metod – krok po kroku. Do wykorzystania nawet dla mało doświadczonych kolekcjonerów. Metody prezentowane w książce można także zastosować do wielu innych, delikatnych, starych i zniszczonych wyrobów metalowych w tym, wydobytych z ziemi.

45,-

ORYGINALNA BLUZA „ODKRYWCY"
rozpinana na suwak, ze stójką, boczne kieszenie, napis haftowany. UWAGA: dostępne jedynie w kolorze granatowym i rozmiarze L.

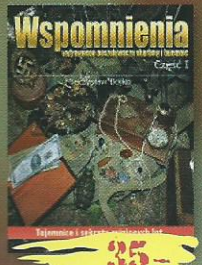

35,-

WSPOMNIENIA WYTRAWNEGO POSZUKIWACZA SKARBÓW I TAJEMNIC.
Książka opowiada o niezwykle ciekawych wątkach historii, o skrywanych przez wiele lat opowieściach i tajemnicach, a także o mitycznych skarbach.

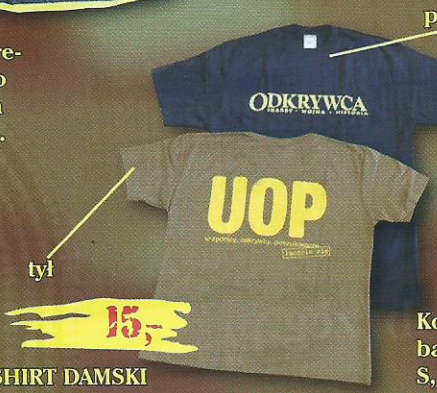

15,-

T-SHIRT DAMSKI
kolor khaki w rozmiarach S, M i L
kolor granat w rozmiarach S, M, L i XL

20,-

Koszulki „Odkrywcy" z miękkiej 100% bawełny. Kolor czarny w rozmiarach: S, M, L. Kolor oliwkowy w rozmiarach: S, M, L, XL. Koszulki idealne do wszystkich kamuflaży. Napis „Odkrywca" z przodu i z tyłu.

Oferta dostępna, aż do wyczerpania zapasów. Czas realizacji zamówienia do 4 tygodni. Zwrotów nie przyjmujemy.

ZAMÓWIENIE 5/172

Wypełnione zamówienie prosimy przesyłać na adres:
„ODKRYWCA", ul. Kaszubska 4, 50-214 Wrocław

nazwa artykułu	rozmiar	kolor	cena	ilość	wartość
				razem:	

Płatne przy odbiorze. Koszt przesyłki ponosi zamawiający.

imię i nazwisko

kod pocztowy miejscowość

ulica nr domu

telefon

Wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych do celów sprzedaży wysyłkowej w Kolekcji „Odkrywcy" zgodnie z Ustawą o ochronie danych osobowych z 29.08.97

podpis zamawiającego

Wyrażam zgodę na wystawienie faktury VAT bez mojego podpisu

Patronat honorowy

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

partnerzy

Województwo Zachodniopomorskie · Powiat Kołobrzeski · Kołobrzeg

Patronaty medialne

TVP HISTORIA · ODKRYWCA · Polska Zbrojna · dobroni.pl · miasto kołobrzeg · KOLOBRZEG FM · tkk · MILITARIA · GŁOS KOSZALIŃSKI · GAZETA KOŁOBRZESKA · Kurier Szczeciński · RADIO KOSZALIN · e-KG.PL